



EG. GERSON
21 KROKÓW DO SZCZĘŚCIA



Krok pierwszy:

Nigdy nie wstydz się tego, kim jesteś

- Ma pani miejsce w następnym samolocie, panno Blanchett. Odlatuje o siedemnastej czterdzieści.

Ten francuski akcent! Jest taki...

- Mogę od razu nadać pani bagaż.

- Świetnie - mówię, starając się nagle dorównać staranną wymową brytyjskim arystokratkom.

Opamiętaj się, idiotko, strofuję się w myślach.

Podaję urzędniczce torbę. Patrzy na nią z niechęcią. Wiem, wiem, to nie jedno z tych fikuśnych, designerskich cacek, jakiego się spodziewała po kimś mojego pokroju, tylko zwykła torba Adidasa, z którą chodziłam na jogę. Tak, wygląda strasznie - niczym stary owczy żołądek wypchany ubraniami i bielizną. Ale, kochana, powinnaś raczej zwrócić uwagę na mój styl życia!

Nie mam już czasu na takie błażostki jak modny bagaż!

Jestem teraz tak potwornie zabiegana!

Prawdziwa ze mnie kobieta interesu!

Która leci do Paryża!

- Proszę zaczekać w Premierę Lounge, dam pani znać, kiedy trzeba będzie się zbierać - mówi wyjątkowo uprzejmym tonem, wskazując coś w rodzaju holu luksusowego hotelu rozciągającego się za jej plecami. - Panno Blanchett?

-Tak?

- Muszę się przyznać, że jestem wielką fanką pani matki.

- Ach tak. Dziękuję. - Przechodzę ostrożnie do Premire Lounge, czując, że każdym krokiem bezczeszczę uświęconą przestrzeń.

Hop, hop! Dzień dobry wszystkim! A raczej, bonjour.

L'Espace Premier okazuje się ekskluzywną poczekalnią pełną podstarzałych playboyów, którzy w dyskretnie przyciemnionym

świetle bawią się komputerami i komórkami lub czytają francuskie gazety, popijając przy tym szkocką z lodem.

Lynn, musisz przywyknąć do takich światowych miejsc, myślę sobie. Bo teraz czujesz się tu równie swobodnie, co mała siedząca okrakiem na rakiecie.

Och!

Kelnerka, minawszy mnie, stawia na bufecie koszyczek wypieków. Podchodzę bliżej. Pewnie upieczono je w Paryżu dziś rano i przywieziono do Nowego Jorku w ciągu dnia.

- Czy one są z Paryża? - pytam.

- Słucham?

- Te rogaliki.

- Czy ja wiem? Jestem tu nowa. Przywożą je nam furgonetką i podgrzewamy je w mikrofalach.

- Rozumiem. - Biorę do ręki jeden z tych idiotycznie małych talerzyków, walcząc z naturalnym odruchem, który nakazuje mi pobić światowy rekord w jedzeniu pieczywa. Jeśli wierzyć kanałowi Discovery, należy on do jakiejś Japonki.

Jodie prosiła mnie, żebym zachowywała się jak światowa młoda dama, wybieram więc najmniejszy z rogalików, ignorując tacę eklerów. Sadowię się wygodnie obok pewnej wytwornej niewiasty.

Jest ucieleśnieniem mojego ideału kobiecości: porażająco piękna, pewna siebie, rozluźniona mimo otaczającego ją przepychu. Znacznie starsza ode mnie, mniej więcej w wieku Jodie - czterdziestoletnia lwica. Popija herbatę, przeglądając czasopismo. Jest taka spokojna, taka wspaniała, taka... kulturalna. Podnosi wzrok znad gazety i uśmiecha się do mnie. Odwzajemniam uśmiech z pełnymi ustami, wzdrzgam się i bezskutecznie usiłuję jeść, nie krusząc.

- Wyśmienite te rogaliki, prawda? - odzywa się znienacka.

- O tak, wspaniale! - Kilka okruszków łąduje na twarzy George'a W. Busha na okładce jej czasopisma. Zgrabnie je strzepuje.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale sądzę, że możemy już pójść w kierunku naszego wyjścia. Pani leci do Paryża, o ile się nie mylę?

Szybko przetykam ostatni kęs.

- Zgadza się, do Paryża - odpowiadam, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem. Do Paryża!

- Tak myślałam. - Wstaje i podaje mi dłoń. - Roxanne Green.

Roxanne? Fajne imię.

- Lynn - rzucam zdawkowo, trzymając w ryzach instykt samozachowawczy, który zmusza mnie do rzucenia niedbale: „Lynn Blanchett. Tak, zgadza się, córka samej Jodie Blanchett, i kto jest teraz górą, ha?”

- Miło cię poznać, Lynn. - Znow uśmiecha się protekcyjnie. - Nasze wyjście jest tam - dodaje i rusza we wskazanym kierunku.

Och! Może powinnam... Kobieta staje i odwraca się.

- Idziesz ze mną?

Ma się rozumieć! Porzucam rogała, żeby ją dogonić.

- To pierwsza wizyta w Paryżu? Najwyraźniej mam to wytatuowane na czole.

- Skąd, latam tam bardzo często - kłamię. - A pani? A ty, Roxanne?

- Nie tak często, jak bym chciała - mówi, ale każda mijana przez nas stewardesa Air France rozplywa się na jej widok w uśmiechach: „Witamy, pani Green, jak się pani miewa”, „miło nam znów panią widzieć, miejsce 1A, jak zwykle”, „chablis już się chłodzi, miłego lotu”. - Co tak często cię sprowadza do Paryża, Lynn? Studiujesz na Sorbonie? Studiujesz!

- Nie, nie. Głównie praca.

- Naprawdę? Praca? A czym się zajmujesz?

- Jestem... specjalistką od public relations. - Słucham siebie niczym obcej osoby. - Pracuję dla domu mody.

- Fascynujące! Paryż i świat mody, w twoim wieku! Musisz wieść niezwykle barwne życie.

- Nie narzekam.

- U kogo pracujesz? U Diora? -U Muriel B.

- Ach, pracujesz u Muriel! A to ciekawe. Znam ją bardzo dobrze. Jej ojciec, Francis Boutonni?re, jest moim dobrym znajomym. Ależ ten świat jest mały!

- Maleńki - mamroczę niepewnie. O Muriel B. wiem tyle, co kot napłakał, i nigdy w życiu nie słyszałam o żadnym Francisie Boutonnire. - A ty, Roxanne? Też jesteś z branży?

- Tylko interesuję się modą. Jestem pisarką.

- Och... Czy istnieje szansa, że znam jakiś tytuł? Kolejny protekcjonalny uśmiech.

- Czytujesz poradniki?

- Karty pokładowe poproszę. - To stewardesa. Wchodzimy na pokład.

Roxanne waha się przez chwilę i zabiera mi kartę szybkim ruchem.

- Gdzie siedzisz? Ach! Klasa biznes! Czy byłaby pani tak miła i pozwoliła mojej młodej przyjaciółce usiąść ze mną w klasie Premiere? - pyta stewardesę. - Miejsce IB. Nie miałyśmy pojęcia, że lecimy tym samym lotem.

- Do usług, pani Green.

I załatwione. Wchodzę za Roxanne do Premier Salon.

- Te loty do Paryża ciągną się w nieskończoność - szepcze moja towarzyszka. Dostajemy po lampce szampana i tacę tartinek, które pomogą nam zapewne, acz z trudem, znieść owe godziny udręki. - Razem raźniej i będziesz mogła opowiedzieć mi wszystko o swojej ekscytującej pracy u Muriel B. Jezu Chryste!

- Powiedz koniecznie Muriel, że do klasy biznes wsadza się tylko jakieś ofiary losu albo przedstawiciele handlowych. - Chce mi oddać kartę pokładową, gdy nagle coś przykuwa jej uwagę. - Blanchett? - czyta. I już wie.

- Chyba nie...

- Tak - przerywam jej. - To moja matka.

Co za mina! Przez chwilę boję się, że Roxanne udławi się tartinką.

- Jesteś córką Jodie Blanchett? Ależ, moja droga, to... to niemożliwe!

Spokojnie popijam szampana. Tak, jestem córką Jodie Blanchett. Koniec, kropka.

Jodie Blanchett, projektantki, która stała za wielkim powrotem džinsu.

Jodie Blanchett, guru mody dla anorektyczek.

Jodie Blanchett, najgorszej matki świata i osoby, dzięki której siedzę w tym samolocie.

- Znamy się z Jodie dość dobrze i... cóż, nigdy nie wspominała mi, że ma córkę.

Cała Jodie! Zawsze przedstawia mnie jako członka rodziny, nigdy nie używając słowa „córka”.

- Wychowywał mnie Tata - dodaję, by wyjaśnić brak podobieństwa do matki w stroju i zachowaniu.

- Kto jest twoim ojcem? Na pewno go znam!

- Bill Blanchett.

- Bill? Nigdy o nim nie słyszałam.

- Tata jest... - Chcę powiedzieć „zwykłym szaraczkiem”, ale nie zabrzmiałoby to dobrze. Tata jest całkowitym przeciwieństwem Jodie - troszczy się o mnie, kocha mnie, zawsze jest obok, gdy go potrzebuję. Ich małżeństwo trwało niespełna tydzień. Jodie zwierzyła mi się kiedyś, że podobała jej się zbitka „Jodie Blanchett”. Jestem więc tylko produktem ubocznym zmiany nazwiska na bardziej chwytliwe. - Tata pracował w klubie, w którym bywała - wyjaśniam. - Wieki temu.

- Cóż, twoja matka nie należała do grzecznych dziewczynek! - Roxanne celuje we mnie wykałaczką. - Balanga za balangą! Ubóstwiałam ją w latach osiemdziesiątych, była taka wyzwolona. Czy wiesz, że byłam jedną z pierwszych osób, które kupiły jej papierowe kreacje?

Kolekcja papierowych ubrań wywindowała Jodie na sam szczyt. Potem przyszedł czas na perfumy i kosmetyki. Wszystko to już dawno przeszło do legendy.

- Spędzałyśmy razem mnóstwo czasu. Naprawdę byliśmy przyjaciółkami, wtedy, przed laty. - Sztuczny śmiech Roxanne zaczyna mi działać na nerwy. - Tak, tak. Ale teraz wcale jej nie widuję. Jakby... zapadła się pod ziemię.

- To prawda, trzyma się z dala od ludzi.

Cud, że porzuciła swoją samotnię, żeby odwiedzić mnie na lotnisko.

Nie odwiozła mnie, rzecz jasna, sama. Zrobił to jej szofer.

- Muriel ma wszystko, czego ci brakuje - powiedziała mi w limuzynie, częstując się wodą mineralną z samochodowego minibarku. - Bryluje od dziecka. Jest ekscentryczna. Czarująca. Wie, jak dobrze żyć z ludźmi. Zna wszystkich i wszyscy znają ją! A do tego to poliglotka - dorzuciła jeszcze przed odebraniem uparcie dzwoniącej komórki.

Gdy kłóciła się z kimś zajadle o szczegóły importu futer z Kazachstanu, otworzyłam zużyty egzemplarz Francuskiego w dziesięć dni, który mi podarowała. „Dzień pierwszy” nie był zbyt trudny, wszystko kręciło się wokół szukania przystanku autobusowego. Za to „Dzień drugi” stanowił prawdziwe wyzwanie - tematem lekcji były zakupy w piekarni.

Je voudrais une baguette de pain, s'il vous plait*. Na co miało mi się to przydać w Paryżu? Kupowanie chleba nie będzie raczej należało do moich przyszłych obowiązków.

„Dzień pierwszy” także nie był zbyt przydatny. Czego jak czego, ale tego byłam całkowicie pewna: Muriel Boutonni' re nie spyta mnie o drogę do najbliższego przystanku. L'arr't de bus se trouve ? côté de la Mairie.* A niech to!

Tak czy siak, jakim cudem miałabym sobie poradzić z używaniem dwóch języków jednocześnie? Jodie właśnie zakończyła rozmowę.

- Czy William dał ci jakieś kieszonkowe?

Jodie jest jedyną osobą na świecie, która nazywa Tate Williamem. Dla wszystkich innych jest Billem.

- Mam kartę kredytową.

- Myślałam o prawdziwych pieniądzach - powiedziała lekceważąco i wyciągnęła z torebki kopertę.

W środku znalazłam gruby plik euro. Jodie jest jak tłuszcz, wierzy tylko w gotówkę.

- Nie mogę tego przyjąć - zaprotestowałam.

- Dlaczego nie? - zaśmiała się.

- Strasznie tego dużo.

- Nie zachowuj się jak byle kto! - Włożyła okulary przeciwsłoneczne, żeby chroniły ją przed moją pospolitością. - Jesteś córką Jodie Blanchett. Ludzie będą się spodziewać, że zapłacisz za wszystko. I zapłacisz! Musisz zrobić odpowiednie wrażenie. Co sobie o mnie pomyślą? - Tuż przed terminalem poklepała szofera po ramieniu. - Stań przed głównym wejściem, tylko ją wyrzucimy.

Próbowałam ukryć zawód, gdy spojrzała na mnie i westchnęła.

- Nie mogę przecież wejść do środka! Nie o tej porze. Tam jest tak... tłoczno!

Siedziałam obok niej, spięta jak zawsze, próbując wymyślić coś, co mogłabym powiedzieć lub zrobić, by jej zaimponować. Lub przynajmniej przykuć uwagę. Tymczasem Jodie znów rozmawiała przez telefon, tym razem łajając swoją asystentkę i narzekając na amerykańskie służby celne, które miały ponoć doprowadzać rodzimych projektantów na skraj bankructwa.

Wysiadłam z limuzyny.

- Dziękuję, Jodie.

Na chwilę oddaliła komórkę od ucha.

- Dziękuję?

- Za zorganizowanie tego wszystkiego - powiedziałam niepewnie, wskazując terminal. Za danie mi szansy na stanie się córką, której nie będziesz się musiała wstydić.

Wyglądała na rozdrażnioną. Nie lubi podziękowań ani pożegnań. To jej wymówka, dzięki której może uciec bez zbędnych ceremonii.

- Proszę cię, Lynn. Nie zepsuj znowu wszystkiego - rzuciła mi na odchodnym i już jej nie było.

RS

Krok drugi:

Zawsze można mieć więcej
Tego właśnie chcę!
Tego właśnie zawsze pragnęłam!
Szansy!

Przyglądam się swojemu odbiciu w lustrze. Zauważam wielką różnicę pomiędzy tym, co widzę, a tym, co chciałabym w nim zobaczyć. Jestem tylko kręłą dziewczyną po college'u, usiłującą wyglądać jak gwiazda świata mody gotowa na podbicie Paryża.

W niczym nie przypominam Jodie! W niczym!

Wiem, że przecież nie tego oczekują. Nie za to zapłacili. Chcą Jodie II - młodszej, szczuplejszej wersji genialnej matki, bardziej seksownej, bardziej zwariowanej.

A nie dostaną nic prócz mnie!

Beztalencia bez doświadczenia i kwalifikacji! Siedzę na sedesie. Chowam twarz w dłoniach i próbuję myśleć o czymś innym.

Nazywam się Lynn Blanchett.

To Blanchett przez dwa „t”, do cholery!

Jestem wspaniała! Jestem boska!

Boże, daruj sobie.

Skup się, skup się, skup się!

Puk, puk.

- Zajęte.

- Zaraz startujemy. Bardzo proszę wrócić na swoje miejsce.

Mijam kolejne rzędy siedzeń w klasie Premiere. Ci ludzie! Co ja tu robię? Trzeba było zostać w klasie biznes z przedstawicielami handlowymi.

Siadając, zauważam, że Roxanne jest czymś podekscytowana. Opuszcza czytaną gazetę i szepcze mi do ucha:

- Tylko nie odwracaj głowy. Hubert Barclay tu idzie. Co znowu za Hubert?

- Od wieków usiłuje się ze mną umówić. Serio! Ten kobieciarz! Znasz Huberta, prawda?

- No...

- Jest żałosny! Nie zdziwiłabym się, gdyby podrywał nawet dziewczyny w twoim wieku! Obrzydlistwo!

Zerkam przez ramię, żeby dowiedzieć się, o kim mowa, ale widzę tylko idącego w naszym kierunku niezwykle przystojnego mężczyznę. Ma najwyżej czterdzieści lat, jest wysoki, wysportowany, elegancki... Nie, niemożliwe...

- Roxanne, jak mogłaś? - przekomarza się szarmancko. - Znowu lecisz do Paryża, nic mi nie mówiąc!

I co w nim jest obrzydliwego?

- Wybacz mi, Hubercie. Lynn i ja robimy sobie taki babski wypad. Znasz Lynn, prawda? To córka Jodie Blanchett.

Mężczyzna spogląda na mnie i uśmiecha się sztucznie, rozpaczliwie starając się przypomnieć sobie, gdzie się poznaliśmy. W końcu podejmuje jakąś decyzję, bo mówi:

- Oczywiście. Co słyhać, Lauro?

- Ehm... Lynn.

- Tak, jasne, Lynn. Przepraszam. Co porabiałaś od naszego ostatniego... ostatniego...

- Jakoś leci. - Staram się nie oddychać szybciej, niż na to zezwalają normy towarzyskie.

- Lynn pracuje dla Muriel Boutonni're, wiesz, córki Francisa.

- Muriel, mówisz? Znamy się z jej ojcem kopę lat - stwierdza Hubert i świat robi się jeszcze mniejszy. - Czy nadal się do niego nie odzywa?

Skąd, u licha, mam wiedzieć?

- Nie rozmawiamy o takich rzeczach. Kiwiają głowami. Jaka szkoda, myślą sobie.

- No cóż, nie będę wam psuł waszego babskiego wypadu. - Przystojniak żegna się i idzie zająć przed startem swoje miejsce.

- Tylko spójrz na niego. Ma połowę gazet i czasopism wydawanych w tym kraju, a mimo to na mój widok podkula

ogon. Mężczyźni boją się kobiet, które odrzuciły ich zaloty. Boją się porażki.

Uśmiecham się, ale to tylko maska, serce wali mi jak młotem. Teraz go rozpoznaję. To ten Hubert Barclay, Barclay Wielki, miliarder i magnat prasowy, i to on właśnie powiedział „Cześć, Lynn” (nie Lynn, Laura, ale co z tego). „Cześć, Lynn”, „Co słyszeć” i „O, ja też lubię zielony kolor” (wiem, wiem, to ostatnie zmyśliłam).

- Czy mam dolać do pełna? - Stewardesa wraca z szampanem, gdy tylko samolot osiąga odpowiednią wysokość. Chce nam też wręczyć menu, ale Roxanne nie jest ono potrzebne.

- Weźmiemy solę i to coś z białej czekolady. I jak zawsze chablis - decyduje. - Nie mów jej tego, ale sądzę, że Muriel nie zasługuje na kogoś takiego jak ty. Córka Blanchett! Doprawdy! Czegóż nie można dostać za pieniądze!

Tak, rzeczywiście. Cha, cha.

- Ta dziewczyna zawsze dostaje wszystko, czego zapragnie. Chciała być projektantką et voil?! Ojciec finansuje jej marzenia. Nigdy nie musiała się napracować, żeby je spełnić. We Francji mówi się, że w życiu wysiliła się tylko w dniu własnych narodzin. - Roxanne kładzie dłoń na mojej. - Tylko nie myśl, że i o tobie mam podobne zdanie. Ty z pewnością masz... jakiś talent. O tak, takie rzeczy zwykle przechodzą z pokolenia na pokolenie. No właśnie...

Zaczyna szukać czegoś w torebce.

- Koniecznie pozdrów ode mnie matkę. To były piękne czasy.

- Oczywiście.

- I daj jej to, bardzo cię proszę. - Musi mieć przy sobie podręczną bibliotekę, bo wyciąga malutką książeczkę w twardej oprawie.

Zerkam na tytuł. Dwadzieścia kroków do sukcesu według Roxanne Green. Rozpoznaję ją na fotografii. Ma na sobie strój godny poważnej kobiety interesu i okulary przeciwsłoneczne,

stoi w słońcu, z założonymi rękoma, oparta o długą białą limuzynę. W tle widać nawet kilka wysokich palm.

- Tak właśnie wszyscy idioci wyobrażają sobie sukces, cha, cha! - śmieje się.

Boże, znowu ten chichot!

Otwieram książkę.

- Jodie będzie umierać ze śmiechu.

Pierwszy rozdział jest zatytułowany: „Krok pierwszy: Nigdy nie wstydz się tego, kim jesteś”.

- Też możesz ją przeczytać - radzi Roxanne. - Muszę przyznać, że wydajesz mi się bardzo miłą osobą.

- Och, dziękuję.

- Nie to miałam na myśli... Widzisz, jeśli chcesz przetrwać w takim miejscu jak Paryż, musisz być trochę bardziej twarda. Zajrzyj do trzeciego rozdziału, to sama zobaczysz.

Posłusznie otwieram poradnik na właściwej stronie.

- Przeczytaj tytuł. Czytam na głos:

- „Krok trzeci: Gdziekolwiek jesteś, zawsze wyglądaj na znudzoną”.

- Chodzi mi o to, Lynn, że musisz... Musisz się trochę bardziej zachowywać jak prawdziwa suka.

Krok trzeci:

Gdziekolwiek jesteś, zawsze wyglądaj na znudzoną
Dobra nasza, słuchajcie: jestem niezła! Jestem na topie!

Lynn Blanchett, córka słynnej Jodie, wkrótce geniusz świata mody!

Odnajduję moją paskudną torbę, żegnając się z Roxanne i po przejściu przez kontrolę celną zauważam wysokiego mężczyznę o arabskiej urodzie trzymającego planszę z moim nazwiskiem.

- Dzień dobry, Lynn Blanchett.

- Je suis Massoud et je suis votre chauffeur*.

- Mówi pan po angielsku?

- Nie, nie. Angielski nie. Francis.

- No dobrze. To - wskazuję na planszę - to ja. - Wskazuję na siebie.

- Aha.

Teraz on wskazuje na siebie. - Moi, Massoud. Jak Tarzan z Jane.

- Może przejdziemy do samochodu? Auto? L'auto? - Obracam w powietrzu niewidzialną kierownicę.

- Auto! Tak, tak. Par l?, mademoiselle2. - Szofer kieruje się w stronę jednego z wyjść.

Idę za nim i już po chwili podchodzimy do długiej limu... Nie, nie ma żadnej limuzyny. Jest tylko jakiś idiotyczny samochód, skrzyżowanie karawanu z pojazdem kosmicznym. To pewnie pomniejszona francuska wersja prawdziwej limuzyny.

Kierowca otwiera przede mną tylne drzwiczki. No, no. Tapicerka z kremowej skóry. Telefon. Minibar. Malutki ekran z kolekcją płyt DVD. Nieźle, nie powiem.

- Vous voulez aller ? votre hôtel? - Ee...

- Hotel? - próbuje szofer.

- Tak, jedźmy do hotelu.

Ruszamy i po raz pierwszy mam okazję przyjrzeć się Francji. Nie tak ją sobie wyobrażałam. Świta, ale niebo przypomina

blotnistą breję. Lotnisko znajduje się pośrodku ponurych pól poprzecinanych siecią brudnych autostrad.

- Paris! -Co?

Otwieram oczy.

Mam wrażenie, że jechaliśmy długie godziny. Ugrzęźliśmy w straszliwym korku. Patrzę w prawo, ale widzę tylko jakieś szare budynki.

Patrzę w lewo i widzę... Paryż!

Paris, Paris!

Zjeżdżamy z autostrady.

- Trop de bouchons* - rzuca Massoud, gdy wjeżdżamy do miasta. Brzmi to niczym motto.

Bouchons?

Inaczej tu niż w Stanach. Wąskie ulice, stare budynki przesłaniające zachmurzone niebo. Buro ubrani przechodnie przemykają po mokrych chodnikach ze spuszczoneymi głowami. Panuje przygnębiająca atmosfera.

Nikt nie gra na akordeonie!

Nie widać żadnego Café Terrasse, w którym ludzie piliby wino i zajadali bagietki obok zaparkowanych nieopodal stolików skuterów.

Ale nagle skręcamy i zaczynamy jechać wzdłuż malowniczej rzeczki.

- Czy to Sekwana? - Co?

- La Seine? - pytam, stukając w szybę.

- Nie, nie. Canal Saint Martin. Bardzo piękny.

- O tak, wspaniały - potakuję podekscytowana.

Paryż zaczyna nareszcie przypominać wizję z moich marzeń - romantyczne, fascynujące miasto, gdzie żyje się bez zbędnego pośpiechu, w otoczeniu zabytków i dzieł sztuki.

Niestety, ledwie zaczynam się tym rozkoszować, znów skręcamy, trafiając w sam środek czegoś, co, jak dla mnie, równie dobrze mogłoby być Kairem.

Przedstawiciele wszystkich możliwych ras pokrzykują w różnych językach, przenosząc z miejsca na miejsce beły materiał, skrzynki warzyw i połacie mięsa.

Z niedomytych ciężarówek wyładowywane są krowie tusze. Nad straganami rzeźników zwisają zwierzęce truchła.

Nie mogę uwierzyć własnym oczom! Oto siedzę w wygodnym wnętrzu mojego kosmicznego karawanu, a na zewnątrz szaleją nieznane mi żywioły.

Mijamy wielki ozdobny łuk.

- Czy to Łuk Triumfalny?

- Nie, nie. Porte de Saint-Denis. Arc de Triomphe bardzo wiele duży. - Rękoma pokazuje mi, o ile jest większy, i coś tłumaczy. Najwyraźniej w Paryżu aż roi się od łuków.

- Ach, Paris - wzdycha rozmarzony i mruga do mnie. - Patrz, patrz!

Uświadamiam sobie, że samochód otacza teraz armia prostytutek. Większość z nich jest bardzo stara, otyła i ubrana w idiotycznie obcisłą lycrę.

Czy tym właśnie ma być Paryż według Massouda?

Nie mam czasu głębiej się nad tym zastanowić, okolica znów się zmienia.

To nie samochód, to wehikuł czasu.

- Et voilà?, la Seine! - Massoud wskazuje palcem. Rzeka!

Przedemną rozciąga się miasto znane z pocztówek. Oto i Sekwana. Wzdłuż arterii ciągną się rzędy imponujących budowli. Chyba nigdy nie widziałam czegoś tak pięknego.

Rozpłakałabym się, gdyby Massoud nie przyglądał mi się bez przerwy w lusterku.

- Bardzo tu... ładnie.

- Paris, Paris! - Massoud zaczyna pogwizdywać, odbija w bok od Sekwany i zatrzymuje samochód.

Zanim zdaję sobie sprawę, że podjechaliśmy pod mój hotel, odzwierny już otwiera drzwiczki i wyciąga dłoń, by pomóc mi wysiąść.

- Bonjour, mademoiselle. Bienvenue au Georges V.*

- Bonjour...

Spoglądałam na fasadę hotelu. Nie spodziewałam się takiego luksusu!

Massoud wysiada z auta i podaje bagażowemu moją skromną torbę.

- Voil?! Do widzenia! -

- Hej! - wołam za nim. - Massoud!

- Oui?

- Merci, Massoud. Dziękuję! - Uśmiecham się, jak umiem najładniej, i najwyraźniej mi to wychodzi, bo szofer odwzajemnia uśmiech i rzuca „pas de probleme”, co zapewne oznacza „nie ma za co”.

- Tędy, mademoiselle. - Bagażowy znika z moją torbą w drzwiach obrotowych.

A niech mnie! Patrzcie tylko! Staję jak wryta w środku hotelowego holu.

- Tędy proszę! Co robić?

Bagażowy stawia torbę przed blatem recepcji. Wręczam stojącemu za nim mężczyźnie swój paszport.

- Ach, mademoiselle Blanchett, oczywiście. Czeka na panią Apartament Angielski.

- Świetnie.

- Ma pani doprawdy wielkie szczęście.

- Naprawdę?

- Miała pani dostać zwykły apartament dyrektorski, ale dowiedzieliśmy się w porę, kim pani jest. - Recepcjonista uśmiecha się znacząco. - Oczywiście natychmiast zmieniliśmy rezerwację. To wspomniały apartament. André wskaże pani drogę.

André, mój bagażowy, przejmuje kartę magnetyczną otwierając drzwi apartamentu i prowadzi mnie do windy. Nie mogę oderwać od niego wzroku. Jest bardzo elegancki, ale chodzi w zabawny sposób - szybko przebiera nogami, nie poruszając przy tym wcale tułowiem.

Pewnie uczą ich tego po przyjęciu do pracy.

- Wspaniały apartament... - powtarzam, usiłując naśladować francuski akcent recepcjonisty.

- O tak. Siódme piętro. Apartament Angielski. Bardzo piękny, mademoiselle. - André kontynuuje pokaz dreptania aż pod same drzwi apartamentu i otwiera je przede mną.

To, co widzę, zwala mnie z nóg!

Wchodzę niepewnie do pokoju. Pełno tu antyków, obić i draperii, ale z pewnością urządzono go ze smakiem.

- To wszystko, dziękuję - szepczę, chcąc, żeby André znikł, zanim zemdleję.

Podaję mu znaleziony w najdalszym zakamarku kieszeni zakietu banknot pięciodolarowy.

- Merci et bonne journée, mademoiselle*. - Bagażowy wręcza mi kartę zastępującą klucz i zamyka za sobą drzwi.

Nadal stoję tuż za progiem.

Nie mieści mi się w głowie, że to mój pokój. Wydaje mi się, że lada chwila zjawi się ktoś, kto naprawdę tu mieszka, i wezwie policję.

Bądźmy szczerzy - nie zasługuję na coś takiego.

Jodie powiedziała po prostu: „Zadzwońłam w parę miejsc. Popracujesz trochę w Paryżu, zdobędziesz nieco doświadczenia. I na miłość boską, zmień sukienkę! Jeszcze mnie ktoś zobaczy z tobą w czymś takim”.

Nie wspomniała ani słowem o przyjęciu godnym księżniczki.

Cóż, cała Jodie.

Niczym duch przemykam do łóżka. Jest wielkie i tak cudne, że nie mam odwagi go tknąć. Zauważam drzwi do łazienki. Ciągnie mnie do światła niczym ćmę. Zaglądam do środka.

Zakrywam dłonią usta, żeby nie krzyknąć. Jest bajeczna! Nigdy nie widziałam czegoś równie pięknego. Srebrna armatura i kafle lśnią blaskiem godnym brylantów. Ręczniki wydają się takie puszyste. Muszę ich dotknąć. Podchodzę, wyciągam rękę i delektuję się fakturą materiału. Potem spoglądam w lustro.

Co to ma być?!

Coś jest nie tak z tą łazienką!

Tak, to ja.

Przyglądam się swojemu odbiciu. To ja tu nie pasuję. Nie wyglądam jak ktoś zmęczony podróżą, tylko jak rozczochrane brzydkie kaczątko.

Nie mogę uwierzyć, że przed chwilą wszyscy ci ludzie widzieli mnie w tym stanie.

Bagażowy wydawał się dziesięć razy szykowniej szy ode mnie. Roxanne musiała się świetnie bawić. Na pewno od dawna nie miała do opowiadania tak wyśmienitej anegdotki. Jak nic obdzwoiła już wszystkie koleżanki. Może nawet zadzwoniła do samej Jodie. Zgadnij, kogo spotkałam na lotnisku. Tę ofertę, twoją córkę. Mój Boże, jest taka pospolita. Tak, tak, zgadzam się w zupełności. Wyobraź sobie, miała na sobie tę paskudną sukienkę i jakiś idiotyczny żakiecik.

Wychodzę już z łazienki, gdy moich uszu dochodzi delikatny, powtarzający się dźwięk. Rozglądam się, szukając jego źródła, i w końcu nad sedesem zauważam telefon.

Dzwoni.

Nie zwróciłam na niego wcześniej uwagi. Można tu zatem siedzieć, robiąc swoje, a jednocześnie rozmawiać z rodziną lub znajomymi.

Dziwny pomysł.

Podnoszę słuchawkę.

- Halo?

- Lynn? - Słyszę męski głos.

- Tak? - odpowiadam odruchowo. Nie, to nie dość asertywne.

- Lynn Blanchett, słucham - dodaję pewniejszym tonem.

- Cześć. Mam na imię Nicolas Bouchez. Jestem specjalistą do spraw kadrowych u Muriel B. - mówi z lekkim francuskim akcentem.

Jezu Chryste!

Pierwszy odruch: rozłączyć się, uciec jak najdalej. Drugi: wejść pod łóżko.

Trzeci: zmienić sukienkę, żeby nie zhańbić się jeszcze bardziej. Wystarczająco już zawiodę ich nadzieje.

- Wszystko w porządku? Pokój ci się podoba?

- Pokój?

- Muriel kazała sprawdzić, czy pokój na pewno ci się podoba.

- Tak, oczywiście.

Czuję, że muszę usiąść. Na sedesie. No, no, całkiem wygodnie tak rozmawiać przez telefon!

- Muriel prosiła, żebym cię, jakby to ująć, powitał czy coś w tym rodzaju. Sprawdził, jak się masz. Jestem na dole, przy recepcji. Pewnie umierasz z głodu. Może poszlibyśmy na lunch? Chciałabyś odwiedzić jakieś konkretne miejsce?

Czytałam o restauracjach w przewodniku, ale żadna nazwa nie przychodzi mi do głowy. - Cokolwiek dla wegetarian. Tak, postanowiłam zostać wegetarianką. Tak jak Jodie! Czy coś w tym złego?

Krok czwarty:

W rozmowie stawiaj na milczenie

- Vous avez réservé?* - pyta kierownik sali, wpatrując się w moje potargane włosy. No tak, na dodatek cuchną benzyną. Ale o tym później.

- Une table pour deux, au nom de Bouchez ou Muriel B.* - odpowiada Nicolas.

Kiwam głową. Czego by nie mówili, będę po prostu kiwać głową.

- Muriel B., mais bien ser, une table pour deus*. - Kierownik sali nie wygląda już na tak zaskoczonego. W świecie mody pełno mi podobnych, dziwnie pachnących ludzi z szalonymi fryzurami.

Nicolas uśmiecha się do mnie, jakby chciał powiedzieć: „Widzisz, żaden problem”. Pomaga mi zdjąć żakiet i wręcza go pracownikowi restauracji. Przy stoliku siada dopiero wtedy, kiedy ja już siedzę. Nalewa mi wody, zanim zabiera się do tego kelner. Wskakuje na stół, całuje mnie namiętnie i zamawia przystawki (no dobrze, to ostatnie zmyśliłam).

Mój oryginalny plan zakładał, że zmienię sukienkę, spotkamy się przy recepcji i przekonam go, że jestem chodzącym ideałem.

No cóż, nie wszystko poszło po mojej myśli. Zauważyłam go, schodząc po monumentalnych hotelowych schodach - stał na samym środku holu.

- Jestem od stóp do głów ubrany na czarno, nie sposób mnie przeoczyć - powiedział wcześniej przez telefon.

Rzeczywiście, miał na sobie obcisły czarny garnitur, obcisłą czarną koszulę i czarny krawat. Obcisłe jak diabli!

Nawet z daleka było widać, jaki jest szczupły i umięśniony. Gdy zrobiłam kilka kroków, nagle odwrócił się twarzą w moją stronę. Hola, hola!

Nie tak wyglądają specjaliści do spraw kadr! Przysłali mi jakiegoś... anioła!

Rozglądał się uważnie, usiłując zapewne wyłowić mnie wzrokiem. Która z tych wspaniałych kobiet jest tą niesamowitą Lynn Blanchett? Na pewno nie to stworzenie z rozdziawioną gębą, które idzie prosto na mnie i najwyraźniej się ślini...

Wypróbowałam w myślach kilka powitań: Cześć, to ja, Lynn. Lynn Blanchett. To ja, Lynn, cześć.

To się nie uda, pomyślałam. Nie umiem sobie radzić z ludźmi o takim wyglądzie. Intensywnie błękitne oczy, włosy ciemny blond i usta już rozchylone w delikatnym uśmiechu.

- Czy pan Nicolas Bouchez?

Uśmiechnął się jeszcze bardziej promiennie. W kąciakach jego powiek pojawiło się kilka uroczych zmarszczek. Miał około trzydziestu lat.

- Tak?

- To ja. Lynn Blanchett. Rozczarowany?

- Och, Lynn. Oczywiście. Miło cię poznać. Nareszcie. Ucisnął delikatnie moją dłoń. Spojrzałam mu prosto w oczy i poczułam, że zaczynają mi mięknąć kolana. - Jesteś... - Tak?

- Głodna? Zmęczona?

Nie, tylko mówę mi odjęło. Nigdy nie widziałam tak przystojnego mężczyzny. I jeszcze do mnie mówił! - Ee...

- Dzisiaj nie będziemy cię przemęczać. Ale jutro zacnie się prawdziwy... prawdziwy cyrk.

- Ee...

- Zarezerwowałam stolik w ciekawym miejscu, nazywa się Le Club. Podają tam mięso, ale są też potrawy dla wegetarian. Co ty na to?

Jesteś półbogiem. Chcę paść na kolana i oddawać ci cześć.

- Ee... świetnie - udało mi się w końcu z siebie wydusić. - Bomba. Fantastycznie.

- Przyjechałem na skuterze. Wezwę dla ciebie taksówkę. Właśnie kupiłem sobie nowy model od BMW - skuter w Paryżu świetnie się sprawdza.

Podreptałam za nim przed hotel, gdzie stał pojazd znany mi dotąd wyłącznie z reklam i filmów.

- Są teraz bardzo modne - powiedział Nicolas - i o wiele łatwiejsze do zaparkowania niż samochód.

- Mieści dwie osoby?

- Hm. Ma siodełko dla pasażera, ale... Skuter miał z tyłu półeczkę, mogącą pomieścić aktówkę lub, kto wie, może i Lynn Blanchett.

- Więc zapomnijmy o taksówce. Przejadę się z tobą. Rzucił mi przerażone spojrzenie. Czy wiesz, w co się pakujesz, głupia babo?

Tak, wiem. Nigdy nie byłam niczego tak pewna! Pojadę na skuterze, jak prawdziwa paryżanka!

- Nie mam dla ciebie kasku.

- Wszystko mi jedno.

Uśmiechnęłam się do niego. Przez chwilę byłam zapewne najzabawniejszym nowym nabytkiem działu public relations, z jakim kiedykolwiek miał do czynienia. I tak oto pojechaliśmy do restauracji na skuterze.

Był to wspaniały sposób, aby:

1. dotykać Nicolasa,
2. popatrzeć sobie na Paryż,
3. jeszcze bardziej potargać włosy,
4. pomóc środowisku naturalnemu, filtrując opary benzyny przez własną sukienkę,

5. chcąc nie chcąc, zwrócić na siebie uwagę kierownika sali.

- Pomóc ci w czymś? - pyta Nicolas, gdy zajęliśmy już miejsca przy stoliku.

Ma taki słodki głos. Co chwilę uśmiecha się lub śmieje głośno - anioly są w końcu bardzo miłe z natury.

- Proszę mi wybaczyć, oczywiście mamy menu po angielsku - mówi kelner, starając się zabrać mi kartę dań.

- Non - mówię jednak (Francuski w dziesięć dni - dzień pierwszy), - Może być po francusku. Które wegetariańskie danie pan poleca?

Kelner wygląda na zaskoczonego, ale maskuje to dobrymi manierami.

- Mamy tylko jedno danie dla wegetarian, proszę pani.

- W takim razie proszę. Brzmi apetycznie.

- Czy nie masz nic przeciwko temu, żebym zamówił mięso? - pyta Nicolas.

- Możesz zamówić, na co tylko masz ochotę - śmieje się głupawo.

Prosi o coś po francusku. - Wina?

- Jasne!

Wybiera wino. Zapada krępująca cisza.

- Palisz? - pyta w końcu. - Nie.

To dobrze czy źle? Wolałbyś, żebym paliła?

- Ja też nie - mówi.

To chyba dobrze, że nie palę. Znów zapada cisza. - Ee...

Nie mogę uwierzyć, że siedzę tu z takim facetem jak ty!

- Ee...

Powiedz coś błyskotliwego, Lynn! - Ee...

- Muszę się przyznać, że jestem wielkim fanem twojej matki - przerywa ciszę mój towarzysz.

Cholera!

- Ta kolekcja z papieru... - dodaje enigmatycznie i kiwa głową w zamyśleniu.

Tylko nie to!

Myślałam, że mam pustkę w głowie, ale starczyło wspomnieć Jodie, aby mój mózg zupełnie przestał funkcjonować.

- Jest genialna, prawda? - Nicolas brnie dalej. Powoli zamieniam się w warzywo. Powiedźże coś, Lynn!

- Chateau Haut-Brion, rocznik 1997. - Za późno. Kelner wrócił z butelką wina. Nicolas próbuje odrobinę i mówi, że jest wyborne. Cest parfait!

- Lubisz francuskie wina? - pyta.

- Nie pi... Oczywiście. Uwielbiam je. Uwielbiam wszystko, co podoba się tobie, głuptasie.

- To dobrze.

I znów zapada cisza.

Wykrztuś coś, dziewczyno, bo znów wyciągnie Jodie.

- Przepraszam, jestem bardzo zmęczona. Przepraszam za brak zdolności krasomówczych, za brak osobowości, za wszystko.

- Rozumiem, nie ma sprawy.

Próbuję wina. Smakuje dziwnie, jak mieszanka ziemi, pleśni i grzybów.

- Wyborne - powtarzam.

- Ładnie się zestarzało, prawda? - Hm? Tak. Tak.

Nicolas wacha zawartość kieliszka, upija łyk i przed przełknięciem płynu wydaje z siebie jakieś podejrzone odgłosy.

Gulgoczący anioł? To trochę niepokojące.

- Une belle robe, quoiq'un peu riche en tannin* Kiwam głową. Oui, oui.

- Musisz świetnie znać się na winach.

Tak, tak. Obsypuj go komplementami, aż pęknie z dumy.

- Nie za bardzo. Ale to jedno z moich hobby. Jedzenie... restauracje... wina. Wy, nowojorczy, jesteście szczęściarzami. Tyle świetnych restauracji, słynnych szefów kuchni, fantastycznych barów.

Tylko nie zacznij mnie wypytywać o lokale w Nowym Jorku! Wyprowadziłam się z Tatą do Connecticut wieki temu. Jeśli przyjeżdżam do miasta, przesiaduję zwykle w mieszkaniu Jodie przed gigantycznym telewizorem plazmowym. Zapytaj mnie o programy na jej kablówce!

- Uwielbiam jeździć do Nowego Jorku tylko po to, żeby chodzić do restauracji - ciągnie Nicolas. - Którą lubisz najbardziej?

- Restaurację? -Tak.

- W Nowym Jorku? -Tak.

- Czyja wiem? Nie interesuję się za bardzo... jedzeniem. Que me nourrit me détruit.*

- To motto anorektyczek! - Jest zaniepokojony.

Ja anorektyczką? Dobrze sobie! Czy to francuskie poczucie humoru? Słupy jest czy co?

Znowu cisza. Uśmiecha się, ale wiem, że czuje się przy mnie nieswojo.

- Przepraszam, naprawdę padam z nóg - ponownie zwałam winę na lot międzykontynentalny. Boże! Musi mnie uważać za kompletną idiotkę.

- Tost z kozim serem na sałatce z bakłażana dla pani. -Kelner stawia przede mną talerz.

Nie cierpię koziego sera i nienawidzę bakłażanów!

- Votre filet mignon! - mówi kelner do Nicolasa, serwując mu coś, co wygląda jak kawał smakowitej wołowiny zawinięty w plasterek kuszającego bekonu.

Mój towarzysz kiwa głową, zadowolony. Najwyraźniej anioły są mięsożerne.

Co się zaś tyczy mojej sałatki, gapię się na nią tylko, jakby mówiła do mnie po grecku.

- Nie jesz?

Jestem tak głodna, że zaraz zemdleję.

- Och, jakoś mi przeszło.

- Rozumiem - mówi. - Nie masz nic przeciwko, żebym... - Wskazuje na stek.

- Ależ nie. Smacznego.

- Wiesz, to miejsce, ta restauracja - Nicolas gestykułuje nożem - jest teraz naprawdę na topie. Trudno dostać w Paryżu coś lepszego... dla wegetarian.

- Nie wątpię, ale jakoś nie mam ochoty. Wysił się, dziewczyno.

Nabijam na widelec kawałeczek sera, unoszę powoli do ust i zaczynam żuć. Moje kubki smakowe atakuje zniechęcony smak.

Chcę wypluć to paskudztwo i wrzasnąć z obrzydzenia, ale udaje mi się wymamrotać „pardon”, wstać i podejść ukradkiem do kierownika sali.

- Toaleta? - syczę przez zęby, starając się nie opluć serem jego pięknego fioletowego krawata.

Wskazuje mi schody prowadzące w dół.

Szybko docieram do ubikacji. Wbiegam do kabiny i wypływam ser. Jestem żalosna. Zmęczona. Nie spałam od dwudziestu czterech godzin. Zaraz załamie się nerwowo. Jem lunch z najprzystojniejszym facetem, jakiego w życiu spotkałam, i robię z siebie widowisko.

Siadam, zamykam drzwi na klucz i rozklejam się na dobre. Po prostu zaczynam płakać. Płacz to dobra rzecz. Mężczyźni nie mogą znieść szlochających kobiet, myślą, że coś jest nie tak, ale czasami prawda wygląda zupełnie inaczej. Na przykład teraz. To tylko sposób wyładowania nadmiaru emocji, potem można działać dalej.

Gdy wracam do stolika, Nicolas ma już pusty talerz. Musiał się nieźle spieszyć podczas mojej nieobecności.

Podchodzi do nas kierownik sali i pyta, czy skończyliśmy jeść.

- Tak, dziękujemy - mówię.

Kierownik i Nicolas zerkają na siebie. Obaj zgadzają się chyba, że wszystkie Amerykanki to wariatki.

- Coś na deser?

- Tylko kawa - mówi mój towarzysz.

- Dla mnie latte na chudym mleku, bez pianki - proszę. Kelner rzuca mi takie spojrzenie, jakbym zamówiła wyróżnienie w pień jego rodziny.

- Latte na chudym mleku, bez pianki - powtarza Nicolas i uśmiecha się.

Ach, ten boski uśmiech.

Mogłabym do końca życia zamawiać kawę latte, jeśli miałyby to wywoływać uśmiech na jego twarzy.

Ciekawe, co by było, gdybym zamówiła bezkofeinową macchiato na mleku sojowym?

Po chwili znów jedziemy skuterem. Tym razem przytulałam się mocno do pleców Nicolasa. Zamykam oczy. Czuję, jak oddycha. Wdech, wydech, Wdech, wydech. Czy to nie może trwać wiecznie?

- Możesz mnie już puścić. Otwieram oczy. Stoimy pod hotelem.

- Przepraszam..., odplynęłam. - Puszczam go i zsiadam.

- Do zobaczenia jutro w biurze. Zamówię ci taksówkę. O ósmej trzydzieści nie będzie za wcześnie?

- Ja nigdy nie śpię - powtarzam za Jodie. Mówi tak każdemu, chociaż nigdy nie słyszałam, żeby ktoś głośniej chrapał. - Tyle jest zawsze rzeczy do zrobienia! Wyśpię się w następnym wcieleniu, cha, cha!

Na Boga, zamknij się, dziewczyno.

- Jasne. - Wykonuje ręką jakiś dziwny gest, którego nie rozumiem. Pewnie chce powiedzieć, że nigdy nie spotkał większego dziwadła.

- Do zobaczenia! - wołam, ale zdążył już odjechać.

* * *

W moim pięknym apartamencie padam na łóżko. Podnoszę słuchawkę telefonu i wciskam klawisze zgodnie z leżącą obok instrukcją, aby zadzwonić do Stanów.

- Co u licha? - To Delia, moja najlepsza przyjaciółka.

Obarczam ją częściowo winą za to, że jestem teraz w Paryżu.

To ona przecież powiedziała: „Hej, dlaczego nie zadzwonisz do swojej matki? Może załatwi ci posadę recepcjonistki czy coś w tym stylu”.

Nie wiedziała, że Jodie nie zachowuje się tak, jak inni ludzie.

Gdy zasugerowałam jej, żeby na urodziny kupiła mi karnet do siłowni, przysłała mi w swojej limuzynie osobistego trenera z Australii, który liczył na wikt i opierunek.

Wracając do tematu...

- Poznałam kogoś - mówię do słuchawki.
- Co? To ty, Lynn?
- Poznałam kogoś.
- Poznałaś... Lynn, wiesz, która jest godzina? Leżę na łóżku. Szkoda, że Delia nie może zobaczyć, jak promiennie się uśmiecham.
- Jestem w łóżku! Śpię! Całe to cholerne miasto śpi! Zwariowałaś?
- Nigdy nie widziałam przystojniejszego mężczyzny. W dodatku jest taki... subtelny. Jest... jest...
- Jak ma na imię? - Delia w końcu się poddaje.
- Nicolas.
- Francuz?
- Stuprocentowy.
- Mm... Nie podoba mi się to. Nie wierzę tym typkom z Europy. Świetni w łóżku. Dowcipni. Wydaje się nawet, że słuchają, co do nich mówisz. To podejrzane. Zakochałaś się?
- Tarzam się po łóżku, bawiąc się kablem telefonu. Jestem znowu nastolatką!
- Nie wiem.
- To Francuz, używaj prezerwatyw!
- Delia!
- Seksowny?
- O Boże!
- Szczęściaro! Wybuchamy śmiechem.
- Delia, on ma mnie gdzieś.
- Na pewno cię lubi. Wszyscy cię lubią!
- Nie, jestem pewna, że nie. Wykluczone. Jest z innej bajki, taki przystojny, taki... A ja, wiesz, to ja.
- Bzdury! Jesteś laska.
- Jaka tam laska!
- Blanchett! Posłuchaj tylko! Ten facet, ten „Nikolaaz”, nie zasługuje na ciebie.
- Milczę.

- Lynn, przyrzeknij mi, że wrócisz. Milczę.

- Nie przeprowadzisz się do Francji dla faceta, prawda? Hm...

Przeprowadzam w myśli krótkie obliczenia. Jestem brzydka: -2

Fatalnie się ubieram: -2

Jestem cudzoziemką: +1

Udaję anorektyczkę: -2

Piję latte bez pianki: +2

Lubię jeździć z nim na skuterze: +2

Jestem straszliwie potargana: -1

Na widok najprzystojniejszego i najbardziej uroczonego
mężczyzny we Francji miękna mi kolana: +2 Razem: 0

RS

Krok piąty:

Uwodzenie jest proste

Oto mój nowy plan: kawa.

Zerkam na zegar. Jest dopiero szósta rano. Wiem, wiem, nie powinnam ruszać się z bezpiecznej przystani mojego łóżka, gdy tam na zewnątrz setki ludzi czekają na nową Jodie, ale mam ochotę na kawę. A potem przypominam sobie swoje sny.

Co za noc! Między innymi zjadały mnie żywcem różnorakie ryby. Ale bynajmniej nie śniły mi się same koszmary. Au contraire*. Większość snów miała charakter bardziej, hm, erotyczny. Był w nich On (on, on, on!), para wielkich skrzydeł i różne gatunki zwierząt.

Niesamowite, jak zmęczenie po locie międzykontynentalnym potrafi namieszać człowiekowi w głowie!

Albo to paryskie powietrze. Jakieś związki toksyczne zwiększają libido Bogu ducha winnym Amerykankom!

Wyślizguję się spod kołdry i skaczę na jednej nodze do łazienki. Od czego by tu zacząć? Na razie przyglądam się w lustrze mojemu ciału. Czuję się taka... Hm.

Po pewnym czasie mam dość swojego odbicia. Ubieram się w przygotowane zeszłego wieczoru ciuchy i idę po kawę. W holu panuje grobowa cisza. W recepcji ani żywej duszy. To samo w restauracji, choć zdaje się otwarta.

- Hop, hop! - wołam. - Jest tu kto?

Jakie piękne wnętrze! Lśni niczym nowiutka moneta, przenosząc jednocześnie stulecie czy dwa w przeszłość.

W końcu z kuchni wychodzi zmęczony kelner i zauważa mnie.

- Bonjour, mademoiselle. Une seule personne?*

- Śniadanie - rzucam nieco spłoszona.

- Tak, tak. Śniadanie. Suivez-moi*. Sadza mnie przy uroczym stolicku.

- Angielskie czy kontynentalne?

- Cha, cha. Muszę przyznać, że dziś rano czuję się wyjątkowo kontynentalnie.

Wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć „a gadaj sobie do woli”, po czym przynosi koszyczek pełen miniaturowych drożdżówek i rogalików. Na stole stoją już słoiczki z dżemem, miodem i masłem, również rodem z domku dla lalek. Do zabawy mam też ciepłe bagietki i wielki zaparzac do kawy. Jestem w niebie!

Po pewnym czasie dołącza do mnie paru innych gości. Przyglądam się zwłaszcza kobietom, kobietom interesu, tym, które pojedą zaraz do biura - tak jak ja.

Powinam wyglądać właśnie tak jak one, a zdaję sobie teraz sprawę, że wybrałam niewłaściwy strój. Włożyłam nowiusieńki szary kostium kupiony z myślą o rozmowach kwalifikacyjnych. Przypominam w nim modelkę z reklamy szamponu przeciwłupieżowego.

Kobiety, którym się przyglądam, są bardziej na luzie.

Mają na sobie drogie dżinsy, proste, białe lub czarne bluzki koszulowe, a niektóre, choć w restauracji panuje półmrok, skrywają twarze za wielkimi, delikatnie przyciemnionymi okularami przeciwsłonecznymi.

Nie będzie tak trudno pójść w ich ślady.

To takie łatwe być modnym!

Wracam windą do pokoju. Na szczęście zapakowałam parę brudnych dżinsów. Wącham je na próbę. Hm... Nie pachną zbyt pięknie, ale załatwię to dezodorantem.

Nie mam jednak przy sobie białej bluzki. Ale jest biały podkoszulek, w którym jechałam autokarem do Nowego Jorku. Jego też wącham.

Fuj!

Bogu dzięki za dezodorant!

Psik, psik.

Podkoszulek ma pod pachami niewielkie plamy od potu. Nie szkodzi, po prostu nie będę podnosić rąk do góry. W końcu, ile

razy trzeba podnosić ręce do góry, pracując w biurze? Jak tylko będę miała wolną minutkę, wyskoczę na miasto i kupię odpowiednią bluzkę.

Przeglądam się w łazienkowym lustrze. Nadal nie przypominam kobiet widzianych przy śniadaniu. To te dzinsy. Zły model. Nie mają ani wymyślnego kroju, ani żadnych ozdób. Na pewno nie zaprojektował ich nikt sławny.

Może jeśli je podwinę... o tak? No, teraz trochę lepiej.

A buty?

Wypróbujmy moje japonki. Do dzieła!

Obracam się i mizdrzę przed lustrem. Wyglądam, hm, oryginalnie? Nadal czuć pot. Więcej dezodorantu! Psik, psik.

Smierząca brzydula - oto mój image! Tego mi trzeba, by poczuć się pewniej pierwszego dnia w nowej pracy!

Spoglądam na leżący na łóżku szary kostium. Kobieta z reklamy szamponu przeciwłupieżowego czy spocony strach na wróble? Lynn, wybór należy do ciebie.

Może pomogłaby mi para delikatnie przyciemnionych okularów przeciwsłonecznych? Mam tylko takie zwykłe. Przymierzam je. Prawie nie widzę swojego odbicia. I dobra nasza, nie chcę siebie widzieć. Od razu poprawia mi się samopoczucie.

Dzwoni telefon. Odbieram go w łazience. To Massoud czeka już w recepcji.

Panika!

W pośpiechu po raz ostatni psikam się dezodorantem. Czy aby nie jest za zimno na paradowanie w samym podkoszulku, w dodatku brudnym? Będę wyglądała na półnagą! Chwytam cienki, różowy sweterek i zarzucam go sobie na ramiona. Świetnie! Przypominam teraz kogoś z lat osiemdziesiątych, kto uciekł właśnie z pudełka na buty, w którym spędził ostatnie dwadzieścia lat!

- Dzień dobry, Massoud - mówię, wsiadając do auta. - Miło znów cię widzieć.

Odwraca głowę i lustruje mnie wzrokiem. Niuch, niuch.

- Angielski nie - przypomina, otwierając okno od strony kierowcy. Mruczy coś pod nosem. Jak się mówi po arabsku: „Boże, ta baba w różowym nieźle śmierdzi”?

Rozpoznaję widziane wczoraj ulice, głównie dzięki stadkom podstarzałych prostytutek. Massoud zatrzymuje samochód i pokazuje mi drewnianą czarną bramę po drugiej stronie ulicy.

- Muriel B. - mówi.

Nie jestem pewna, czy ma na myśli jakiś burdel czy dom mody.

- Rue Saint Denis, tres tres modna!

- Jesteś pewien, że to tu?

Jodie przysłała mnie do Paryża, żebym popracowała w świecie mody, a nie w salonie masażu. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Wysiadam z auta. Otaczają mnie ludzie o hinduskich i azjatyckich rysach twarzy dźwigający bele materiałów, no i prostytutki, mnóstwo prostytutek.

Dostrzegam jednak jajo na kółkach należące do Nicolasa i od razu poprawia mi się humor. Proszę jedną z pań lekkich obyczajów o odsunięcie się od drzwi, aby móc skorzystać z domofonu.

- J'étais la la premiere, dégage!*

Chyba próbuje mnie przegonić! Myśli, że jestem konkurencją!

- Chcę tylko dostać się do środka. - Wskazuję na domofon. - Pracuję tutaj.

- Ja też tu pracuję! - Odsuwa się poirytowana i spluwa na ziemię. Oto, co o mnie myśli.

Dzwonię. Drzwi brzęczą i otwierają się. Zaglądam nieśmiało do środka. Za bramą rozciąga się bardzo stare podwórze z kamienną ławką. Pośrodku stoi posążek z aniołem, a za nim dwupiętrowy budynek. To jakby domek jednorodzinny w sercu Paryża.

Kłapiąc japonkami po sędziwych płytach chodnikowych, podchodzę bliżej i zaczynam wspinać się po marmurowych stopniach wiodących do wejścia.

Przez szklane drzwi widać blat recepcji z wielkim logo Muriel B. Nie ma innej możliwości. Oto bramy piekieł.

Ale poradzę sobie. Uda mi się udowodnić Jodie i całej reszcie, że pasuję do tego światka.

Wchodzę. Recepcjonistka podnosi głowę. Taka tu cisza! Wydaje się, że poza nami nie ma nikogo.

- Bonjour. Je peux vous aider?*

- Nicolas Bouchez?

- Qui doisje annoncer?*

Boże, jak długo mogę udawać, że mówię po francusku?

- Nazywam się Lynn Blanchett.

- Ach, oczywiście. Proszę spocząć.

Siadam w pięknym białym holu obok recepcji. Wszystko wydaje się prosto spod igły. W powietrzu nadal unosi się zapach farby, tu i tam wystają kable, których nie zdążono jeszcze ukryć.

Mimo to siedziba Muriel B. robi piorunujące wrażenie. Nowoczesne wnętrza schowane za sędziwą fasadą. A na zewnątrz, za bramą, sodoma i gomora. To takie... Hm. Na topie?

Z olbrzymiej marmurowej klatki schodowej dobiega odgłos ciężkich kroków. Siedzę sparaliżowana. Tak muszą czuć się zwierzęta w szponach drapieżcy. Zdejmuję moje idiotyczne okulary.

To on!

Jakbym dostała obuchem.

Czyż nie wygląda niezwykle pociągająco? Zupełnie jak w moim śnie dziś w nocy. Tak, w tym, w którym goni mnie wokół stodoły. Padamy na siano i... Ach!

Czy musiał włożyć sporo wysiłku w to, żeby wyglądać dziś równie rewelacyjnie, czy też zawsze jest taki słodki?

- Miło cię znowu widzieć. Wypoczęłaś nieco?

Nie mogłam przestać o tobie myśleć, nawet śniłam o tobie.

- Wyspałam się za wszystkie czasy.
- Muriel już nie może się doczekać.
- Ja również.

Lynn, to już dwie sensowne wypowiedzi, jestem z ciebie dumna!

- A jak ci się podoba nasza siedziba? - pyta, gdy ruszamy w kierunku miejsca mojej kaźni. - Niesamowita, prawda?

- Bardzo... wyjątkowa.

- Wiem. Daleko od modnych rejonów miasta. To pomysł Muriel. Chce, żebyśmy trzymali rękę na pulsie, byli tam, gdzie naprawdę rodzą się trendy.

- Brzmi rozsądnie - przyznaję szczerze. - Moglibyście zrobić z tego slogan reklamowy: „Muriel B. Tam, gdzie naprawdę rodzą się trendy”. Wiesz, o co mi chodzi?

Uśmiecha się ze zrozumieniem. Po raz pierwszy podoba mu się to, co mówię bądź robię - no, może poza jazdą na skuterze.

Nagle wpada mi do głowy świetna myśl. Można by urządzić pokaz mody właśnie tam za bramą, na ulicy, w samym środku tego chaosu.

- Wiesz co...

- Co, Lynn?

Chwileczkę. A jeśli to kompletny idiotyzm? Skąd mam wiedzieć, że nie? -Ee...Nic. Jesteś żalonna.

Na półpiętrze moje serce przyspiesza. Zza dużych, wysokich białych drzwi słychać głosy, śmiech i zamieszanie.

- Cest l'Atelier*. Biura są na drugim piętrze, ale to tu właśnie bije serce naszej firmy.

Otwiera drzwi i zaprasza mnie do świata magii. Swojego świata.

Dzień dobry...

Atelier jest wielkie niczym sala balowa. Pełno tu stołów, które otaczają małe grupki. Ludzie rozmawiają, gestykują, krzyczą. Prawdziwy cyrk.

Większość obecnych to Azjaci, chyba Japończycy. Są młodzi i ubrani zgodnie ze współczesnym wydaniem mody punk. Królują dredy, kolczyki w dziwnych miejscach, wielobarwne fryzury i tatuaże.

Nicolas prowadzi mnie wśród stołów.

- Stoi tam - mówi, wskazując gromadkę na końcu atelier. -
Poznajesz ją?

- O tak - odpowiadam, usiłując zgadnąć, która z tych nastolatek to Muriel. W końcu decyduję, że to najstarsza, a jednocześnie najbardziej klasycznie elegancka z dziewczyn.

- Muriel! - woła Nicolas. Świetnie, elegantka odwraca się pierwsza. Podchodzę do niej, biorę głęboki oddech, i uśmiechając się, jak umiem najładniej, ściskam jej dłoń na powitanie.

- Cześć Muriel, miło cię poznać. Odwzajemnia uśmiech.

- Françoise Neuton, bardzo mi przyjemnie. Cholera!

Elegantka wskazuje palcem najdrobniejsze stworzenie w grupie.

- A oto i Muriel - dodaje ubawiona.

Właścicielka domu mody nie wygląda na więcej niż osiemnaście lat. Jej uszy, wargi i nos ozdabiają niezliczone kolczyki, a olbrzymi afrykański tatuaż pokrywa cały kark i obie ręce.

Nicolas zwraca na siebie uwagę chrząknięciem.

- Muriel, przedstawiam ci Lynn Blanchett.

- Hm... - Muriel nie podaje mi ręki. - C'est un honneur d'avoir une Blanchett parmi nous*.

To nie będziemy mówić po angielsku?

Kiwam głową. Ta metoda na razie się sprawdzała.

- Tu parles français, j'espere?*

- Oui. Je... Hm. Je... - Żaden francuski zwrot nie przychodzi mi do głowy. Nawet dotyczący kupowania bagietki.

Wszyscy w atelier przestają pracować i odwracają się, żeby zobaczyć, co powiem. Zapada cisza.

- A więc poznałaś już Françoise - wybawia mnie z opresji Nicolas. - Jest tu premiere. Jeśli Muriel to mózg naszej firmy, Françoise jest jej rękami.

- Pięknie to ująłeś, Nicolasie - mówi Muriel nonszalanckim tonem, z przesadnie brytyjskim akcentem. Przygląda mi się uważnie, a pozostali idą w jej ślady. Nie śmieją wyrobić sobie o mnie opinii, zanim zrobi to szefowa.

- Fajna podkoszulka. To DKNY?

- Nie, nie. Taka sobie.

- Hm, nigdy nie słyszałam o Tace Sobje. Jest w ciekawy sposób odpychająca. Ale ma to coś...

Pozostali zaczynają szeptać między sobą o mojej białej podkoszulce od Taki Sobje.

Przestań gapić się na jej tatuaże!

Czy to...? Tak, Muriel ma też kolczyk w języku! Nie mogę uwierzyć, że to naprawdę ona, moja przyszła szefowa, pracodawczyni Nicolasa. Ktoś taki powinien chyba chodzić jeszcze do szkoły, prawda?

- Pracujemy właśnie nad tym modelem. - Pokazuje palcem sukienkę wiszącą za nimi na drewnianym manekinie. Tfu! Jest jakaś taka... paskudna. - I co myślisz?

- No... Jest taka...

- Nie podoba ci się? - pyta Muriel rozbawiona. Znów cisza.

- Tak szczerze to... Hm... Coś jakby...

Jakby co, głupia krowo? Niemodna? Za długa? Za krótka? Zbyt brązowa? Zbyt obcisła? Co ty tam wiesz.

- Jest paskudna.

Czy to ja powiedziałam? Françoise Neuton odwraca wzrok.

- C'est tout de m?me incroyable!* - szepcze. Muszę być najbardziej denerwującą osobą, z jaką w życiu miała do czynienia.

- Paskudna? - prycha Muriel. Świetnie się bawi. - Słuchajcie wszyscy, Blanchett sądzi, że jest „paskudna”!

Zerkam na Nicolasa. Trzyma się za brodę i przygląda sukience w zamyśleniu. Potem patrzy na mnie. Ja czy sukienka? Której lepiej prędej się pozbyć?

- Świąte słowa. Françoise! Nie zrozumiałaś mnie. Przerób ją! Allez! Comment tu dis, Lynn?*

Jest paskudna. Merci.

Jeszcze więcej szeptów. Jakby otaczało mnie kłębowisko syczących żmij.

Françoise Neuton patrzy mi prosto w oczy. Ma tak zaciśnięte usta, że nie dałoby się wetknąć w nie szpilki.

Muriel podchodzi bliżej i wacha powietrze.

- Bardzo mocne te perfumy. Czy to Kazo? Jaki Kazo, idiotko, to tylko Secret.

- Nie, to... Se... Zrobiono je specjalnie dla mnie!

- Wam, Amerykankom, wszystko uchodzi na sucho -śmiechu warte róże, okropne podkoszulki, cuchnące perfumy... Niesamowite.

Uśmiecham się, mając nadzieję, że to komplement.

- Une minute tout le monde* - woła Muriel, wymuszając ciszę. - Je vous présente Lynn Blanchett, la fille de Jodie Blanchett!*

Wiele osób syczy nienawistnie.

- Lynn vient de New York et travaille dam..*

- Relations publiques - podpowiada Nicolas, przypominając Muriel, co tu u licha robię oprócz popisywania się sławną matką.

- Bienvenue, Lynn - słyszę zniewieściały męski głos i chociaż nie wiem, która ze żmij się odezwała, po raz pierwszy od opuszczenia Nowego Jorku czuję się lepiej.

* * *

Oh la la!

Muriel zachowuje się tak, jakbym pracowała u niej od wieków.

Myśli, że mam wszystko w małym palcu.

Hm... Tak naprawdę nie mam nawet pojęcia, o czym mówi.

Ciąga mnie za sobą po całym budynku, opowiadając o tym, co „musimy” zrobić, aby „nasza” firma osiągnęła sukces i tłumacząc, że jestem im „niezbędna”, jeśli „chcemy” stać się najbardziej rozchwytywaną nową marką na rynku.

- Ale potrzeba nam kasy, Lynn. Kupę kasy. I to ty właśnie pomożesz mi ją zdobyć.

Ja?

Muriel śmieje się głośno.

Wtóruję jej posłusznie, choć nie widzę w tym nic zabawnego.

- Weźmiesz ich w obroty. Gdy tylko zorientują się, że mamy kogoś takiego jak ty w zespole, zaraz wyłożą pieniądze na sfinansowanie moich pomysłów. Wyobraź sobie, córka Blanchett u Muriel B.! Każdy chciałby w to wejść, co nie? Prawda, Nicolasie?

- Mm... - Tyle właśnie Nicolas ma o mnie do powiedzenia. Jestem taka „mm”.

Przed wyjazdem wyobrażałam sobie Muriel jako dojrzałą kobietę - światową elegantkę popijającą szampana tak jak ja wodę. Nie wiedzieć czemu, myślałam, że będzie kimś takim jak Roxanne Green.

A oto, co dostałam w zamian.

Nastolatkę z afrykańskimi tatuażami i wielkimi planami skazanymi na niepowodzenie.

Nie pija szampana, za to wychyla jednego redbulla za drugim i nigdy nie przegapi okazji, żeby beknąć.

Fryzjer zmienił jej włosy w koronę czarnych kolców. Trzeba przyznać, że wygląda bardzo seksownie, a jednocześnie groźnie. To wolny duch.

- Moje biuro. Jedyne miejsce, w którym mogę zaznać trochę spokoju. Podoba ci się?

To bardzo duży, jasny pokój z wysokimi na kilka metrów oknami. Jest niesamowity. Nie ma w nim żadnych mebli z wyjątkiem niskiego stolika, na którym leży niewielki laptop, parę elektronicznych gadżetów i trochę papierów. Za stolikiem,

przy ścianie, stoi wielki Budda. Ma zamknięte oczy, a dłońmi wskazuje nirwanę.

- Bomba. Jest bardzo w stylu zen.

Nie ma tu ani jednego krzesła. Muriel siada przed stolikiem na drewnianej podłodze i zachęca gestem, abym do niej dołączyła.

- Musimy z nim teraz porozmawiać, Nicolasie. Połączysz nas, dobrze?

Nicolas zerka na zegarek.

- Catherine zorganizowała telekonferencję. Zacznie się za pięć minut.

- Wyjaśniłeś Lynn, o co chodzi?

- Cóż... Musimy teraz porozmawiać z bankiem... Może Lynn nie musi jeszcze znać szczegółów, jak myślisz? Muriel kręci głową.

- Nic jej nie powiedziałaś, prawda? Co jest grane?

Nicolas wzdycha.

- Lynn, jesteśmy splukani.

- Jesteś naszą ostatnią nadzieją - dodaje Muriel.

Ja? Ależ ja nie mam żadnych pieniędzy!

- Bonjour! Muriel? Tu m'entends?*

Z czarnego trójkątnego gadżetu na środku stołu dobywa się męski głos.

- Pierre?

W trójkącie siedzi najwyraźniej jakiś facet o imieniu Pierre.

- Pierre, przejdźmy na angielski, dobra? Jest z nami Lynn Blanchett z Nowego Jorku.

- Pas de probl?me, to znaczy, nie ma sprawy. Muriel wciska jakiś guzik.

- Pierre teraz nas nie słyszy. Jest dyrektorem finansowym Credit de la Cité.

- To nasz bank - wyjaśnia Nicolas.

- Bank mojego ojca. To znaczy, mój ojciec jest jego właścicielem, co do centa.

- Zwróciliśmy się do nich z prośbą o sporą sumę pieniędzy.

- A ty pomożesz nam ją zdobyć. - Muriel ponownie wciska ten sam guzik.

Czuję się, jakbym wpadała do studni bez dna.

- Muriel?

- Już jesteśmy, Pierre. Przepraszam, musieliśmy przejść do innej sali konferencyjnej.

Muriel znów odcina bankowcowi fonię. -1 jeszcze coś. Pierre to mój brat i oboje się nie znosimy. Brat? Przecież mówi po angielsku z francuskim akcentem. - Słyszałem to, Muriel! - mówi czarny trójkąt. - Nie słuchajcie jej, Kochamy się na zabój. Kto jest z tobą, złotko?

- Tylko Nicolas Bouchez i Lynn. Lynn jest naszym nowym nabytkiem, bardzo cennym dla firmy. Jest córką Jodie Blanchett!

Boże, jestem ich jedyną nadzieją!

- Witaj na pokładzie, Lynn. No to do dzieła, Muriel. Zareklamuj się ładnie, bo twój ostatni biznesplan nie za bardzo nam się podobał. Zbyt wiele w nim znaków zapytania.

- No to... hm... oddaję pałeczkę Lynn. Sądzę, że będzie najlepiej, jeśli sami z nią pogadacie. Ma całą masę świetnych pomysłów co do... no wiesz... nowych strategii finansowych, właśnie, strategii. - Muriel spogląda na mnie i zachęca gestem do przemówienia do trójkąta. - Lynn?

Kim są ci ludzie? Czego ode mnie chcą? Nie mam zielonego pojęcia o ich strategiach finansowych! Co mam u licha powiedzieć?

- Lynn? - mówi trójkąt. - Słyszysz mnie? Halo? Chyba coś nas rozłączyło.

Muriel wskazuje nerwowo swój czarny gadżet. Muszę szybko powiedzieć coś błyskotliwego i przekonać trójkąt, żeby wysupłał ileś tam milionów euro. Pochyliłam się więc nad stolikiem i mamroczę:

- Bonjour, Pierre. Miło cię poznać.

Bankowiec milczy. Najwyraźniej powinnam kontynuować. Nic mi jednak nie przychodzi do głowy i cisza coraz bardziej nam wszystkim ciąży.

- Muriel? - Pierre decyduje, że nie jestem odpowiednim partnerem do rozmowy.

Muriel rzuca mi ciężkie spojrzenie. Niechybnie zmarnowałam wielką szansę. -Tak?

- Jest tu ze mną Georges z działu finansowego. Przejrzał twoje księgi. Za dużo wydajesz i nie sądzimy, żebyś miała coś zarobić w najbliższej przyszłości.

-Trzeba odwagi, żeby wyrobić sobie renomę, Pierre. Trzeba mieć jaja. Teraz mamy Lynn, ona nam pomoże. Prześlę wam jej CV. Jest naprawdę wyjątkowa.

- Proszę bardzo. Prześlij CV, a moi ludzie ją sprawdzą. Sprawdzą? Jezu Chryste!

- Pierre, wiesz, że potrzebuję tych pieniędzy. Za daleko zabrnęliśmy, by to teraz odkręcić.

-Wszyscy potrzebujemy pieniędzy. Musimy kończyć... Do usłyszenia, Lynn. Hm... Muszę się przyznać, że jestem wielkim fanem twojej matki.

Przechodzą na francuski. Wsluchuję się tylko w melodię obcego języka i kiwam głową.

Oblewa mnie zimny pot. Sprawdzić moje CV? Jakie CV? Nikt nigdy nie pytał mnie o CV! Jodie nic mi nie mówiła! Stwierdziła tylko, żebym starała się wyglądać na kogoś, kto „swoje wie”, czy coś podobnego.

Muriel naciska guzik na trójkącie i kończy rozmowę.

Spogląda na Nicolasa, kręcąc głową. Potem przenosi wzrok na mnie.

-Tylko tyle miałaś mu do powiedzenia? Wielkie dzięki, Lynn.

- Może powinna była mieć trochę czasu, żeby się przygotować? - próbuje załagodzić Nicolas.

- Trochę czasu! Nie mamy czasu! Jesteśmy splukani! Splukani!

- Wiem. Ale znajdziemy jakieś rozwiązanie. Zawsze nam się udawało. - Nicolas jest opanowany i pewny siebie, a jednocześnie, jak zawsze, niezwykle seksowny.

Muriel patrzy mu prosto w oczy. Zaraz pożre go żywcem, z kośćmi i ubraniem.

- Posłuchaj, Muriel - zaczynam nieśmiało. - Nie przyjechałam tu, żeby przekonać twojego brata do dania wam kredytu. Nie wiedziałam nawet, że stoicie na skraju bankructwa.

Dobra nasza, Lynn, przerzuć odpowiedzialność.

- Wytlumacz mi zatem, co tu właściwie robisz! Co takiego?

- To przecież ty prosiłaś, żebym tu przyjechała.

- Lynn ma rację. - Nicolas patrzy na mnie, jakbym była złym duchem zesłanym na nich przez głupotę Muriel.

- To był twój pomysł - przypomina Muriel, dając tym samym jasno do zrozumienia, że Nicolas nigdy nie chciał mnie tu widzieć.

- Przyjechałam, żeby... Żeby co? - ...żeby ci pomóc - strzelam.

- Pomóc?

W czym chcesz u diabła jej pomóc? Dlaczego cię potrzebuje? Pamiętaj, o czym mówiła Roxanne.

- Wiesz, wszystkim wiadomo, że... że wydajesz pieniądze ojca, żeby spełnić swoje marzenia, prawda?

Nie tędy droga, Lynn! Ale jest już za późno.

- Rozumiesz, wszyscy myślą sobie, ot, bogaty tatuś spełnia zachcianki rozpuszczonej córeczki. Nikt nie wierzy, że chcesz coś naprawdę osiągnąć, że masz świetne pomysły. Więc przyjechałam tu, żeby... żeby przekonać ludzi, że podchodzisz do sprawy poważnie.

Bravo moi! Oklaski!

Oboje patrzą na mnie. Patrzą po sobie. Nikt nigdy nie zwracał się do niej takim tonem! Zabije mnie. Razem mnie zabiją. Naciśnie guzik z napisem „mord” w interkomie, a gromada azjatyckich gejów wpadnie do biura, żeby mnie rozszarpać!

- Mais de quoi elle parle, celle??* - krzyczy Muriel. - Wiesz, co mówisz? - Łapie czarny trójkąt i rzuca nim w Budkę.

- Uspokój się - prosi Nicolas. - Nie czas teraz na jedną z twoich chandr.

Wygląda na to, że jest do takich zachowań przyzwyczajony. Muriel wrzeszczy, on ucisza. Muriel niszczy, on naprawia.

- Nicolas, taistoi!* - Dziewczyna wskazuje na mnie. - A ty, ty idziesz ze mną!

Musiałam trafić w jej czuły punkt. Muriel zrywa się i wychodzi wzburzona. Spoglądam na Budkę. Chcę sprawdzić, czy otworzył oczy, ale nie, nadal udaje, że potrafi medytować w takim rozgardiaszu. Zwracam się do Nicolasa, licząc na jakieś wyjaśnienia, ale tylko wzrusza ramionami.

- Lepiej idź za nią. I jeszcze coś... -Tak?

- Dostarcz mi proszę twoje CV, wiesz, dla Pierre'a. Cholera!

- Lynn!!! - słysząc Muriel aż z recepcji.

Chcę wrócić do hotelu, wziąć prysznic i złapać najbliższy samolot do Stanów. Paryż! Miasto miłości! Akurat. To miasto, w którym ludziom zupełnie odbija!

Powiem po prostu Jodie, że złapałam grypę.

Albo dostałam czerwonki.

Jodie tak bardzo boi się mikrobów, że zrozumie, dlaczego poddałam się i wróciłam tak szybko.

Nie mam pojęcia, dokąd idziemy. Pędzę za Muriel, która uparcie wyprzedza mnie o kilka kroków. Nagle staje i odwraca na pięcie.

- Nie zajmuję się wyłącznie wydawaniem pieniędzy ojca. Pracuję w tej branży od pięciu lat. Mam talent! Jean Pierre Coltier mi to powiedział. Kim ty jesteś, żeby zwracać się do mnie takim tonem?

Jak mamę kocham, zaraz się rozplacze. Zachowuje się zupełnie jak rozkapryszona nastolatka, którą tak bardzo stara się nie być.

- Muriel, nie chcę tego dłużej ciągnąć, jesteście na to obie za stare.

- Czego ciągnąć?

- Tego przedstawienia. „Mała dziewczynka stroi fochy”.

- Nie jestem małą dziewczynką! Jestem tylko taka... taka zestresowana. Merde, tout va maV*

Odchodzi szybkim krokiem. Ale tym razem doganiam ją, chwytam za rękę i zatrzymuję.

- Nigdy nie jest tak źle, jak się wydaje.

- Mylisz się, Konfucjuszu! Zazwyczaj jest o wiele gorzej. Konfucjuszu?

Cha, cha.

Uśmiecham się do niej. Podoba mi się. Jest szalona, ale ją lubię. Odwzajemnia uśmiech. Do twarzy jej z nim.

- Z czego się tu śmiać? - pyta.

- Z ciebie. „Konfucjuszu”!

- Zawsze taka jesteś?

* Merde, tout va mai! (fr.) - Cholera, wszystko się sypie!

- Jaka?

- Mówisz to, co ci ślina na język przyniesie?

Cha, cha. Gdybyś tylko mogła czytać mi w myślach!

- Jesteś dziwna - mówi Muriel i znów rusza przed siebie w szaleńczym tempie, zwinnie wymijając turystów i przechodniów, by zniknąć w końcu w jakiejś położonej na uboczu kawiarence. Okazuje się jednak, że nie jest to zwykły lokal. Wchodzę za Muriel do środka i natychmiast zaczynam lepiej ją rozumieć.

W środku odkrywam ukryty przed oczami ciekawskich małeńki bar, którego klientelę stanowią wyłącznie kobiety - wysokie i niskie, grube i chude, brunetki i blondynki. Same panie.

Muriel jest tutaj najwyraźniej stałym gościem. Całuje barmankę na powitanie w usta.

- C'est ta nouvelle copine?*- pyta kobieta.

- Ona myśli, że jesteś moją dziewczyną. Jak sądzisz, pasowałybyśmy do siebie?

Boże Świąty!

- Lynn nie jest moją dziewczyną. To gość z Nowego Jorku.

- Quoi? J'parle pas anglais, moi*.

- Możemy rozmawiać po francusku, prawda, Lynn? Cholera!

- Oui, oui - kiwam głową.

Barmanka pyta mnie o coś po francusku, więc tylko uśmiecham się tajemniczo. To taki niezdecydowany uśmiech - nie potwierdzam ani też nie zaprzeczam. Ponawia pytanie, po czym zerka zdziwiona na Muriel.

Postanawiam odpowiedzieć „oui” i obie wybuchają śmiechem. Też zaczynam się śmiać. I oczywiście znów kiwam głową.

- No więc czego się napijesz? - pyta Muriel. To o to chodziło?

- Tylko kawy. Latte na chudym mleku lub coś podobnego.

Barmanka patrzy na mnie, jakbym spadła z księżycą.

- Donne-lui un café*.

Dostaję filiżankę odstręczającego czarnego płynu. Barmanka rzuca mi poirytowane spojrzenie - jest w pół do dwunastej, pora na kawę już minęła. Muriel zamawia coś o nazwie perroquet. To rodzaj dziwnego koktajlu anyżkowego z syropem miętowym. Barmanka nalewa sobie to samo, ale bez syropu. Woli zapewne, żeby napój nie był zbyt słodki.

- Ça fait combien de temps que tu es ? Paris?*

- Muriel, musimy pogadać. Na osobności. - Biorę jej kieliszek i kieruję się w stronę odosobnionego kąta. Chcę porozmawiać z nią jak najdalej od barmanki i tej denerwującej francuszczyzny.

Muriel głaszcze swoją znajomą na pociechę po twarzy i idzie za mną.

- Podoba ci się tutaj? - pyta.

Właśnie weszły dwie młode Japonki. Ubrane są w szkolne mundurki, tyle że o tak krótkich spódniczkach, że widać im

majtki. Mają też mocny, wielobarwny makijaż. Wyglądają niczym porcelanowe laleczki ze snu starego zboreźnika.

- Czuję się świetnie - kłamię. Co ja tu robię? Jestem z innej bajki. Nigdy nie byłam w podobnym miejscu.

Kiedyś poszłam z Delią do salonu odnowy biologicznej, który okazał się raczej salonem masażu, ale to był przypadek! Nie chcę nikogo osądzać, tylko, cholera, czuję się nieswojo oglądając namiętnie całujące się dziewczyny w porze lunchu.

- To lokal w twoim stylu?

- Ee...

- Widzisz te dwie Japonki?

- Tak, zwróciłam na nie uwagę.

- Są naprawdę zboczone. Lubią dziwne zabawy. I ból. Byłam u nich na Sylwestra. Nie mogłam później siadać przez tydzień.

Uśmiecha się do mnie.

- Jesteś zaszokowana?

- Muriel, przecież jestem z Nowego Jorku - znów kłamię.

W rzeczywistości nigdy nie zetknęłam się z kimś jej pokroju. Czuję się skrepowana i nieco zniesmaczona. Nie wiedzieć czemu, myślałam, że wszyscy ludzie sukcesu są elegancy i dystyngowani. I co dostałam w zamian? Świrniętych punków i rozhisteryzowane nastolatki.

- Możemy porozmawiać o moich obowiązkach? Sprowadziłaś mnie tu, żebym dla ciebie pracowała, prawda?

- Te Amerykanki! Tylko praca i praca. Czy liczy się dla was cokolwiek oprócz kariery? Trzeba było się wysilić przy rozmowie z Pierre'em. Teraz nie czas na to.

A na co? Całowanie się z japońskimi lesbijkami w szkolnych mundurkach? -Wydaje mi się... Wykrztuś to z siebie!

- Wydaje mi się, że Nicolas nie chciał, żebym przyjechała do Paryża.

- Ech, Nicolas! Ten chłopak to neurotyk. Wszystko na nie. Ja przyjmuję świat z otwartymi ramionami! - Muriel śmieje się

głośno. Japonki odwracają głowy, żeby sprawdzić, co pije, i zamawiają to samo dla siebie.

- Chciałam ściągnąć z Nowego Jorku jakieś wielkie nazwisko - ciągnie Muriel. - Osobę znaną w branży. Taką jak ty.

- Jak ja? Przecież mnie nikt nie zna!

- Twoje nazwisko, Lynn. Wszyscy je znają! Otworzy nam każde drzwi! Wydałam fortunę na to, żeby cię tu sprowadzić. Więc teraz powinnaś mnie przekonać, że byłaś dobrą inwestycją i że Nicolas się mylił.

- Ze się mylił?

- Myśląc, że to tylko strata czasu i pieniędzy.

Popija drinka, uśmiechając się promiennie. Nadal wierzy, że jej plan się powiedzie.

- Według mnie, po rozmowie z twoim bratem, to ty powinnaś mnie przekonać, żebym została. Wygląda na to, że jesteś bankrutem. A tak przy okazji, jak to się stało, że Pierre mówi po angielsku z francuskim akcentem?

- Został z ojcem i dorastał w Paryżu. Mnie mama zabrała do Londynu. Była kiedyś modelką.

- Ach tak... to wspaniale.

- Moi rodzice są okropni. - Och...

- Lynn, nie przyszłyśmy tutaj porozmawiać o moich rodzicach, tylko o mnie! O mnie! Wiem, że odniosę sukces. Jestem tego pewna. To moje przeznaczenie. Jestem nową Coco Chanel.

Za takie coś zamykają do czubków.

- Nie jestem kobietą interesu. Jestem artystką. Szaloną artystką. Chcę być szalona. A moja firma powinna odzwierciedlać moją osobowość. Dlatego potrzeba mi takich ludzi jak ty. Obrotnych Amerykanów ze znanym nazwiskiem, którzy wywindują mnie na sam szczyt.

- Nie sądzę, żebym była osobą, której szukasz, Muriel.

- Ręczyła za ciebie twoja matka, a ona przecież jest genialna!

Przypominam sobie scenę z czasów, gdy nikt jeszcze nie słyszał o Jodie i nie miała grosza przy duszy. Byłam wtedy bardzo mała, ale pamiętam jej zaciętą minę. Jesteśmy w jej niewielkiej pracowni, wrywa mi z rąk zwój materiału: „Mówiłam, żeby niczego nie dotykać! Znowu wszystko zepsujesz!”.

Nagle z kieszeni Muriel dochodzi melodia francuskiego przeboju. Dziewczyna wyciąga małą komórkę.

- Nicolas - szczyrzy zęby. - Tylko praca i praca! - Rzuca telefon na blat stolika.

- Nie odbierzesz?

- Pewnie chce, żebym wróciła do biura i w czymś mu pomogła. - Muriel kręci głową i dopija swój drink.

Cóż, jeśli o mnie chodzi, nie miałabym nic przeciwko.

- Wracajmy do biura - zachęcam, gdy komórka milknie.

- O nie! Dość się już dziś napracowałyśmy. Chodźmy do mnie, będziemy mogły pogadać.

- A co z Nicolasem? - Wskazuję brodą telefon, jakby mój anioł siedział tam w środku i domagał się uwagi.

- Zadzwonimy po niego i przyjdzie do mnie. Bez przerwy do mnie wpada.

Bez przerwy? Hm, nie pomyślałam o tym. Nicolas i Muriel? Ona ma krótkie włosy. Lepiej ode mnie nadaje się na skuter.

* * *

Cenię sobie prywatność.

Mój dom jest niczym bezpieczna przystań. Zamykam drzwi i mogę oderwać się od spraw tego świata. Wracają mi siły. To jedyne miejsce, w którym mogę liczyć na odrobinę ciszy i spokoju. Kocham mój dom.

Cóż, Muriel ma na ten temat inne zdanie. Od bezpiecznej przystani woli dworzec kolejowy w godzinie szczytu. W jej domu pełno jest ludzi, z najróżniejszych środowisk. Ledwie pamięta, jak kto ma na imię.

Mieszka w ogromnym nowoczesnym apartamencie, nieopodal siedziby swojej firmy. Mogłabym przysiąc, że w środku jest głośniejsze i tłoczniejsze niż na ulicy, którą właśnie zostawiłyśmy za sobą.

Choćby ten chłopak z Hiszpanii. Chce, żeby Muriel umówiła go na rozmowę kwalifikacyjną w agencji Fjord Models. Poznała go w jakimś paryskim klubie i zdążyła już zapomnieć, jak się nazywa. Obiecała mu, że jeśli nie zostanie modelem, załatwi mu rolę w filmie porno. Przedstawia mi go jako swojego „hiszpańskiego ogiera”.

Śpi u niej na kanapie.

- Jesteś może z Fjord Models? - pyta mnie Hiszpan.

- Nie. Nazywam się Lynn Blanchett.

Przed gigantycznym telewizorem rozłożyli się członkowie londyńskiego zespołu The Fat Breeders. Wszyscy tu koczują, od perkusisty po dziewczyny z chórków. Mieszkają od dwóch tygodni i nic nie wskazuje na to, żeby kiedykolwiek mieli się wyprowadzić.

- Mówię ci, są boscy! - mówi Muriel. - Słuchajcie wszyscy, to Lynn z Nowego Jorku. Jest córką Jodie Blanchett - przedstawia mnie z dumą w głosie.

- Cześć - mamrocą obojętnie muzycy. Albo jest im wszystko jedno, kim jestem, albo już przywykli do spotykania gwiazd i to prawdziwych, a nie naciąganych, jak ja.

W kuchni dwie niezwykle zgrabne dziewczyny jedzą razem jogurtowego loda. Wyglądają na bliźniaczki - obie mają długie blond włosy związane w koński ogon, a ubrane są w identyczne podkoszulki i spodnie od dresu. Nie, jednak nie są bliźniaczkami.

- Musisz znać Irenę i Jackie, też są z Nowego Jorku.

Są tancerkami, tymczasowo zarabiają na życie jako kelnerki topless. Muriel nie pamięta już, jak znalazły się pod jej dachem.

- Tkwią tu od wieków. Nie jestem nawet pewna, czy to lesbijki. Sprowadzają dziwnych typków, takich w stylu macho. Bardzo, bardzo źle się prowadzą.

W sypialni Muriel musimy mówić szeptem, ponieważ w jej łóżku śpi niejaka Karolina. Przyleciała niedawno z Nigerii, żeby modelować dla „Elitę”. Tak naprawdę nie ma na imię Karolina, ale jej niemożliwe do wymówienia afrykańskie imię brzmi jakoś podobnie.

- Naprawdę ją lubię. To nie jest żaden poważny związek, ale mogłabym się w niej zakochać. Ma w sobie wielki potencjał. Może zostanie gwiazdą, kto wie. Jest jeszcze taka młoda. - Pochylamy się nad nią niczym dwie wróżki nad kołyską księżniczki.

Teraz Muriel prowadzi mnie do swojego gabinetu. Jest w okropnym stanie. Na kanapie ktoś najwyraźniej sypia. Niezwykle chudy mężczyzna w nieokreślonym wieku pisze przy zaśmieconym biurku na laptopie. Dopiero po chwili przestaje i podnosi wzrok. Zachowuje się tak, jakby nas nie widział, tylko wyczuwał naszą obecność. Jesteśmy dla niego przybyszami z innego świata.

- Bonjour - mówi.

- To Stephan, mój ulubiony pisarz.

Stephan także należy do grona domowników i najwyraźniej nigdy nie opuszcza mieszkania. Jest tu jedynym Francuzem. Pisze od lat. Jeśli wierzyć niezliczonym wydawcom, którym wysyłał próbki prozy, jest najmniej utalentowanym twórcą swojego pokolenia.

- Właśnie za to go uwielbiam. Nie chce iść na kompromis. Żółtawa skóra pisarza zaczyna z wolna przybierać barwę jego zielonych oczu. Wygląda na chorego.

- Nic nie je. Martwię się o niego.

Stephan ma na sobie tylko stary, brudny szlafrok, a jego patyczkowate kończyny nadają mu wygląd umierającego owada.

- Lynn jest z Nowego Jorku - mówi Muriel. Podnosi przy tym głos i wyraźnie wymawia każde słowo, jakby zwracała się do własnego głuchego dziadka.

- Nowy Jork, tak, tak, bajgle - pisarz tylko tyle ma nam do powiedzenia. Zaraz potem wraca do stukania w klawiaturę z szybkością karabinu maszynowego.

- Taki już jest, i niczego nie bierze. Niesamowity gość, prawda?

- Niesamowity - potakuję, rozglądając się uważnie. W każdym pokoju wypatruję śladów Nicolasa, ale przeszkadza mi wszechobecny bałagan. Trudno ocenić, który z gości tu nie nocuje. Powinni wspominać o tym miejscu w przewodnikach. Szukacie kwatery w Paryżu i wyróżniacie się z tłumu? Wpadnijcie do Muriel, nocleg gratis.

Wszyscy są mile widziani!

- Ten apartament należał kiedyś do mojej babci. Dostałam go po jej śmierci. Miała okropny gust! Bardzo bourgeois.

- Powinnyśmy chyba zadzwonić po Nicolasa, prawda?

- Wyluzuj, Lynn. Na wszystko przyjdzie czas. Dzisiaj musimy się lepiej poznać. O interesach porozmawiamy jutro.

Cóż, jeśli o mnie chodzi, sporo już się o niej dowiedziałam. Chadza do lesbijskich barów, prowadzi upadającą firmę i mieszka w wyjątkowo zwariowanym apartamencie. Muriel z kolei nie wie o mnie prawie nic, zakłada jednak, że potrafię jej pomóc.

Wracamy do salonu. Członkowie The Fat Breeders, zwłaszcza panowie, mają teraz coś ciekawszego do oglądania niż MTV. To Karolina. Paraduje po mieszkaniu w samych stringach, które, rzecz jasna, nie przysłaniają zbytnio jej olśniewającego hebanowego ciała.

Dziewczyna przeciąga się leniwie, przeciera zaspane oczy i uśmiecha promiennie na widok Muriel. Dopada jej w paru susach i mocno do siebie przytula. Myśli najwyraźniej, że nadal

ma osiem lat i nie zauważyła, że od tego czasu wyrosła jej para imponujących, falujących piersi.

- Witaj, kochanie!

- Pourquoi tu me parles en anglais?*

- To Lynn. Opowiadałam ci o niej. Jest córką Jodie Blanchett.

Karolinie więcej nie trzeba. Pochyla się i całuje mnie w usta, ocierając się nagim biustem. Jestem zupełnie zaskoczona. Czuję, jak krew napływa mi do twarzy. Muszę być czerwona jak burak.

- J'ai faim!* - krzyczy Karolina i rzuca się w podskokach w kierunku wielkiej, srebrnej lodówki.

- Cały czas jest głodna, ale wcale nie tyje. Szczęściara! Karolina wraca z jogurtowym lodem, jakiego wcześniej jadły Irena i Jackie. Zanurza łyżeczkę w kubeczku i oblizuje ją prowokująco. Muriel klepie ją po pupie.

- Gdzie ona to mieści?

- Ciekawe - mamrocze.

Członkowie The Fat Breeders muszą czuć się tu jak w raju. Z pewnością napiszą parę piosenek o pośladkach Karoliny.

- Idź wziąć prysznic, śmierdziuszk! Muszę pogadać z Lynn.

- Wcale nie śmierdzieć! To ona śmierdzi! - woła Karolina, ale zdaje sobie sprawę, że mogła być nieco nieuprzejma, zaczyna więc na powrót lizać łyżeczkę, żeby mi się przypodobać.

- Głuptasek! - kwituje Muriel. Prowadzi mnie za rękę do swojej sypialni i zamyka za nami drzwi.

Okna zasłaniają ciężkie kotary. Muriel zapala lampy u wezłowia łóżka.

Pokój wypełnia mdlący zapach potu. Zaczyna brakować mi tchu. Czuję się bardzo niezręcznie.

Muriel siada na brzegu ogromnego łóżka i poklepuje je, zachęcając mnie, żebym usiadła koło niej.

- Przekąsisz coś?

Jestem tak głodna, że aż kręci mi się w głowie. Do tego dochodzi stres i żołądek pełen kawy. Zaraz oszaleję.

- Nie, dziękuję.

Siadam ostrożnie koło niej. Przysuwa się odrobinę bliżej.

- Muszę przyznać, że cię polubiłam.

- Już mi mówiłaś.

- Naprawdę cię polubiłam. Czuję się tak, jakbyś... jakbyś była... moją starszą siostrą.

Przysuwa się jeszcze bliżej. Nie, nie sędzę, żeby wypadało spoglądać na siostrę takim wzrokiem.

- Myślę, że możemy ze sobą współpracować.

Jest coraz bliżej. Próbuję się odsunąć, ale kładzie mi rękę na udzie.

- Ty, ja, Nicolas. Stworzymy świetną ekipę. Lubisz Nicolasa?

Jej dłoń mi ciąży. Zaczyna sunąć ku mojej tali. Zamykam oczy.

- Ten facet mnie ubóstwia. To mi schlebia - ciągnie Muriel. Przesuwa palce po moich udach. - Jest taki słodki, prawda?

Odkładam tę dłoń na jej własne kolano.

- Jest całkiem przystojny - potakuję nieśmiało.

- Szkoda, że to gej. - Muriel kładzie mi rękę na kolanie. GEJ!

- Gej?

Przygląda mi się uważnie. Cieszy się, że udało jej się czymś mnie zaskoczyć.

- Oczywiście, że jest gejem. Każdy jest homo. Wykorzystując moje otępienie, próbuje mnie pocałować, ale nagle ktoś otwiera drzwi. Odskakujemy od siebie niczym para kochanków nakryta przez męża - a może żonę, kto wie?

- Quelle salope!*

Karolina upuszcza kubeczek jogurtu i rzuca się w stronę łóżka. Zanim mogę wyjaśnić, że nie jest tak, jak myśli, przewraca Muriel na plecy i daje jej kilka kuksańców, ale ta tylko się śmieje.

Boże!

Wstaję i podchodzę do drzwi.

- Muszę... muszę już wracać do hotelu.

Nie zwracają na mnie uwagi. Obijają się wzajemnie, śmiejąc przy tym do rozpuku.

Wychodzę z pokoju. Członkowie The Fat Breeders przyglądają się przez uchylone drzwi kotłującym się dziewczynom. Świetna zabawa!

Opuszczając apartament Muriel, słyszę jeszcze Stephana, krzyczącego za mną:

- Bajgle!

Wróciwszy do hotelu, zawieszam na klamce tabliczkę z napisem „Nie przeszkadzać” i zamykam drzwi pokoju na klucz. Tu jestem bezpieczna. Na zewnątrz czyhają na mnie bezwstydnie Japonki, Pierre z banku, półnaga Karolina i członkowie The Fat Breeders.

I jeszcze Nicolas!

Zdrajca!

No tak, wiem, wiem...

Ale sami pomyślcie! Zabrał mnie na przejażdżkę własnym skuterem! Czy nic to dla niego nie znaczyło? Po czymś takim łączy nas pewna więź! Nie można zawrócić w głowie dziewczynie, a potem okazać się gejem!

Łajdak! Ach, nienawidzę go!

Siadam przy biurku i wpatruję się w bilet lotniczy i paszport. Mogłabym wyjechać w każdej chwili. Na przykład teraz...

Ta praca, to miejsce, ci ludzie są zupełnie z innej bajki. Nie tak to sobie wyobrażałam, nawet w najgorszych koszmarach.

Podnoszę bilet. Pod spodem leży „biblia” Roxanne Green, Dwadzieścia kroków do sukcesu.

Otwieram książkę. Pisarka zapisała swój numer telefonu na pierwszej stronie. „Zadzwoń, gdy będziesz w tarapatkach - powiedziała. - Sprawy życia i śmierci, i takie tam”.

Wystukuję numer. Rozpoznaję głos Roxanne.

- Słucham?

- Mówi Lynn. Pamiętasz mnie? Leciałyśmy razem samolotem. Córka Jodie Blanchett.

- A tak, oczywiście. Słuchaj, kochanie, nie mogę teraz za bardzo rozmawiać...

- To sprawa życia i śmierci, tak jak mówiłaś.

- Czy już wyrzucili cię z pracy?

- Nie, to coś znacznie gorszego.

Zaraz się rozpłaczę, a nie chcę tego robić. Tylko rozdrażnię Roxanne jeszcze bardziej i rzuci słuchawką.

- Płaczesz?

Nic dziwnego, że jej książki sprzedają się tak dobrze! Ta kobieta czyta ludziom w myślach!

- Posłuchaj mnie. Pamiętasz, co ci mówiłam? Krok szósty.

Przypominam sobie, w jakim byłam dobrym nastroju, słuchając w samolocie, jak Roxanne wyjaśnia mi poszczególne kroki.

A teraz jestem taka przybita!

Nie mogę się opanować i zaczynam głośno płakać. Roxanne, nie rozłączaj się! Proszę!

- Przeczytasz mi krok szósty na głos?

- Tak - chlipię i posłusznie przerzucam kartki. „Krok szósty: Gdy odnosisz sukcesy, czasami jest ci źle”.

Krok szósty:

Gdy odnosisz sukcesy, czasami jest ci źle

Jem czwartego rogalika, piję piątą kawę i udaję, że po raz setny czytam tę samą francuską gazetę. Nadal ani śladu Mas-souda.

- Czy mogę prosić o jeszcze jeden dzbanek kawy?

- Bardzo mi przykro, ale przestaliśmy już wydawać śniadanie.

Co za obyczaj!

Zerkam na zegarek. Jestem ostatnim gościem w jadalni i zaczynam działać kelnerowi na nerwy. Postanawiam jeszcze raz sprawdzić w recepcji.

- Życzę miłego dnia - żegna mnie kelner. Już ja wiem, czego mi zyczysz!

Przed wejściem do holu sprawdzam, jak wyglądam. Spójrzcie tylko na tę młodą damę! Jakże ta mała Blanchett wyładniała! Po rozmowie z Roxanne pozwoliłam sobie na małe zakupowe szaleństwo. Najzabawniejsze jest to, że naprawdę znalazłam butik projektantki Taki Sobje, w którym można było kupić białe podkoszulki!

Jestem ubrana tak samo jak wczoraj, z tą różnicą, że mam na sobie nowiusieńkie džinsy Diesla (175 euro), biały podkoszulek od Taki Sobje (39,90) i różową apaszkę z H&M (9,90). Skropiłam się nawet wodą Kazo (80 ml/39,95). Nam, Amerykankom, wszystko uchodzi na sucho, cha, cha.

Gdzie są wszyscy? Gdzie jest Massoud? Jakie to nieprofesjonalne z jego strony. Podchodzę znowu do recepcji.

- Niestety, panno Blanchett, nie ma żadnych wiadomości dla pani.

- Może ktoś dzwonił?

- Obawiam się, że nie.

Czy nie powinni interesować się moim losem? Czuję się jak brzydkie kaczątko, jak odrzucona dziewczynka, z którą nikt nie chce się bawić.

- Czy mogę zadzwonić?

Recepcjonista wskazuje kabinę po drugiej stronie holu. Nawet nie fatyguje się, żeby cokolwiek powiedzieć. Co się stało minionej nocy? Splamiłam swój honor przez sen i nagle wszyscy wiedzą, że można mną pomiatać?

- Muriel B., bonjour.

- Mówi Lynn Blanchett. - Kto taki?

Chyba żartujesz!

- Lynn Blanchett. Z Nowego Jorku. Czy mogę mówić z Nicolasem?

- Pana Bouchez nie ma obecnie w biurze.

- No to z Muriel.

- Przykro mi, ale panna Boutonniere jest także nieobecna.

- Czy oprócz ciebie jest tam ktoś jeszcze? Cisz.

- Zatem do widzenia.

Rozłączam się. Czuję się sfrustrowana. Wyobrażam sobie Muriel i Nicolasa w ich gabinetach, kręcących głowami. Nie, nie. Dla Lynn nas nie ma. Sio, brzydkie kaczątko, już cię nie ma!

- Czy mógłby mi pan zamówić taksówkę? - pytam odzwierne.

- Oczywiście. Dokąd pragnie się pani udać?

- Do siedziby domu mody Muriel B. To gdzieś... - pokazuję niepewnie palcem - ..tam!

- Z pewnością uda nam się ustalić dla pani adres. Uśmiecha się. A może to złośliwy uśmieszek?

Jestem wściekła. Powiem im, co o nich myślę i nie będę przebierać w słowach! Wywabili mnie z domu, wywieźli za morze i co? Porzucili niczym starą zabawkę?

A Nicolas? Ten podlec w białych rękawiczkach! Myśli, że może bezkarnie obnosić się ze swoją urodą i urokiem osobistym, czarować panienki francuskim akcentem!

Lin, jez-też ta-ka slot-ka, ciąłbym cię sru-pać!

A gdy już słaniem się na jego widok, okazuje się, że szkoda na mnie „czasu i pieniędzy"! Uduszę go jego własnym krawatem!

Taksówka podwozi mnie pod samą bramę.

- Po prostu się przesun, dobra? - mówię do prostytutki. To ta sama kobieta co wczoraj, chyba wynajmuje to miejsce. Dziś jednak nie ma odwagi splunąć mi pod nogi. Widzi, że zaraz eksploduję, i woli mnie nie prowokować.

Domofon działa. Przemierzam podwórze obojętna na jego uroki. Nie jestem już pożalowania godną amerykańską dziewczuszką, której byle odrobina luksusu mąci w głowie. Jestem Lynn Blanchett, dziedziczką imperium mody! Lynn Blanchett, córką genialnej matki! Wredną suką, która zaraz wykorkuje z nadmiaru kofeiny!

Podchodzę do recepcjonistki. Nie bawię się w uprzejmości, tylko z miejsca ryczę:

- Sprowadź mi Nicolasa Bouchez! Natychmiast!

- Nie., nie ma go w firmie.

- Akurat!

Nie czekam na więcej kłamstw. Biegnę na górę do jego biura.

- Panno Blanchett! Proszę poczekać! Otwieram gabinet Nicolasa. Jest pusty.

- Nicolas! - wołam. Chowa się, tchórz! Szukam u Muriel. Tu też nikogo nie ma.

Idę do atelier. Gdzie się wszyscy podziali? Gdzie te wytatuowane punki?

Wrócili do Japonii, czy co?

W środku zastaję Françoise Neuton. Pracuje nad nową wersją sukienki, którą wczoraj skrytykowałam.

- Czym mogę służyć?

Poza nią nikogo tu nie ma, ale najwyraźniej coś się święci, bo wydaje się dziwnie zadowolona z tego, że mnie widzi.

- Gdzie są wszyscy?

- Nie twój interes.

- Ale wkrótce będzie mój, sama zobaczysz! Projektantka zdejmuje okulary, żeby lepiej mi się przyjrzeć.

- Rozmawiałam z Muriel dziś rano. Nie masz tu już czego szukać.

Co takiego?!

- Nikt ci nie powiedział, co? - Gładzi sukienkę dłonią. - Teraz bardziej ci się podoba?

Żeby cię pokręciło!

- Gdzie jest Nicolas?

- Ach, cały dzień będzie poza biurem. W Carrousel du Louvres.

- Gdzie?

Nawet nie zadzwonił. Skoro nie byłam im już potrzebna, równie dobrze mogłabym w ogóle nie istnieć.

- Z pewnością go tam zastaniesz. Idź, idź. W końcu mówienie ludziom, że wylecieli, to jego praca.

Brak mi sił na ripostę. Odwracam się tyłem do Françoise i skupiam na własnym oddechu.

- Mimo wszystko, miło było cię poznać. Zawsze byłam wielką fanką twojej matki.

Zrezygnowana wracam do recepcji.

- Miałaś rację, nikogo tu nie ma - przyznaję. - Mogłabyś zadzwonić do Nicolasa na komórkę?

- Oczywiście. - Dziewczyna podaje mi słuchawkę.

- Oui?

- Nicolas? Jak się masz, skarbie? Mówi Lynn Blanchett. Pamiętasz mnie?

- Tak, Lynn. Pamiętam.

- Wyobraź sobie, jestem w firmie. I nie uwierzysz, nikogo poza mną tu nie ma.

- Wiem, przepraszam. Powinienem był zadzwonić.

- Tak się o mnie troszczysz!

A niech go diabli! Jak się mówi po francusku „ty sukinsynu“?

- Słuchaj, może byś tak wróciła do hotelu, a ja przyjdę do ciebie, jak tylko skończę. Wtedy pogadamy.

- Nie kłopotz się. Już do ciebie jadę.

- Hej, zaczekaj!

- Do zobaczenia!

- Lynn! Rozłączam się.

- Oj! - mówię do recepcjonistki. - Czekali na mnie w karuzeli Luwru.

- Le Carrousel du Louvres - poprawia, patrząc na mnie ze współczuciem w oczach.

- Zamówisz mi taksówkę?

* * *

Ta karuzela to centrum handlowe tuż pod budynkiem Luwru, a Luwr to... Sami wiecie. Czy to nie szalony pomysł? Mają tu tyle pałaców, że muszą budować pod nimi centra handlowe. Tylko pomyślcie. Pod siedzibami despotycznych władców królują dziś turyści, sklepy z pamiątkami oraz wszędobylski zapach frytek i bułeczek z cynamonem.

Jestem pewna, że dobrze trafiłam, bo trwają przygotowania do pokazów mody. Wszędzie pełno wieszaków z ekskluzywnymi ubraniami: Dior, Chanel, Gucci, Gaultier, Christian Lacroix...

Przyglądam się jednej z sukienek od Christiana Lacroix. Krojem przypomina coś sprzed kilku stuleci, ale jednocześnie wydaje się prawdziwa, nie ma w sobie nic z kostiumu teatralnego. Jest boska!

Idę w stronę sal, w których odbędą się pokazy. Zapach cynamonu i Christian Lacroix wprawili mnie w dobry nastrój. Nie chcę go stracić przed konfrontacją z Nicolasem. Dodaje mi sił. Podchodzę do dwóch mężczyzn pilnujących wejścia.

- Cześć, jestem z ekipą Muriel B.

- Jasne.

Nie proszą o żadne dokumenty. Odpinają bramkę z czerwonej liny i pozwalają wejść do środka.

Pierwsza z sal pachnie klejem i trocinami. Wokół uwijają się przy przewodach pracownicy techniczni, stolarze zbijają coś, wszyscy są bardzo zajęci. Pasuję tu jak kwiatek do kożucha.

Boże, nie dam sobie rady.

Zauważyłam właśnie Nicolasa i zabrakło mi tchu. Przy takim mężczyźnie broń sama wypada mi z ręki.

Nicolas stoi w doborowej grupie azjatyckich punków od Muriel, słuchając, co ma do powiedzenia niski brodac z krótkich siwych włosach, ubrany niczym ksiądz.

Jest z nimi Muriel.

Sądząc z jej miny, coś przed chwilą pomieszało jej szyki.

- Muriel, złotko, nie ma dyskusji - tłumaczy księżulek z silnym brytyjskim akcentem. - Nie dostaniesz popołudnia. Jest już zarezerwowane dla Diora. Nie możesz konkurować z Diorem, maleńka.

- Cześć - rzucam szeptem, ale nikt mnie nie zauważa.

- Dziewiąta, rano to naprawdę przyzwoita pora. Ludzie są wypoczęci.

- To dlaczego nie dasz dziewiątej Gallianowi, co? Chrząkam znacząco.

- Cześć! - ponawiam próbę. Muriel obraca się na pięcie.

- Lynn... Myślałam, że mamy cię już z głowy - mówi szyderczym tonem, po czym zwraca się do Nicolasa. - Co jest grane? Miałaś ją odstawić na lotnisko!

Próbuję coś powiedzieć, ale Nicolas kładzie mi dłoń na ramieniu.

- Chodźmy gdzieś, gdzie jest mniej ludzi, dobrze?

Nie wydaje się poirytowany moim widokiem. Ani dręczony wyrzutami sumienia! Zaraz oszaleję, a on nadal jest opanowany i kontroluje sytuację. Czy choć na sekundę mógłby przestać być tak idealny?

Odsuwa na bok jakąś czarną kotarę i puszcza mnie przodem. Znajdujemy się teraz pod drewnianymi trybunami dla widowni, zupełnie sami. Zazwyczaj uwielbiam takie miejsca, kojarzą mi

się ze szkołą średnią i pierwszymi pocałunkami, nie sędzę jednak, żeby Nicolas zaciągnął mnie tu w podobnym celu.

- Bardzo mi przykro, Lynn - zaczyna. - Wolałem nie robić tego przez telefon. Lepiej osobiście.

Boże! Zapadam się w sobie niczym przekłuty balon. Zamykam oczy i zastanawiam się, co Roxanne zrobiłaby na moim miejscu.

- Potrzebuję czegoś więcej niż przeprosin. Domagam się wyjaśnień.

- Byłoby cudownie, gdybyś mogła dla nas pracować, ale...

„Ale” to okropne słowo.

- Rozmawiałem z Muriel wczoraj wieczorem. Jest zdania, że nie... że nie nadajecie na tej samej fali.

Fali?

Istnieje tyle powodów, dla których można by się było mnie pozbyć. Ale FALE?

- Chyba żartujesz.

- Wiem, że brzmi to nieco dziwnie. Tylko się nie rozplącz. Tylko nie to.

- A na jakiej fali ty nadajesz?

- O co ci chodzi?

- Wiem, że od początku nie chciałeś, żebym tu przyjeżdżała. Musisz być zachwycony.

- To był pomysł Muriel.

- Ale to ty namówiłeś ją, żeby się mnie pozbyć?

- Muriel ma różne pomysły i różne oczekiwania. Ale czasem po prostu nie stać nas na ich urzeczywistnienie.

- Nie potrafisz przyznać, że mnie nie znosisz!

- Przepraszam, Lynn. Masz prawo czuć się rozczarowana. Wzdycham.

- To coś więcej niż rozczarowanie, Nicolas. To obrzydzenie! Nie było cię wczoraj z nami. Nie widziałeś tego, co ja. Powiem ci, dlaczego według Muriel nie nadajemy na tej samej fali. Ponieważ nie chciałam się z nią całować!

- Przestań. Muriel nie jest taka.
- Akurat! Nie całujesz, wylatujesz - zasada jest prosta!
- Mylisz się, to nie tak.
- Doprawdy?

Dobra, sama się przekonam. Kładę mu dłonie na ramionach. Czuję, że napina nerwowo mięśnie. Robię krok do przodu, staję na palcach i całuję go delikatnie w usta. Tak, zgadza się. To pocałunek, którego nie pozwoliłam wczoraj skraść Muriel.

Odsuwam się. Nie zareagował pozytywnie, ale też i nie wrywał się.

- No i jak? Czy dostanę posadę z powrotem?
- Lynn, to jakaś absurdalna sytuacja.
- Absurdalna? - W takim razie wszystko mi wolno. Znów go całuję. Tym razem przysuwam się jeszcze bliżej. Napieram na jego tors. Czuję, jak bardzo jest spięty.

- A teraz? - pytam.

- Zwariowałaś.

- To chyba w stylu Muriel. Może zacznym nadawać na tej samej fali co ona?

- Przepraszam. - Odsuwa się. Nie chce trzeciego podejścia. - Muszę... no wiesz. - Pokazuje na Muriel i jej świtę. - Za... załatwimy ci lot do Stanów i w ogóle. Jesteśmy wprawdzie splukani, ale... zapłacimy za wszystko i...

Kiwam głową.

- Leć już, leć.

- Naprawdę mi przykro.

- Bo uwierzę.

Chcę, żeby zniknął mi z oczu, zanim się rozkleję. Uśmiecha się do mnie smutno i odchodzi.

Siadam na drewnianym pudle pokrytym białym pyłem. Takie plamy na pewno się nie spiorą.

Czuję się samotna i zagubiona. Oto chowam się pod jakąś trybuną tysiące mil od domu, otoczona przez obcych ludzi, a na pociechę mam tylko wspomnienie wymuszonego pocałunku.

- Nic lepszego nie wymyślę - słyszę głos brodatego księżulka.
 - Szczerze mówiąc, mam inne rzeczy do roboty, Muriel, niż wyklócać się z tobą całe przedpołudnie.

- To skandal! Podam was do sądu!

- Nas, do sądu? Gdyby nie przyjaźń z twoim ojcem, wcale nie umieściłbym cię w grafiku!

Dostrzegam ich między siedzeniami. Widzę też wybieg. Mogłabym siedzieć tu cały dzień i dobrze się bawić, oglądając pokazy.

Nicolas wygląda na zagubionego. Może nadal zastanawia się, co ze mną począć?

- Może połączymy pokaz z... z uroczystym śniadaniem? - zabiera głos niepewnie. - Będzie kawa, rogaliki i... czy ja wiem...

Muriel przygląda mu się uważniej.

- Co z tobą?

Czy mi się tylko wydaje, czy zbladł?

- To świat mody, Nicolasiu! Ci ludzie nie wstają o siódmej rano, tylko po dwunastej!

- Zróbcie pokaz na ulicy - mamrocze pod nosem. Po co wdawać się w dyskusje z księżulkiem? Wpadłam na ten pomysł, gdy tylko weszłam do siedziby firmy Muriel. Niech modelki przechadzają się wśród prostytutek. Ba, one same mogą zostać modelkami, jeśli tylko zrzucą parę kilo.

Nie mam nic do stracenia, więc nie przejmuję się, że wyjdę na idiotkę. Opuszczam swoją kryjówkę i podchodzę do grupy.

- Zróbcie pokaz na ulicy.

- Co znowu? - warczy Muriel.

- Muriel B. to marka młodzieżowa. Jej miejsce jest na ulicy. Te ciuchy są prowokujące, inne niż reszta. Niech pokaz też taki będzie. Po prostu urządź go przed swoją firmą.

- Co to za jedna? - pyta księżulek.

- To Lynn Blanchett - mówi Nicolas. - Nasza... specjalistka od public relations.

- Całe miasto będzie o tym mówić - ciągnę. - Oddacie ducha marki Muriel B. To moda wyzwolona. Moda uliczna.

- Na ulicy - powtarza Muriel.

Nikt nie śmie zabrać przed nią głosu. Czekają.

Muriel zauważa białe plamy na moich džinsach.

- Spójrz no tylko na siebie! - Klepie mnie delikatnie po pupie, otrzepując z pyłu. Gdy kończy, mówi: - Niezły pomysł.

- Chyba oszalałaś! - burzy się księżulek.

- Odwołuję rezerwację. Daj dziewczątą Gallianowi. Urządzamy pokaz na ulicy. Jak to ujęłaś, Lynn? Moda wyzwolona. Moda uliczna. To jest to.

Księżulek macha ręką, jakby odżegnywał się od naszych szatańskich pomysłów i odchodzi.

- Uwielbiam cię, jesteś genialna. - Muriel ściska mnie serdecznie. - Nicolas! Zmiana planów. Pokaz odbędzie się na ulicy. Powiadom wszystkich, ale na pewno wszystkich. Musisz współpracować z Lynn. Informuj ją o każdym swoim kroku.

Odchodzi ze świtą, zostawiając mnie z nim sam na sam.

- Bien jouć.*

- Co proszę?

- Świetnie się spisałaś.

Błagam, miej na myśli pocałunki pod trybuną! Powiedz, że ci się podobało!

- Ten pokaz na ulicy to naprawdę fantastyczny pomysł.

- Ach tak. Tchórz! Tchórz!

Krok siódmy:

Kontakty to podstawa

Jestem gwiazdą! Tylko spójrzcie na mnie! Jestem najlepszą rzeczą, jaka przytrafiła się temu miastu od czasów, czy ja wiem, Napoleona?

- Musisz się strasznie nudzić na tym przyjęciu.

- Nie, skąd - mówię. - Świetnie się bawię. To miejsce jest niesamowite.

- Amerykanie są okropnymi ignorantami, ale miło spędzać z nimi czas. Z kolei my, Francuzi, jesteśmy lepiej wykształceni, ale straszni z nas nudziarze.

Czy to był komplement?

- A z ciebie, myślę sobie, jest niezła imprezowiczka. Nieodrodna córeczka mamusi.

- Nic z tych rzeczy, Jean-André - mówię - jestem bardzo nudną Amerykanką. Bliżej mi do Francuzów. Nie w głowie mi balangi. - Jean-André jest niskim, starzejącym się gejem, który zna podobno wszystkich z branży.

- O nie. Nie, nie. Jesteś z Nowego Jorku. Nowojorczycy to nie Amerykanie, cha, cha. Wiesz, bawiliśmy u was ostatnio z Kazo...

Milknij, żeby wszyscy zdążyli uświadomić sobie, że ma na myśli tego Kazo, słynnego japońskiego projektanta.

- Pojechaliśmy dla przyjemności, bo wiesz, Kazo wprost przepada za Nowym Jorkiem, ale wszyscy byli tacy nudni. Nikt tam nie pije, nikt nie pali papierosów i, rzecz jasna, nie uprawia seksu.

- To już nie to, co dawniej - wzdycham.

- Nie to, co dawniej! Cha, cha! Vous ?tes irrésistible, ma ch?re!*

Wieczór jest ciepły, więc siedzimy w ogrodzie. Lampiony rzucają przytłumione światło. Wśród kęp mchu i drzewek bonsai szemrzą barwione na niebiesko sztuczne strumyczki. Z oddali

dochodzi muzyka New Age. Żujemy łądygi selerów naciowych, czując, jak duch zen przenika nasze koktajle.

W środku japońskiego ogrodu stoi bajkowy pawilon. Odnosi się wrażenie, że zbudowano go wyłącznie z drewna i papieru ryżowego. Wszystko to przyprawia o zawrót głowy, ponieważ nadal jestem w samym centrum Paryża, a w dodatku na terenie posiadłości wspomnianego już Kazo.

- Wiesz, Kazo spędza większość czasu w Paryżu. Ten dom jest odbiciem jego twórczego szaleństwa. Sa folie!*

Kazo nie ma w domu. Jest w Los Angeles, gdzie, podobnie jak my, popijając drinka, świętuje dwudziestolecie istnienia swojego imperium.

Jego niesamowite kreacje rozwieszono są wysoko w powietrzu nad całym ogrodem. Piękne wysokie modelki sączą różnokolorowe koktajle, a muskularni kelnerzy częstują je małymi kawałkami sushi.

Surowa ryba! Dajcie spokój!

- Hej, co za wystrzałowa sukienka - zagaduje mnie znienacka smukła blondynka. - Czy to Calvin Klein?

- Nie, Jodie Blanchett.

Nigdy nie myślałam, że wciśnę się w jedną z kreacji Jodie, ale od przyjazdu do Paryża jadłam tak rzadko, że nie miałam z tym najmniejszych problemów.

- Śliczna.

Dziewczyna uśmiecha się do mnie. Sama też jest śliczna. Mój Boże, czy ona ze mną flirtuje? Mam się cieszyć czy brać nogi za pas?

- Musisz znać Clarice, wszyscy ją znają - mówi Muriel.

- Clarice Kleron. - Blondynka podaje mi dłoń i chichocze. Kleron? Tak jak ta międzynarodowa sieć hoteli? Ciekawe.

- A to Lynn - przedstawia mnie Muriel. - Lynn est une perle*.

Jestem skarbem. Muriel wszystkim tak mnie przedstawia. Jestem skarbem, który znalazła w Nowym Jorku i przemycała do Paryża.

- Ach, słyszałam o tobie. Jesteś córką Jodie Blanchett.
 - Gdzie o mnie słyszałaś?
 - Na tym przyjęciu. Później idę na imprezę Gucciego, przyłączysz się?

Podrywa mnie piękna blondynka!

- Przykro mi, nie dziś. Jutro pracuję.
 - Szkoda - mówi Clarice i odchodzi. - Amerykanki podbijają świat - stwierdza Jean-André. - Nie potrafią gotować, nie są dobre w łóżku, ale na interesach znają się lepiej od każdego mężczyzny. Czy to kolejny komplement?

- Wiesz, Kazo uważa, że następnym prezydentem Stanów Zjednoczonych zostanie kobieta. Ktoś taki jak ty, Lynn. Prawdziwy skarb.

- Wybacz, Jean-André - mówi Muriel - ale muszę cię opuścić.
 - A mi szepcze do ucha: - Opuściłaś sobie może Clarice, ale ja nie. Idę do Gucciego. - I podąża za moją blondynką.

- Nareszcie sami - cieszy się Jean-André. - Znam kogoś, kto nie może się doczekać, żeby cię poznać.

Czyżby Kazo?

- Wiem, o kim myślisz. Nie, to nie o niego mi chodzi. Ale nie martw się, nadejdzie taki dzień. Wiesz, Kazo uwielbia poznawać młodych, utalentowanych ludzi, takich jak ty.

Jean-André prowadzi mnie do pawilonu. W środku odsuwa jedną ze ścian i zaprasza do wejścia do jakiegoś odosobnionego pokoju.

- Siadaj, proszę.

Oczywiście nie ma tu krzeseł. Jeśli produkujecie bądź sprzedajecie krzesła, omijajcie Paryż szerokim łukiem. Najnowsza moda nakazuje tu wszystkim siadywać na ziemi, udając Japończyków.

Jean-André zasuwą ścianę za nami. Przedemną, podparty niczym rzymski cesarz, leży na boku olbrzymi grubas i podjada smakołyki z półmiska.

- Lynn, z pewnością słyszałaś o Xavierze Urbain - odzywa się Jean-André. - To on stoi za Xu.

- Oczywiście - kłamie, zachodząc w głowę, czym jest Xu.

- Miło mi cię poznać, Lynn - mówi grubas z francuskim akcentem. - Wiele o tobie słyszeliśmy. Twoja matka to doprawdy... bogini! - Połyka nadziewane winogrono.

- A zatem pracujesz dla Muriel B., biedactwo - głos zabiera niezwykle elegancka towarzyszka grubasa. Pod każdym względem przypomina Roxanne Green.

- Lynn, musisz znać Chloe Sauvignon. Kogo?

- O dziwo, nie - mamroczę, ściskając, a raczej muskając jej dłoń na powitanie.

- Jakim cudem się uchowałaś, złotko? Chloe to królowa świata mody! Nie zaprzeczaj, Chloe, nie bądź taka skromna! Potrafisz być naprawdę okrutna na łamach „Marie Claire”.

Za nowo poznaną parą stoi dyskretnie najprzystojniejszy z kelnerów. Jean-André pstryka palcami.

- Przynieś Lynn jeszcze jedną Krwawą Mary.

- I więcej nadziewanych winogron. Są nieprzyzwoicie dobre. - Xavier Urbain łyka kolejny owoc. - Jak ci jest u Muriel? Wyobrażam sobie ten chaos! Pewnie to ekscytujące pracować w podobnej atmosferze?

- Dopiero zaczynam.

- Słyszałem, że jesteś cudotwórczynią.

- „Muriel B. - moda uliczna” - cytuje mnie Jean-André. - Jesteś na ustach wszystkich. Doskonały pomysł.

- Szkoda talentu Blanchettów dla kogoś takiego jak Muriel. - Xavier Urbain wypluwa kilka pestek.

- Nie bądź okrutny dla dziewczyny, Xavierze - protestuje Jean-André. - Moda to trudna branża, a niełatwo udawać geniusza na dłuższą metę, cha, cha!

- Mój drogi, każdy głupi wie, że Muriel tylko udaje. Mam uczucie, że nie powinno mnie tu być.

- To córeczka bogatego tatusia, nic dodać, nic ująć.

- Nie ma pojęcia, za co się zabiera.
 - Jest niepoważna.
 - Więc jej nie poważamy.
 - To niezbity dowód na to, że można się przebić wyłącznie dzięki pieniądзом.

- Uzurpuje sobie prawo do bycia projektantką.
 - Beztalencie!
 - Za pół roku nikt nie będzie o niej pamiętał - podsumowuje Chloe. Podnosi winogrono, obiera ze skórki, wyjmuje nadzienie i dopiero wtedy je zjada. - W tym świecie nie można liczyć na litość, prawda, Lynn?

Jean-André kładzie swoją dłoń na mojej.

- Sama jest jeszcze bardzo młoda, skąd ma to wiedzieć? -Te dzieciaki są żądne sławy, ale nie rozumieją, że bez pracy nie ma kołaczy - narzeka Xavier. - Nie można stać się sławnym ot tak. - Pstryka palcami. Pojawia się kelner z moim koktajlem.

- Patrzcie tylko na niego. - Xavier wykonuje ten sam gest. - Pojawia się i znika na zawołanie.

Cała trójka wybucha śmiechem, a biedny chłopak nie ma innego wyboru, jak tylko uśmiechnąć się i na powrót stać się niewidzialnym.

- Zastanawiam się, co sprawiło, że ktoś taki jak ty zdecydował się marnować czas w podobnej firmie. - Kolejne winogrono znika w olbrzymich ustach. - Francis Boutonniere ma już dosyć płacenia rachunków. Czy wiesz, że tylko krok dzieli Muriel od bankructwa?

- Sądzę, że Lynn dobrze wie, co robi - wtrąca Jean-André. - Jest jak Kazo. Daje się ponieść emocjom i przeczuciom. Tak właśnie postępują geniusze i szaleńcy.

Ratunku! Czy to kolejny komplement?

- Bardzo chciałabym cię jeszcze spotkać - zwraca się do mnie Chloe. - Może zamieścimy o tobie artykuł w „Marie

Claire”? „Młoda Amerykanka szuka wyzwania w Paryżu”. Jest tylko jedna rzecz...

Spogląda na Xaviera i znowu na mnie. Potrzebowała tych kilku sekund, żeby zastanowić się nad tym, jak mi dokuczyć.

- Znam wprawdzie twoją matkę bardzo dobrze, ale nigdy mi o tobie nie wspominała.

Nie jesteś sama, Chloe, myślę sobie. Ale dziś wieczorem nie pozwolę na to, żeby rozczarowanie Jodie moją osobą zepsuło mi humor. Ta trójka uważa, że jestem świetna. Zamiast się załamać, uśmiecham się więc i mówię:

- Ktoś taki jak ja powinien zawsze pozostawać w cieniu.

- Jaka skromna!

Tym razem wiem na pewno, że nie był to komplement! Chloe brakuje delikatności Jean-Andrégo.

- Muszę wracać do Muriel. Sami wiecie, obowiązki wzywają. Zapada krępująca cisza. Wiem, co sobie myślą. Jak mogę woleć Muriel od towarzystwa takich znakomitości?

- Jeszcze się zobaczymy - mówi Chloe, ale brzmi to bardziej jak groźba w filmie gangsterskim niż przyjacielskie pożegnanie.

- Poślij mi przez asystentkę twoją notkę biograficzną.

- Nie zapomnę.

- Miło widzieć znów w tej branży pasjonatów. Niewinną młodzież. Świeżą krew - oświadcza Xavier, po czym zaczyna mnie ignorować, jakbym wyszła już z pokoju.

Jean-André kręci głową. Najwyraźniej go zawiodłam. Dziwni ludzie!

Muriel jest jeszcze w ogrodzie, stara się poderwać Clarice. Nie może utrzymać rąk przy sobie. Nie wiem, czy powinnam powiedzieć jej o spotkaniu z Chloe i Xavierem. Nie mam zresztą czasu zabrać głosu, ponieważ moja pracodawczyni woła:

- Patrzcie, kto przyszedł!

Zalewam się rumieńcem. Do ogrodu wszedł właśnie Nicolas. Znowu czuję się tak, jakbym dostała obuchem. Nie chcę mieć z nim do czynienia. Nie po...

- Jesteś pewna, że to gej? - pytam szybko, zanim może nas usłyszeć.

- Sama go zapytaj - kpi Muriel głośno. Zbyt głośno. Kto wie, może jest biseksualny? To już coś. Z tym mogę się pogodzić. Hm... Przyprowadzałby do domu innych, równie cudownych facetów...

Nicolas podchodzi do nas.

- Wyglądasz fantastycznie - rzuca prosto z mostu.

- Jodie Blanchett. - Co?

- Sukienka.

On też świetnie wygląda. Pod eleganckim szarym garniturem ma na sobie prosty, czarny, obcisły podkoszulek. Dlaczego homoseksualiści są tacy seksowni? To tak, jakby kusić kogoś kremówką, która okazuje się plastikowa. To nie fair!

- Przynieść ci nowy koktajl? - Zabiera mi z rąk pustą szklankę.

- Czemu nie. To Krwawa Mary. Czemu nie? Bo się upijesz, głupia krowo!

- Czekaj! Wolę jednak coś bezalkoholowego.

Właśnie. Jestem rozsądną kobietą. Kontroluję swoje życie i nie wychylam drinka za drinkiem jak stryjek Ted.

Podchodzimy razem do uroczego baru o białej pokrytych tacami z jedzeniem i napojami.

- Czy to sok pomarańczowy? - pytam kelnera. Wymienia jakąś nazwę, której nie rozumiem. Napój wygląda jednak na sok pomarańczowy, więc śmiało upijam łyk. Jest obrzydliwie gorzki i pieprzny, ale zapewne bardzo wykwintny.

- Myślę, że to sok imbirowy. - Nicolas bierze dla siebie Krwawą Mary. - Kazo go uwielbia. To specjalna receptura, wymyślona przez jego osobistego kucharza. Lubisz sushi?

- Tak, po ugotowaniu.

Nicolas uśmiecha się przepaszająco do kelnera. Rozumie pan, to Amerykanka, zdaje się mówić.

- Musimy porozmawiać. Po pierwsze, chciałbym cię jeszcze raz przeprosić za złe traktowanie.

- Przeprosiny przyjęte.

- Po drugie... Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale wczoraj w pewnym momencie przestaliśmy w ciebie wierzyć.

- Aha.

- Myśleliśmy, że nie nadajemy na tej samej fali. - Aha.

- Ale teraz sytuacja przedstawia się o niebo lepiej. - Aha.

- Problem w tym, że...

- Posłuchaj, jeśli chodzi o ten pocałunek - przerywam. -Ja tylko...

- Wiem, nie martw się. Dla mnie to też nic nie znaczyło. Och!

- Chciałaś się zemścić za wybryk Muriel i udało ci się. Ale nie o tym chciałem z tobą porozmawiać.

Żeby cię...

Nicolas pociąga łyk swojej Krwawej Mary. Jest taki męski. Nie mogę oderwać wzroku od jego silnej dłoni, w której trzyma szklanke.

- Cóż, Lynn, zanim przyjechałaś do Paryża, zabiegaliśmy o kogoś innego.

- Zabiegaliśmy?

- To znaczy sam czyniłem starania za plecami Muriel.

- Zmieniłam zdanie - rzucam kelnerowi, odstawiam sok imbirowy i chwytam kolejną Krwawą Mary.

-Wiem, że brzmi to okropnie. - Naprawdę wygląda na zawstydzonego. - Ale to nie wszystko. Co znowu?

Wynajęłaś kogoś, żeby mnie zastrzelił?

- Udało mi się. Chodzi o Fran Wellish. Najwyraźniej powinnam wiedzieć, o kogo chodzi.

- Ach tak.

- Sądziłam... Sądziłem, że skoro Muriel ubóstwia twoją matkę, jej była specjalistka od public relations będzie idealna. A niech mnie!

- Ach, o tę Fran ci chodzi! - Wychyłam jednym duszkiem drinka. Jodie nigdy nie przedstawia mnie swoim współpracownikom. Nigdy nie słyszałam o żadnej Fran Wellish! I jestem przekonana, że i ona nigdy nie słyszała o mnie! A

nawet jeśli, to wie tylko, że Jodie się mną brzydzi i ukrywa przed światem od dwudziestu lat!

- Przekonałem wczoraj Muriel, żeby zaprosiła ją na rozmowę w sprawie pracy.

- Kiedy przyjeżdża?

- Jutro. To niezręczna sytuacja. Wiem, że czujesz się tak, jakbyś musiała z nią walczyć o tę posadę. Ale wierz mi, Muriel podjęła już decyzję. Jest za późno, żeby to wszystko odkręcać.

- Fran Wellish, powiadasz. Rzeczywiście jest niezła.

Nie mam szans! Jodie otacza się ludźmi z najwyższej półki!

- Współpracowałeś kiedyś zatem?

- Och, wpadliśmy na siebie raz czy dwa - kłamię.

- Nie przepadasz za nią, jak słyszę.

- Wiesz, poniekąd jestem pupilkiem Jodie. Nie wszystkim się to podobało. Na przykład Fran.

Przestań bredzić, Lynn. Bierz nogi za pas!

- Upredzałeś Fran, że tu będę? - Jeszcze nie. Myśleliśmy, że...

- Zdażycie się mnie pozbyć?

- Przepraszam, Lynn. Wszystko się zmieniło. Muriel wariuje na twoim punkcie. Twój pomysł na pokaz jest...

- Zabójczy! - wtrąca Muriel. - Powiedziałeś jej, prawda? Nie przejmuj się, Lynn. Nie boisz się chyba odrobiny konkurencji.

- Lynn zna dobrze Fran. Pracowały razem.

- Świetnie. Rozumiesz więc też chyba, dlaczego powinniśmy przyjąć ciebie a nie ją, cha, cha! Muszę przyznać, że ma świetne referencje.

- Z pewnością.

To koniec. Mogę stawać na głowie, ale nie ma tu dla mnie miejsca. Jutro przyjeżdża Fran Wellish. Powie, że w życiu mnie nie widziała. Że matka ukrywa mnie nawet przed najbliższymi współpracownikami. Umrę ze wstydu!

- Kto wie. - Muriel puszcza do mnie perskie oko. - Może zatrudnię was obie. Razem zawojujecie Paryż.

- Kto wie...

Powinłam zalewać się rzewnymi łzami, ale zamiast tego chichoczę. Chichoczę zaś, ponieważ moją nagą pupę smaga strumień ciepłego powietrza.

Siedzę na niezwykłym sedesie. Nie wymaga używania papieru toaletowego. Należy postępować zgodnie z wyrytymi w ścianie instrukcjami. Aby spuścić wodę, trzeba machnąć ręką przed czujnikiem na podczerwień. Chociaż trudno nazwać to spuszczeniem. Woda pod silnym ciśnieniem podchodzi pod same brzegi sedesu i podmywa krocze! A potem osusza cię strumień ciepłego powietrza, który cholernie łaskocze. Hi, hi, hi! Nie ma jak kłopoty w Paryżu i łaskoczący sedes na pociechę!

Słuchajcie, to jeszcze nie wszystko! Ten sedes potrafi być niewidzialny! Wystarczy machnąć przed kolejnym czujnikiem, a znika w ścianie - jakby go nigdy nie było.

Za dużo wrażeń!

Ach, jak dobrze rozładować napięcie śmiechem. Spryskuję twarz zimną wodą i spoglądam w lustro. Nie jest najgorzej. Mimo wszystko, szczęściara ze mnie. Wiem, wiem. Jestem pasożytem. Ale przynajmniej w Paryżu! To rodzaj płatnych wakacji, tyle że zamiast narażać się na inwazję wszy łonowych w jakimś zaplutym schronisku, stoję sobie w łazience samego Kazo, odświeżona po suszeniu pupy.

Nikt mi tego nie odbierze.

Drzwi do łazienki są na fotokomórkę. Rozsuwają się przede mną - bziuu! To takie futurystyczne. Na zewnątrz czeka wysoka blond modelka.

- Mówię ci, niezapomniane przeżycie! - zachwalam toaletę, ale nie zwraca na mnie uwagi. Nawet powieka jej nie drgnie. Pewnie ci wszyscy ludzie świata mody mieli już suszone pupy setki razy. Piękność znika w ubikacji - bziuu!

Dom Kazo robi na mnie równie ogromne wrażenie, co jego ogród i toaleta. Wydaje się, że każdą jego ścianę można odsunąć na bok, w minutę zmieniając rozkład pokoi. Mebli jest tu

niewiele (rzecz jasna, żadnego fotela czy krzesła), a przed wejściem do środka należy zdjąć buty.

Umieram z głodu, podchodzę więc do bufetu.

Znów surowa ryba. Do licha - jestem w Paryżu, a kiszki marsza mi grają. Ponoć Francja to kraj smakoszy! O, dostrzegam jakiś deser, jakby puszysty mus czekoladowy w kieliszku do wódki.

- Co to takiego? - pytam muskularnego kelnera.

- C'est du foie gras de canard cru dans une creme de châtaigne*

- Ach tak... Może być.

Podnoszę szklankę i wypijam jej zawartość jednym haustem. Nie daje się połknąć! Co za paskudztwo! To nie żaden deser, tylko jakieś słone gluty! Fuj! Smakują jak zgniłe wnętrzności. Boże Świety! Żołądek odsyła wszystko z powrotem.

Chcę wypluć to świństwo, tylko gdzie? Odwracam się i zwracam do szklanki. Nieco mazi skapuje na moją dłoń i - ojej, ojej - na podłogę.

Miejmy nadzieję, że nikt... Nicolas!

- Widzę, że ci nie smakuje?

- Nie jest słodkie!

- Trudno, żeby było. To surowa kaczka wątroba z kremem z kasztanów. Wegetarianom nie polecam.

To stąd ten gnilny posmak krwi w moich ustach!

- Surowa ryba, surowa wątroba. Czy coś odbiło kucharzowi? Oszczędza gaz i elektryczność?

- Tak, tak, surowizny. I jeszcze zero czosnku. Taka teraz moda, Lynn.

Zero czosnku? Teraz rozumiem. To wampiry. Tylko spójrzcie na nich. Cali w czerni, żywiący się krwią kompanów, torturują się w imię sukcesu. Jedzą odrażające, krwiste potrawy. Są wyżsi i piękniejsi niż zwykli śmiertelnicy. Wyglądają zabójczo. A ludzie pokroju Nicolasa, tacy błyskotliwi, tacy... tacy seksowni!

Stają się niewolnikami rozpieszczonych potworów w rodzaju Muriel. A niech mnie, to takie... Ciarki przebiegają po plecach.

- Nicolas, mogę cię o coś spytać?

- Jasne.

- Czemu mnie nie lubisz?

Ale go zbiłam z tropu! Uśmiecha się nieporadnie.

- Nie, mylisz się, to nie tak - płacze się.

- Zachowujesz się tak, jakbym stanowiła dla Muriel jakieś zagrożenie.

- Tylko dbam o jej interesy.

- Naprawdę uważasz, że jestem taka beznadziejna? - Tak właściwie to... - Jego uśmiech nagle robi się bardziej szczery. - Sam już nie wiem. Masz dobre pomysły.

Tak trzymać, Lynn.

- Sądzę, że powinniśmy porozmawiać - proponuję.

- Rzeczywiście.

- Natychmiast.

- Tu i teraz?

- Najpierw mnie stąd zabierz.

- Przyjęcie ci się nie podoba?

- A tobie się podoba?

- Hm... - Robi się tajemniczy. - Znam pewne miejsce...

Krok ósmy:

Nie licz na to, że miłość pomoże ci osiągnąć sukces. Miłość jest nieprzewidywalna

Do niczego nie doszło! Zupełnie!

Nada!*

Nawet mnie nie pocałował! A to wszystko dlatego, że... No?

Po prostu mu się nie podobam.

A do tego... Och, już świta. Czuję się tak... Boże! Nadal słyszę w głowie muzykę i chcę tańczyć, tańczyć sama po całym apartamencie.

Kręci mi się w głowie... I to zupełnie bez powodu, bo przecież do niczego nie doszło! I nigdy nie dojdzie. A niech to szlag! Czy możecie mi wyjaśnić, co jest grane? Skąd ten zastrzyk energii? Powtarzam sobie, tak, jasne, to wspaniały facet, mogłabym iść z nim do łóżka, czemu nie, a minutę później leżę w rzeczonym łóżku sama i bach! Chciałabym zdemolować pokój. Chciałabym wyrzucić telewizor przez okno i pójść w jego ślady, żeby ukoić ból.

Ach!

Jakby sytuacja nie była już dostatecznie skomplikowana! Nie dam sobie rady. Rusz głową! Myśl logicznie!

Nie zachowuj się jak małolata!

Poproś przez telefon o kubek ziołowej herbatki i tost z sałatą, pomidorem i bekonem. Oddychaj głęboko. Och, och, och! Nicolas, Nicolas, Nicolas!

Co ze mną zrobiłeś, człowieku? Mam na powrót trzynaście lat. Wydaje mi się, że to największa miłość mojego życia. Chcę napisać o niej w swoim sekretnym pamiętniku. Chcę napisać jego imię, otoczyć je chmurą serduszek i schować dziennik pod łóżkiem.

Och, Nicolas!

Chcę się stroić dla ciebie.

Chcę, żebyś patrzył na mnie.

Chcę, żebyś myślał o mnie, gdy w radio leci romantyczna piosenka.

Chcę z tobą porozmawiać. Chcę opowiedzieć ci o sobie wszystko.

Chcę zostawić głupawe nagrania na twojej automatycznej sekretarce. Chcę cię śledzić. Chcę cię porwać.

Chcę cię przywiązać do łóżka, a potem chcę... chcę... No właśnie! Mam gdzieś tost. Gdzie to okno? Zaraz, jedną chwileczkę. Najpierw muszę opowiedzieć wam, co zdarzyło się ostatniej nocy.

Jak wiecie, wymknęliśmy się razem z przyjęcia u Kazo.

- Znam takie miejsce... - rzucił tajemniczo.

- Jakie miejsce?

- Miejsce, do którego powinniśmy iść. Ma dla mnie szczególne znaczenie.

- Twoje ulubione?

- Powiedzmy.

- Z chęcią je zobaczę.

- Jest tam bardzo spokojnie, nie ma żadnych atrakcji. Musimy zamówić taksówkę.

- Może pójdziemy pieszo?

- Zgoda. Kiedyś uwielbiałem długie spaceru.

Wędrował po Paryżu, snując plany na przyszłość. Przyznałam, że sama sporo chodzę, nie powiedziałam mu jednak, że nadal wybieram się czasem w niedzielę do tamy Riverdale patrzeć na wodę i marzyć, tak jak to on miał niegdyś w zwyczaju.

- Gdy byłem młodszy - zwierzył mi się - wszystko wydawało się takie proste.

Sądzę, że był odrobinę podchmielony albo bardzo zmęczony, czułam w każdym razie, że możemy się przed sobą otworzyć.

Okazało się, że mamy z sobą wiele wspólnego:

1. Oboje lubimy spaceru.

2. Naszym ulubionym posiłkiem jest śniadanie.

3. Uwielbiamy święta Bożego Narodzenia, ale (4.) oboje czujemy się rozczarowani po odpakowaniu prezentów.

5. Oboje chcemy zostać buddystami, ale (6.) nie wiemy, od czego zacząć.

7. Oboje wolimy góry od morza.

8. Jabłka z cynamonem to nasze ulubione nadzienie do muffinek.

A ponieważ muffinki nie są dobrze znane w Europie, ustaliliśmy na wszelki wypadek, że (9.) najlepszym deserem na świecie jest cynamonowy jablecznik.

10. Wolimy czerwone wino od białego.

11. Kawę od herbaty.

12. Ranki od wieczorów.

13. Cukier od soli.

14.1 zielony od niebieskiego.

15. Uważamy też, że najlepszą piosenką w repertuarze Dido jest Mary's in India.

Hej, chwileczkę, pomyślałam. Facet, który lubi Dido, chyba rzeczywiście musi być gejem, prawda?

- Czy to prawda, że jesteś... - Tak?

- No wiesz, że jesteś gejem?

- Kto ci to powiedział?

- Nie żebym miała coś przeciwko. Nie mam nic do gejów. To normalni ludzie. Nawet bardziej normalni niż hetero, jeśli wiesz, co mam na myśli. W końcu każdy jest homo, prawda?

- „Każdy jest homo”? Już to gdzieś słyszałam. To Muriel powiedziała ci, że jestem gejem, tak?

- Możliwe, że coś wspominała...

- Uważasz, że wyglądam na geja?

- Ależ skąd! To znaczy, tak. Może. Mniejsza o to. Jesteś czy nie jesteś, po prostu bądź sobą! - Brzmi to jak reklama adidasów.

- Nie każdy jest gejem, Lynn.

Co on ma na myśli? Musiałam się dowiedzieć. Przystanęłam.

- Ja na przykład nie jestem, w porządku?

- Naprawdę?

A zatem...

- Chodzi ci o to, że nie jesteś takim francuskim gejem?

- Ani francuskim, ani międzynarodowym.

- Ach tak. Nie myśl tylko, że brałam cię za geja z powodu twojego wyglądu.

Co za czasy. Nie ma nic pewnego.

- Jesteśmy na miejscu.

Staliśmy na brzegu wąskiego kanału. Od razu go rozpoznałam - jechałam tędy z Massoudem. Był to ten zakątek, który odpowiadał moim wyobrażeniom romantycznego Paryża. A teraz dowiedziałam się, że to ulubione miejsce Nicolasa.

16. Naszym ulubionym miejscem w Paryżu jest ten kanał.

- Wychowałem się nieopodal. Nadal czuję się przywiązany do tej okolicy.

Spacer wzdłuż kanału był taki romantyczny - w dole szemrała woda, w powietrzu unosił się zapach wiosny, zewsząd dochodziła muzyka. Kawiarniane ogródki wypełniała młodzież. Panował cudowny nastrój bez troski.

Oto Paryż, o jakim się marzy, a przynajmniej Paryż z moich snów. Miasto miłości. Zapragnęłam dołączyć do balowni-ków i powiedziałam o tym Nicolasowi.

- Wpierw zaprowadzę cię w pewne miejsce.

Zatrzymaliśmy się przed czymś, co wyglądało na malusieńką restauracyjkę. Sędziwa kamieniczka, w której się mieściła, wciśnięta była pomiędzy dwa zwaliste, nowoczesne budynki. Odnosiło się dziwne wrażenie, że oto fragment przeszłości broni się przed zmiążdżeniem przez teraźniejszość.

- To restauracja L'Escargot*.

Nie miałam pojęcia, dlaczego mnie tam przyprowadził, ponieważ lokal był zamknięty i to najwyraźniej od dłuższego czasu.

Zachęcił mnie do zajrzenia do środka. Rozpłaszczyliśmy nosy o szybę, aby dostrzec przytulne wnętrza.

- To już trzy lata, odkąd ją zamknęto.

- I myślałeś, że otworzą specjalnie dla nas?

- Nie, niezupełnie. To tu się wychowałem. W tej restauracji. Wyczułem, że jest bardzo wzruszony.

- Prowadzili ją moi rodzice. - Och.

- Wiem, to takie przyziemne. - Skąd, Nicolasie. To... to fascynujące.

Mówiłam szczerze, ale musiało zabrzmieć sarkastycznie, bo zwiesił głowę.

- Cieszę się, że mnie tu przyprowadziłeś.

- Akurat.

- Hej, spójrz mi w oczy. To cudowne miejsce.

- Wystarczy, Lynn, naprawdę. Nie wstydzę się tego, że się tu wychowałem. Kocham tę restauracyjkę.

- A czego się tu wstydzisz?

- Raczej się tym nie chwale. Ludzie z naszej branży potrafią być bardzo... snobistyczni.

Czy zachowałam się jak snobka? Pokazał mi ten uroczy zakątek, a teraz czuje się przeze mnie nieswojo.

- Nic sobie nie myślę, Nicolasie. Zresztą... ja też mam swoje sekrety.

- Doprawdy? Na przykład?

Na przykład... Nie, miał rację, nie zasługiwałam na to, żeby tam być!

- No wiesz, każda kobieta ma swoje tajemnice - rzuciłam zdawkowo.

Wskazał L'Escargot.

- Oto moja. Teraz kolej na ciebie.

- Na przykład... wcale nie dorastałam w Nowym Jorku. Nie zrobiło to na nim wrażenia. Potrzebował więcej informacji.

- Wychowałam się w miejscowości Red Hill w stanie Connecticut, z moim Tatą, i jeśli to komuś wygadasz, zabiję cię.

- Zatem oboje w pewien sposób ukrywamy prawdę o swojej przeszłości.

17. Oboje ukrywamy prawdę o swojej przeszłości.

Nicolas spróbował otworzyć drzwi restauracji, jakby sprawdzając rutynowo, czy są dobrze zamknięte na noc.

- Rodzice nadal chcą, żebym przejął rodzinny interes. Nie stracili jeszcze nadziei.

- Muszą być z ciebie dumni. Masz taką fantastyczną posadę u Muriel.

- Nie, wcale nie są ze mnie dumni. Wierzą, że pewnego dnia porzucę ten bzdurny świątek mody i przejmę restaurację. To dlatego jej jeszcze nie sprzedali.

18. Oboje zawiedliśmy oczekiwania rodziców.

- Ładnie tutaj.

- Tak sądzisz?

- Wystarczyłoby zrobić generalne porządki.

- Prowadzenie restauracji to prawdziwa harówka.

- Jestem pewna, że byłbyś w tym świetny.

Bo, jeśli o mnie chodzi, Nicolas byłby świetny we wszystkim.

Usiedliśmy w niewielkim barze tuż obok L'Escargot. Słuchając granych na żywo dawnych kawałków, popijaliśmy czerwone wino. Ściany lokalu zdobiły stare afisze reklamujące koncerty sprzed lat, a sprzęty pokrywała ochronna warstwa tłuszczu wymieszanego z kurzem.

Nie przyznałam się do tego, ale zauważyłam wielkiego żuka sunącego ślalomem między kieliszkami, by w końcu zniknąć pod jednym ze stołów.

Bar wypełniali młodzi Francuzi. Wszyscy byli pijani albo dopiero się upijali, a wargi mieli zabarwione na fioletowo od litrów wlewanego w siebie czerwonego wina.

Wkrótce także usta Nicolasa przybrały podobny odcień.

- Kiedy pomagałem ojcu w kuchni - śmiał się - myślałem sobie, że gdy się stamtąd wyrwę, już nigdy w życiu nie obiorę

ani jednego ziemniaka. A teraz wydaje mi się, że życie na zapleczu było takie proste i przyjemne.

- Dopiero później wszystko się skomplikowało. Znam to uczucie.

19. Oboje tęsknimy za prostotą lat dzieciennych.

Nagle wpadła mi do głowy niepokojąca myśl.

- Kochasz ją, prawda? - spytałam zniecacka. - Kogo? Muriel?

- Jesteś przy niej taki... - Pokazałam mu, jak wygląda, kiedy przysłuchuje się jej zafascynowany. Po co miałby buntować się przeciwko rodzicom, jeśli nie z miłości?

- Nie kocham jej. Podziwiam - poprawił. - Bywa niemożliwa. Ale to wyjątkowa dziewczyna. - Rozmarzył się nagle, odpłynął. Może i jej nie kochał, ale z pewnością była dla niego kimś ważnym, o wiele ważniejszym niż szefowa dla przeciętnego pracownika.

- A ty, Lynn? - Co „ja”?

- Dlaczego chciałaś dla niej pracować? Wzruszyłam ramionami.

- Paryż, sława, moda. No wiesz. Nic nowego.

- Trudno mi uwierzyć, że jesteś taka sama jak inni.

- To jaka jestem?

- Potrafisz być oryginalna i zarazem stanowcza.

- Na przykład kiedy?

Wyglądał na zmieszanego. Upił łyk z kieliszka.

- Na przykład wtedy, gdy mnie pocałowałaś.

Gdy go pocałowałam? Patrzę na niego tępym wzrokiem. Nic dowcipnego czy uwodzicielskiego nie przychodzi mi do głowy.

- Pamiętasz? Pocałowałaś mnie.

- Ach tak, rzeczywiście. Chyba nawet dwa razy. - I za każdym razem byłaś taka...

- Na cóż, ustaliliśmy już, że nic to dla nas nie znaczyło - przypomniałam, uśmiechając się.

- Nie znaczyło?

- A co, nie możesz o tym zapomnieć? - Tym razem to mi trzeba było więcej wina.

- Może.

- Dużo o tym myślałeś?

- Może.

II do jakich doszedłeś wniosków?

- Czy ja wiem... Nie wiedziałem, co jest grane.

- Nie wiedziałeś?

- To było takie intrygujące.

- Z pewnością. - Poczulałam, że zaczynam się rumienić. Żeby tylko uwierzył, że to wino, pomyślałam.

- Zacząłem się zastanawiać...

- Nad czym?

- Czy może... No?

- Vous ?tes américains?* - przerwała nam siedząca obok mnie kobieta.

Cholera!

Odwróciłam głowę i zdałam sobie sprawę, że to wcale nie kobieta. Miała największe dłonie, jakie kiedykolwiek widziałam, i powinna była się ogolić. Choć nie sądzę, żeby pomogło to na dłużej niż kilka godzin.

- Ja jestem Amerykanką, ale Nicolas Francuzem - wytłumaczyłam.

- Vous ?tes des amoureux? Elle comprend pas, hein?* Para?

- Non, non, juste des coll?gues de travail* - zaprzeczył Nicolas.

- Wyglądacie na parę.

Dostałam takich rumieńców, że pomieszczenie rozświetliła bijąca od mojej twarzy czerwona luna.

- Ten młody człowiek jest w tobie zakochany - szepnął mi na ucho transwestyta i mrugnął porozumiewawczo, jakby Nicolas nie miał już szans na to, by mi się wymknąć. - A ty jesteś szczęściarą, bo to prawdziwy anioł. Comme un ange!

Jakbym nie wiedziała!

- Co ci powiedział? - spytał Nicolas, kiedy mężczyzna się odwrócił.

- Powiedział, że byłaby z nas ładna para, cha, cha. Przysięgłabym, że też się zarumienił!

Opuściliśmy bar jako ostatni. Zapytałam, czy nie moglibyśmy pójść pieszo do mojego hotelu. Nicolas stwierdził, że byłby to dość długi spacer, ale tego właśnie mu trzeba. Długiego spaceru. Długaśnego spaceru. Takiego, który trwać będzie całą wieczność.

Opowiedziałam mu o swoim dzieciństwie, o dorastaniu z dala od Jodie. Przyjemnie było rozmawiać o prawdziwej mnie, dziewczynie, która jako dziecko miała w zwyczaju podkładać sobie pod brodę stokrotki; jeśli odbijały się żółtawo na skórze, oznaczało to, że jest się zakochanym.

Zamykałam się też w pokoju Jodie, udając, że to zamkowa wieża, z której uwolni mnie księżę na białym koniu.

Ale, choć czekałam długo, księżę nigdy nie nadjechał. Pewnie grał na automatach w centrum handlowym.

Zapadła cisza. Zbliżaliśmy się do hotelu i robiłam się coraz bardziej niespokojna. Czy mamy się po prostu pożegnać? A może zaprosić go na górę na paczkę fistaszków z minibaru i szampana w łóżku?

Zatrzymaliśmy się na podjeździe.

Chciałam coś powiedzieć, ale zaczął pierwszy.

- Muszę ci coś powiedzieć... Tak, o tak!

- Myliłem się, przepraszam. Myślę, że jesteś wspaniała i... Tak?

- To znaczy, wspaniale nadajesz się do tej pracy i... No i?

- Podjęliśmy już właściwie decyzję, żeby cię zatrudnić i... Świetnie. No i?

Spojrzeliliśmy sobie prosto w oczy. Przysunęliśmy się bliżej. Już niemal dotykałam wargami jego ust, gdy... Pocałował mnie. W policzek, a potem w drugi! Cmok, cmok. Niczym brat albo dobry kumpel homoseksualista.

To było takie... gejowskie!

A potem zrobił dziwną minę, odwrócił się na pięcie i odszedł. To wszystko. Zostało mi tylko wspomnienie o tych dwóch całusach w policzek i usta zabarwione tanim winem.

* * *

- Hej, to ja, Lynn - mówię do słuchawki.

- Odbiło ci? Czy wy kiedyś śpicie w tym Paryżu?

- Całowaliśmy się!

- A niech to! - Delia trzeźwieje w sekundę. - I co, dobrze całuje? To bardzo ważne.

- Trudno powiedzieć. Właściwie to tylko ukradłam mu całusa. Ale właśnie spędziliśmy razem noc.

- Kurczę, szybka jesteś!

- Tylko rozmawialiśmy! Do niczego nie doszło. - Dobra, fałszywy alarm. Wracam do łóżka, a ty zadzwoń, jak już go zaliczysz.

- Delia!

- Już dobrze, dobrze. Rozmawialiście całą noc. Odprowadził cię do hotelu?

- Tak!

- Pocałował? - No...

- Oj, widzę, że coś jest nie tak. Jak cię pocałował? Znamy się jak łyse konie.

- W policzek. Ale dość blisko ust.

- Tak, tak.

- Delia! Całkiem blisko! To był bardzo erotyczny całus w policzek.

- Niech ci będzie. Coś jeszcze? Boże!

- Nie.

- Myślałam, że ci wszyscy Francuzi mają fioła na punkcie seksu.

- Ten nie ma fioła. Jest... uroczy. Tak, cholernie uroczy.

- Słyszę po twoim głosie, że... że... Ojej, tak się cieszę! Zaraz się rozplacę.

Spędziłam dzieciństwo, czekając na takiego faceta. Nie pojawił się. Był zbyt zajęty obieraniem ziemniaków w L'Escargot.

- Myślisz, że to Ten Jedyńy? - pyta Delia.

Patrzę przez okno. Na zewnątrz jest tak spokojnie. O wyskakiwaniu nie ma mowy, jestem za bardzo zmęczona.

- Sama nie wiem - odpowiadam, gromadząc wszystkie poduszki wokół siebie. Przyciskam je do siebie mocno, przyciskam je i marzę, żeby były Nicolasem.

RS

Krok dziewiąty:

Istnieją dwa typy ludzi - znani i cała reszta

Nie ma mnie dla nikogo. Wcale mnie nie ma. Nie ma mnie w Paryżu.

Chowam się pod kołdrą i nie mam zamiaru spod niej wychodzić.

Nie będę odbierać telefonów.

Zostanę w zamkniętym na klucz pokoju.

Zawiesiłam na klamce tabliczkę z napisem „Nie przeszkadzać”.

Mam spotkać się z Muriel i Nicolasem, żeby omówić mój kontrakt, ale się nie stawię.

Zostanę w moim apartamencie, czekając, aż wedrze się tu policja i wsadzi mnie do więzienia.

Nie, nie, będę sprytniejsza. He, he. Zanim wywarzą drzwi, będę już na lotnisku. W drodze do domu. A potem wykopię wielką jamę w ogródku u Taty i pogrzebię się żywcem, żeby już nigdy nie mogli mnie znaleźć!

To nie moja wina, że ludzie od Muriel są tacy niekompetentni. W każdej normalnej firmie zażądano by ode mnie przed ściągnięciem do Paryża czegoś więcej niż tylko nazwiska. Ale nie u Muriel, o nie! Tam nic się nie robi, jak należy. A wszystko to dlatego, że „jestem szalona, chcę być szalona, a moja firma powinna odzwierciedlać moją osobowość”.

To takie... nieprofesjonalne.

Skąd zatem poczucie winy? Dlaczego czuję się jak śmieć? Jakbym zrobiła coś złego?

Ponieważ jestem największą oszustką w historii mody, ot co! Wszyscy tam wierzą, że jestem kimś wyjątkowym. Nicolas myśli, że jestem kimś wyjątkowym. Z kimś mnie pomylili!

Pomylili mnie z Jodie, to ona jest wyjątkowa. Takich jak ja jest na pęczki.

Ale chwileczkę! Gdyby Nicolas nie był takim przystojniakiem, do tego uroczym i wrażliwym, wyjechałabym już dawno. A jeśli moim przeznaczeniem nie jest wyjść za niego i urodzić mu dziecko, to po co w ogóle się fatygowałam!

To wszystko jego wina!

Łajdak!

Która godzina? Żeby zobaczyć zegar, muszę wyjąć głowę spod kołdry.

Dostrzegam własne odbicie w lustrze. Ratunku!

Czy to naprawdę moje włosy?

Skąd wzięły się te czarne sińce pod oczami?

A ten opuchnięty, zielony język?

Lepiej wracać pod kołdrę i liczyć na to, że wszystko samo wróci do normy.

Tak, tak, to także wina Nicolasa. Ciągał mnie przez całą noc po romantycznych zakątkach.

I czy dostałam choć całusa za fatygę?

Czy leży teraz ze mną pod kołdrą po nocy dzikiego seksu i wielokrotnych orgazmów?

Skąd.

Włączyłam się z nim tyle godzin, a w zamian nie dostałam nic. Nichts!* Niente!* Tylko te dwa wilgotne cmoknięcia w policzek!

Jesteśmy w końcu w Paryżu! Domagam się francuskiego pocałunku! Przynajmniej!

Dzwoni telefon. To na pewno policja.

Chcielibyśmy zadać kilka pytań na temat pani dzieciństwa spędzonego w niejakim Red Hill w stanie Connecticut. Mamy powody sądzić, iż nie dorównuje pani talentem swej słynnej matce i usiłowała wykorzystać Muriel Boutonniere. Wyświadczając przysługę jej ojcu, zamierzamy panią aresztować pod zarzutem bycia największą oszustką w historii mody.

Telefon milknie, ale pulsuje światelko automatycznej sekretarki. Podnoszę słuchawkę, żeby odsłuchać nagrany wiadomość.

- Hm... Lynn?

To Nicolas! Telefon mnie wykiwał!

- Lynn, słyszysz mnie?

- Tak, ale wybacz, nie mogę teraz rozmawiać. Mam niezwykle ważną rozmowę na drugiej linii.

- Czekaj, chcę tylko...

- Oddzwonię!

Rozłączam się, zanim ma okazję poinformować mnie, że spotkał się z Fran Wellish, która oświadczyła, że Jodie nigdy nie wspominała o córce.

Wciskam przycisk odtwarzania wiadomości. Chcę sprawdzić, kto do mnie dzwonił. Później wyjmę kabel telefoniczny z gniazdka i zacznę się pakować.

- Allo. Mówi Chloe Sauvignon. Spotkałyśmy się wczoraj u Kazo, obiecałam, że będziemy w kontakcie. Ustaliłam właśnie z naczelną, że chcielibyśmy zamieścić artykuł o tobie. Powyżej trzech tysięcy słów plus sesja zdjęciowa. „Amerykanka w Paryżu” albo „Córka Jodie Blanchett bierze Paryż szturmem”. Albo może „Lynn zalicza Paryż”. Coś w tym stylu. Zobaczysz, będzie wspaniały. Mój numer telefonu...

Mój Boże, artykuł o mnie w „Marie Claire”?

Tej „Marie Claire”?

Może uda mi się też wkreślić do sekcji „Stylista radzi: Całkowita metamorfoza”? W najnowszym numerze: „Lynn Blanchett - z potwora z bagien w amerykańską księżniczkę”.

Przestań, Lynn, to nie dla ciebie!

Mówiłam, przestań!

Nie podnoś słuchawki!

Zabraniam ci kategorycznie!

Dlaczego wystukujesz ten numer?!

Rozłącz się natychmiast! Rozłącz się, do cholery!

- Słucham?

- Chloe? Mówi Lynn Blanchett.

- Ach, jak się cieszę!

- Czy poważnie myślicie o tym artykule? Sądzicie, że ktoś będzie chciał to czytać? Może moja osoba nie zainteresuje zbyt wielu czytelników?

- Au contraire. Życie jak ze snu. Przebojowa dziedziczka imperium mody podbija Paryż. Idealnie się nadajesz, nawet na stałą rubrykę.

Stała rubryka? O mnie?

- Moglibyśmy śledzić twoją karierę. Pokazać, jak stajesz się członkiem francuskich elit. Co ty na to? Z pewnością wymyślimy coś fantastycznego.

Przez te wszystkie lata zastanawiałam się, jak to jest być gwiazdą. Wiecie, jak Jodie, o której piszą artykuły i robią jej sesje zdjęciowe w luksusowej willi we Włoszech lub innym snobistycznym miejscu, gdzie zawsze świeci słońce.

Teraz tylko ode mnie zależy, czy spełnię te marzenia. Wystarczy wyrazić zgodę.

- Brzmi nieźle.

- Spotkajmy się w Dzielnicy Łacińskiej. Jak najszybciej. Co powiesz na wspólne śniadanie? Sądzę, że panuje tam idealna atmosfera. Może zatytułować artykuł „Śniadanie w Dzielnicy Łacińskiej”?

- Dla mnie bomba.

- Załatwię fotografa. Tylko nie rób się na bóstwo - chcemy, żeby nasi czytelnicy poznali prawdziwą Lynn. W razie czego, nie ma problemu. Poprawimy zdjęcia na komputerze.

Zapisuję adres jej hotelu i żegnamy się, ale ledwie odkładam słuchawkę, telefon znów dzwoni.

- Lynn? Nie rozłączaj się. Musimy porozmawiać! - nalega Nicolas.

Ma zmartwiony głos.

Czy prawda już wyszła na jaw?

Tak bardzo mi przykro, Nicolasie. Gdybyśmy tylko mogli zapomnieć o tym całym zamieszaniu z Muriel B. i zacząć od nowa. Cześć, nazywam się Lynn Blanchett. Jestem prostą dziewczyną o pospolitym guście. Chcę wziąć cię w ramiona i przerobić całą Kamasutrę.

- Ach, to ty. Nie mogę teraz rozmawiać, mam ważne spotkanie z Chloe Sauvignon.

Cóż za idealna wymówka.

- Wiem o nim i radzę ci dobrze, nie idź na nie.

- Skąd wiesz?

- Nie mogę ci teraz nic więcej powiedzieć, ale błagam, zostań w hotelu.

Boi się, że to będzie porażka, czy może...

- Widziałeś się już z Fran Wellish?

- Nie, jeszcze nie przyjechała. Po prostu nie chcę, żeby doszło do tego wywiadu. Popsuje... Ucierpi na tym to, co nas łączy.

- Co masz na myśli?

- Muszę kończyć. Tylko błagam, nie idź tam.

- Poradzę sobie z dziennikarką, Nicolasie. Poza tym, to będzie reklama dla Muriel.

- Ten artykuł nie będzie o Muriel, Lynn.

Starannie dobiera każde słowo, jakby nie mógł być do końca szczerzy. Jego zachowanie wydaje mi się coraz bardziej podejrzane.

- Nie martw się. Doskonale wiem, co powiedzieć tej Sauvignon.

- Lynn? - Tak?

- Jeśli jednak się z nią spotkasz... - Tak?

- Niezależnie od tego, co ci powiedzą, niezależnie od tego, jaką decyzję podejmiesz, chcę, żebyś wiedziała, że to, co się wydarzyło między nami wczorajszej nocy, wiele dla mnie znaczy.

- Co jest grane? Zaczynam się bać.

- Muszę kończyć. Odkłada słuchawkę.

Czuję się bardzo nieswojo. Czyżby wywiad z Chloe był dla mnie śmiertelną pułapką, a Nicolas ryzykował życiem, żeby mnie ostrzec? Tak to zabrzmiało.

To takie tajemnicze. I romantyczne.

Taksówka dowozi mnie pod drzwi uroczego hoteliku. Szkoda, że nie możecie mnie zobaczyć. W dwadzieścia cztery godziny, bez pomocy stylisty, przeszłam całkowitą metamorfozę. Jestem z siebie taka dumna, jakbym była pierwszą kobietą na świecie, która wpadła na to, żeby ubrać się wygodnie, ale zarazem modnie i seksownie. Nie uwierzylibyście, czego potrafię dokonać za pomocą dżinsów, prostego podkoszulka, porządnej torebki, pary sandałów i potężnego kaca. To naprawdę działa! Widziałam te spojrzenia, kiedy wychodziłam z hotelu i wzywałam taksówkę. Nawet ci, którym towarzyszyły partnerki, nie mogli się powstrzymać. Kim jest ta kobieta, myśleli, odwracając głowy? Jak szkoda, że nie mogę się z nią umówić.

Gdy podchodzę do recepcji, żeby zapytać o Chloe, czuję na sobie wzrok kolejnej ofiary mego uroku.

- Lynn?

Mężczyzna wstaje, odłożywszy gazetę. To nikt inny jak Hubert Barclay, ten zabójczo przystojny magnat prasowy! Omiata mnie wzrokiem od stóp do głów, najwyraźniej bardzo zadowolony z tego, co widzi.

- Jak się masz? Wyglądasz... rewelacyjnie. Kurczę, naprawdę zrobiłam na nim wrażenie.

- Mieszkasz tu? - pytam.

- Nie, umówiłem się z kimś, a ty?

- Szukam Chloe.

- Chloe Sauvignon? Jakżeby inaczej. Jest w restauracji. Pisze o tobie artykuł? No cóż, zasłużyłaś sobie, po tym wszystkim, co zrobiłaś dla Muriel.

Po tym wszystkim?

- Gdzie się zatrzymałaś?

- W hotelu sieci Four Seasons.

- Le Georges V?

- Oui.

- Naprawdę? Trochę tam kiczowato. Powinnaś przenieść się tutaj. Ten hotel bardziej pasuje do twojego stylu.

Myślę sobie, że ten facet nie ma pojęcia, jaki jest mój styl, ale mówię tylko:

- Może innym razem.

Zapada cisza. Hubert uśmiecha się. Najwyraźniej czeka, aż powiem coś błyskotliwego.

- Muszę lecieć - oświadczam. Ależ się wysiliłaś, Lynn!

- Ach tak. Jesteś może... -Co?

- Może chciałabyś zjeść ze mną kolację? Oczywiście, jeśli nie jesteś zbyt zajęta.

Kolacja z Hubertem Barclayem?

- Byłoby miło.

- Świetnie. Zadzwoń do ciebie do hotelu.

- Dobrze.

Jasne! Bomba! Mamusi!

Ruszam z miejsca. Tylko się nie odwracaj, Lynn! Mówiłam, nie odwracaj się! Wyobraź sobie, że jesteś Roxanne Green, ona nigdy nie upadłaby tak nisko. Cholera! Odwracam głowę i widzę, że Hubert nadal stoi w holu i uśmiecha się, zadowolony z siebie.

- Czyżbyś rozmawiała przed chwilą z Hubertem Barclayem, Lynn? - pyta Chloe, dobrze znając odpowiedź. Oboje należą w końcu do tego samego świata - to ja tu nie pasuję.

- Tak. Znamy się od lat. Czyż świat nie jest mały?

- Naprawdę znasz Barclaya? To znaczy, dobrze?

- Właśnie zaprosił mnie na randkę, ale jeśli to pojawi się w prasie, zabiję cię.

Chloe wysuwa dla mnie krzesło spod stołu i siadam obok niej.

- Wciąż mnie zadziwiasz, skarbie. Umawiasz się z najlepszą partią na świecie i nie chcesz, żeby ktokolwiek o tym wiedział? Kim ty jesteś, buddystką?

Właściwie to chciałabym zostać buddystką, ale nie wiem, od czego zacząć.

- Po prostu nie chcę, żeby kolorowe pisemka rozpisywały się o moim życiu.

- Po to właśnie jesteśmy.

- No, chyba że może to pomóc Muriel.

- To nienajlepszy pomysł, Lynn - stwierdza Chloe, nalewając mi herbaty. - Nikt nie myśli poważnie o Muriel. Tylko uzurpuje sobie prawo do bycia projektantką. To zepsuty bachor, une sale Gosie*. Nie zmarnuję ani jednej kropli atramentu na to, żeby pomóc jej wydostać się z cienia, z którego nigdy nie wypełźnie.

Z nadmiaru nienawiści widocznie zaschło jej w gardle, bo musi wspomóc się herbatą.

- Interesujesz mnie tylko ty, Lynn.

Jakbym sama nie uzurpowała sobie prawa do bycia kimś innym.

- Pracuję jednak dla Muriel.

- Dobrze sobie! Z pewnością doszłaś już do wniosku, że to strata czasu. Muriel to tylko bogaty dzieciak, który szasta pieniędzmi tatusia i udaje, że dokona największej rewolucji w modzie od czasu wynalezienia džinsu. Działa mi na nerwy.

Muriel musiała kiedyś przydepnąć jej eleganckie czółenka i nie przeprosić za to.

- Działa na nerwy wielu ludziom - ciągnie Chloe.

- Uważam, że ma talent - oświadczam hardo.

- Talent! A cóż to właściwie takiego? Talent to jeszcze nie wszystko. Tu trzeba geniuszu. Twoja matka jest tego najlepszym przykładem. I powiem ci coś jeszcze. Xavier też jest geniuszem. - Chloe ścisza głos. - Powinniście spotkać się ponownie i porozmawiać. To mój dobry znajomy. Mogłabym coś zorganizować. Un rendez-vous.

- Sądzę, że nie powinnam. Dopiero co zaczęłam pracę dla Muriel. Ufa mi. Nie mogę tak jej potraktować.

- Lynn, nie jesteś kapitanem, nie musisz tonąć z okrętem. To nie czasy szlchetnych rycerzy, tylko świat mody.

Sięgam po cukier. Rzuca mi spojrzenie pełne wyrzutu. Jak można słodzić?!

- Tak się składa, że Xavier także zatrzymał się w tym hotelu. Moglibyście się spotkać w każdej chwili, wystarczy zadzwonić.

Może to objaw paranoi, ale poczucie niższości czegoś mnie nauczyło - nie ufam przymilnym natrętom. Jeśli ktoś nagle zaczyna zabiegać o moje względy, robię się podejrzliwa. Z pewnością chce mnie zabić, sprawić, nasolić i zostawić w spiżarni na zimę.

- Nie sądzę, żeby Xavier Urbain był zainteresowany pokątnym przeciąganiem na swoją stronę współpracowników konkurencji.

- Wręcz przeciwnie. Czekają już na nas w pokoju.

Cóż za intryga! Czy Nicolas mnie nie ostrzegał? Wiedział, że wywiad dla „Marie Claire” to tylko pretekst.

Chloe uznaje, że nie mam nic przeciwko i zbiera się do wyjścia. Obiecała dostarczyć moją głowę Xavierowi Urbain przed lunchem i tak też się stanie. Nawet się nie odwraca, żeby sprawdzić, czy za nią idę. Jest przekonana, że chcę spotkać się z Xavierem - i ma rację.

Ruszam za nią. Nie zdążyłam spróbować herbaty. A tak marzyłam o sesji zdjęciowej dla „Marie Claire”!

- Nie, nie winda, skarbie. To na drugim piętrze. Lekarz mówił mi, że schody są świetne na pośladki.

Idziemy więc pieszo.

- Czy już poszłaś z nim do łóżka?

- Z kim? - Czy Chloe myśli, że znam jej osobistego trenera?

- Z Barclayem, rzecz jasna. Ach.

- Nie twój interes. - Po co się zwierzać, skoro z artykułu nici.

- Wiesz chyba, że ma stałą dziewczynę w Stanach. Planują ślub.

- Liczę na zaproszenie.

- Och, jesteś taka nowoczesna.
- Hubert i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi.
- Tak, tak, jesteś jedną z jego specjalnych przyjaciółek. Wierz mi, odpuściłam już sobie podobne przyjaźnie. Pięć minut w łóżku, dwa dni z rozmytym tuszem do rzęs.

Chloe puka do pokoju numer 212.

Drzwi otwiera Xavier Urbain. Nie pofatygował się zmienić szlafrok na coś bardziej stosownego. Resztką starannie zaczesanych włosów na czubku jego głowy lśni od żelu.

- Ach, Lynn Bianchetti Tak się cieszę, że znów się spotykamy. Mamy tyle do omówienia.

Pokój wypełnia zapach potu i wody kolońskiej. Jest tu ciemno, duszno i wilgotno.

- Usiądź, proszę. - Xavier podsuwa mi krzesło. Mój Boże, to najbardziej odrażający człowiek, z jakim miałam do czynienia.

- Powinniśmy byli się spotkać dobre parę dni temu - zaczyna Xavier. - Zdałaś już sobie zapewne sprawę, że Muriel Boutonniere to niewypał.

- Niezupełnie - przerywam. - Jest, hm, inna niż wszyscy, ale według mnie ma potencjał.

- Też coś! - prychnął Xavier. - Ta dziewczyna do kompletne zero. Trzeba lat, żeby stworzyć poważny dom mody, taki jak Xu. A Muriel wyobraża sobie, że może zjawić się znikąd z pieniędzmi tatusia, ze swoimi cudacznymi tatuażami i całym tym żelastwem na twarzy, a my będziemy bić brawo i nazywać ją geniuszem!

- Nie rozumiem, czemu się tak oburzasz. Oboje z Chloe jesteście do niej tak wrogo nastawieni.

- Pretensjonalność działa nam na nerwy.

- W tej branży jest wiele pretensjonalnych osób. Dlaczego ona?

- Nie chcę o niej dłużej rozmawiać. Chcę porozmawiać o tobie. Mogę ci pomóc. Pomóc?

- Nie wiedziałam, że potrzebuję pomocy. Xavier zerka na Chloe podirytowany.

- Lynn, czy nie możesz po prostu wysłuchać tego, co Xavier ma do powiedzenia?

- Uważamy, że jesteś bardzo cennym pracownikiem. Samo twoje nazwisko... I oczywiście twoje pomysły!

Oczywiście!

- Nie chcę, żebyś dostała się jednemu z tych bufonów, rozumiesz.

- Nie, nie rozumiem.

- Xavier chce ci zaproponować stanowisko w swojej firmie. Wysokie stanowisko. Ale oznaczałoby to zerwanie wszelkich kontaktów z Muriel B.

Patrzę na Chloe z niedowierzaniem. Biją się o mnie najlepsze domy mody!

- Chyba żartujecie - pryham. - Chcecie wykiwać Muriel przy mojej pomocy?

- Co w tym śmiesznego?

- Ta sytuacja. I wy sami. Dlaczego myślicie, że zdradziłabym Muriel?

- Ile ci płaci?

- Dostatecznie dużo - kłamię, ponieważ nie omawialiśmy mojego wynagrodzenia.

- Ja również proponuję ci... dostatecznie dużo. - Xavier podsuwa mi kartkę, na której napisał kilka cyfr. Na widok proponowanej sumy zaczyna kręcić mi się w głowie.

- To w euro - dodaje.

Czekają na moją odpowiedź, ale nie mogę dojść do siebie. Naprawdę chcą mi płacić tyle pieniędzy? Xavier zabiera kartkę i dopisuje kolejną liczbę.

- A to bonus za samo podpisanie kontraktu. Czytam.

Boże Świąty!

Jestem bogata! Jodie, udało mi się! Podbiłam Europę!

- Nie sędzę, żeby Muriel była w stanie nas przebić - wtrąca Chloe.

Sędziłam, że jest dziennikarką, ale najwyraźniej zajmuje się snuciem intryg na zlecenie Xaviera Urbain.

- Cóż, muszę to przemyśleć. - Staram się nie zdradzić targających mną emocji.

Przemyśleć? Zwariowałaś? Nie widziałaś kartki? Każ im wystawić czek i z miejsca podpisuj kontrakt! Przecież nic nie obiecywałaś ani Muriel, ani żadnemu z jej...

Nicolas.

Cholera, a Nicolas? Znienawidzi mnie za to. Zachowuję się jak wyrachowany najemnik, dla którego liczą się wyłącznie pieniądze.

- Nie ma na co czekać, Lynn. Dowiedziałaś się, o jaką kwotę idzie, teraz musisz podjąć decyzję.

Podpisuj, podpisuj!

- Potrzebuję czasu do namysłu. Patrzą po sobie.

- Chyba nie zamierzasz podbijać stawki? - pyta Urbain.

- Lynn wie, że jest cennym nabytkiem, Xavierze. Ale z pewnością zdaje sobie sprawę, że jej nazwisko nie jest warte ani centa więcej.

Urocza kobieta, nie ma co.

- Po prostu potrzebuję czasu do namysłu.

Uspokajają się. Najwyraźniej uwierzyli, że nie odrzucił mnie ich brak skrupułów. Co prawda, gdyby nie Nicolas, chyba by mnie nie odrzucił.

- Tylko nie rozmyślaj zbyt długo - radzi Chloe. - Propozycje są jak trendy, szybko nie ma po nich śladu.

Z przykrością muszę stwierdzić, że ma rację. Co, jeśli zmienią zdanie? Co, jeśli uświadomią sobie, że nie jestem warta tych pieniędzy?

Co, jeśli przyjmę ich propozycję i już nigdy nie zobaczę Nicolasa?

Nicolas, przez ciebie tracę szansę na zabicie fortuny!

Za taką pensję mogłabym opłacić piętnastu facetów zgrabniejszych od ciebie (choć trudno to będzie ustalić, bo nie widziałam cię nago). Wcielaliby w życie moje najdziksze fantazje. (Mm... Cha, cha). Nosiliby imiona takie jak Alfredo czy Bernardino. I nie tylko uprawialiby ze mną seks na zawołanie, ale byłiby także świetni w myciu basenu i rozsmarowaniu olejku do opalania na moich plecach silnymi, męskimi dłońmi.

A ty, Nicolasie, co masz do zaoferowania? Skuter! Idiotyczny skuter i to dziwne poczucie, że jesteś Tym Jedynym.

RS

Krok dziesiąty:

Możesz sypiać z przystojnym, ale wyjdź

W recepcji czeka na mnie wiadomość: „Zadzwoń. Nicolas”.

Brr.

Już widzę, jaką minę zrobiła Fran Wellish, próbując sobie przypomnieć, czy jej była szefowa kiedykolwiek wspomniała jakąś Lynn, ponoć córkę.

Kto taki? Lynn? Hm. Nie, nie przypominam sobie, żeby koło Jodie kręciła się jakaś Lynn. Miała obrzydliwego pieska o imieniu Spark, ale nigdy nie słyszałam o córce. To chyba jakaś oszustka, Nicolasiu.

Jest jeszcze druga wiadomość: „Przyjadę po ciebie o siódmej trzydzięci. Hubi”.

Hubi?

Trudno mi sobie wyobrazić Huberta Barclaya jako „Hubiego”.

Hubi zarządzający imperium medialnym? Hubi na randce w ekskluzywnej restauracji?

Leżę na łóżku, przyglądając się obu wiadomościom.

- Hubi - próbuję.

Może Hubi nie dba o to, kim jest moja matka?

Może jest ciekawy mojego wnętrza, tego, jaką osobą jestem naprawdę?

Akurat! Nie słyszałaś, jaką ma reputację? Jedyne wnętrze, jakie go interesuje, to wnętrze twojej sypialni!

Po co w ogóle się z nim umówiłam? Poza tym, że jest przystojny, bogaty i ma władzę, oczywiście. Czy mnie pociąga?

Hubi. Hm. Brzmi idiotycznie. Jakbym szła na randkę z postacią z kreskówki.

Czytam ponownie wiadomość od Nicolasa. Jest taka lakoniczna. Jak rozkaz. Biję od niej chłód. Przypomina tonem: „Proszę natychmiast stawić się w biurze pana prezesa”. To wiadomość dla osoby, która nabroiła. Oznacza koniec mojej

krótkiej kariery. Z westchnieniem padam na łóżko. Trafiłam do szalonego świata zamieszkanego przez nawiedzonych wariatów, ale, nie wiedzieć czemu, podoba mi się tutaj. Zasmakowałam innego życia i nie mam go jeszcze dosyć. A tymczasem lada chwila odeślą mnie do domu, gdzie w akcie desperacji wyjdę w końcu za mąż za jakiegoś Teda czy Roda. Nigdy nie udowodnię Jodie, że potrafię stać się częścią jej świata.

Dzwoni telefon. To on. Wiem, że to on. Po co zwlekać z egzekucją? Podnoszę słuchawkę.

- Lynn? Tak, to on.

- Słucham.

- Lynn, nie dostałaś mojej wiadomości?

- Właśnie na nią patrzę. Spotkałeś się już z Fran?

- Z Fran Wellish? Nie. Przełożyła swój przyjazd na później.

Przełożyła?

- Przełożyła?

- To dość dziwna historia. Nie było jej w samolocie. Nie możemy się z nią skontaktować.

Dziękuję, Boże! Pewnie przeniosłeś ją na księżyc.

- A co u ciebie? Jak ci poszło z... Co dziś porabiałaś?

- Potrzebowałam trochę czasu dla siebie. Spacerowałam. - Nie brzmiało to przekonująco. Czy wyczuł kłamstwo i domyśla się, że spotkałam się jednak z Chloe?

- Gniewasz się na mnie?

- A dlaczego miałabym?

- Nie wiem, coś w twoim głosie... Czy wszystko w porządku?

Nie, nie wszystko, ale przecież tego mu nie powiem. Postanawiam zmienić temat.

- Przechodziłam obok L'Escargot. W dzień jest tam równie ładnie.

- A to ciekawe.

Przewracam się na plecy i zaczynam bawić kablem telefonu.

- Dlaczego?

- Rozmawiałem dziś z rodzicami. W końcu postanowili sprzedać restaurację i po raz ostatni spytali mnie, czy nie chcę przejąć interesu.

- I co powiedziałeś?

- Nie zgodziłem się, oczywiście.

- Musiało być im przykro.

- Wiem. - Słyszę, że wzdycha ciężko. - Zobaczymy się dziś wieczorem?

- Nie mogę, idę na randkę.

Cholera! Nie powinnam była użyć tego słowa.

- Wpadłam rano na Huberta Barclaya i zaprosił mnie. To taka... koleżeńska randka.

Nicolas milczy.

Definicja „koleżeńskiej randki”: kolacja, wino, odwiezienie - OK, ale majtki zostają na pupie. Chyba wszyscy o tym wiedzą, prawda? Nawet we Francji?

- Hubert jest tylko moim dobrym znajomym! Tylko na tobie mi zależy, głuptasie!

- Rozumiem. W takim razie do jutra. Zobaczymy się w biurze. Cholera! Dlaczego do tego doprowadziłam?

- Lynn? -Tak?

Po raz kolejny, odkąd się poznaliśmy, zapada krępująca cisza.

- Chciałbym... -Tak?

- To znaczy... -Tak?

- Życzę udanego wieczoru. Niech ci będzie.

Czy mówiłam już wam, że zostanę księżniczką? Nie mogę oderwać wzroku od swojego odbicia w lustrze. Przód. Tył. Profil. Odrobinę bokiem. Owszem, spacerowałam, ale po drodze kupiłam też kilka niesamowitych sukienek z butami do pary i lekki płaszcz, żeby zbyt w tych cudёнkach nie zmarznąć. Koperta od Jodie się przydała.

Kilka ostatnich banknotów leży na stoliku koło rachunku z firmowego sklepu Kazo i opląkuje stratę licznych przyjaciół.

Tak, tak, robiłam zakupy u Kazo.

Mniejsza o to, spójrzcie tylko na mnie!

Przód. Tył. Profil. Odrobinę bokiem.

Oto właśnie chodzi w modzie. Można się przeobrazić, odnaleźć swoje prawdziwe ja. Nareszcie odkryłam, że potrafię być ładna. Bardzo ładna. Ładniusia. Może nawet - nie bójmy się użyć tego słowa - piękna. Niech mnie tylko zobaczy Hubi! Utopi się we własnej ślinie.

Wiem, wiem. Nie powinnam umawiać się z Hubim, zwłaszcza gdy sprawy z Nicolasem zaszyły tak daleko. Ale wszystko będzie dobrze, ponieważ, po pierwsze, to nie zwykła randka, ale randka koleżeńska, a po drugie Hubert w ogóle mnie nie interesuje i będę tylko miała wyrzuty sumienia, że nie spędzam wieczoru z Nicolasem.

A po trzecie... nie mogę się już doczekać! Randka w Paryżu z kimś tak legendarnym jak Hubert!

Zostanę maskotką elit, cha, cha! Poza tym, to chyba moja ostatnia szansa na zakosztowanie sławy i luksusu, nim wszystko szlag trafi, więc sądzę, że mam prawo trochę zaszaleć.

Dzwoni telefon. Ktoś oznajmia z francuskim akcentem, że w holu czeka na mnie niejaki pan Barclay.

To takie niesamowite!

Chciałabym spędzić w ten sposób resztę życia. To znaczy tak, jak wyobrażam sobie resztę wieczoru.

Jestem podekscytowana tak bardzo, że nie pamiętam, czy zamknęłam za sobą drzwi apartamentu.

Nie pamiętam, czy wzięłam kartę otwierającą zamek!

Szukam jej w torebce, ale po chwili nie pamiętam już, czego szukam.

Jak inne kobiety mogą nie tracić głowy przed randką (koleżeńską randką) z Hubertem Barclayem? Zaprosił mnie do restauracji i to w Paryżu! Dołączyłam do długiej listy gwiazd i modelek, które zaprosił, przeleciał i porzucił. Ale ze mnie szczęściara!

Rzecz jasna, nie mam zamiaru iść do łóżka z Hubim. To koleżeńska randka. Myślę o moim aniołku Nicolasiu i czuję się bardzo, bardzo winna. Choć sam mógł mnie zaprosić.

Jest Hubi. Stoi odwrócony do mnie plecami. Od recepcji dzieli mnie jeszcze kilka stopni. Usiłuję pokonać je z gracją Ingrid Bergman. Odwraca się i mierzy mnie wzrokiem. Ach! Przeszywa mnie dreszcz. Uśmiewam się, jak umiem najładniej. Bingo! To spojrzenie - podoba mu się to, co widzi. Nareszcie normalna dziewczyna, a nie jeden z tych wychudzonych wieszaków. Wiwat kobiece krągłości! Oto dziewczyna, którą można pokazać rodzicom, mówiąc: „Tak, mam, ta dziewczyna o szerokich biodrach da mi syna”.

- Cześć, Hubert. Cześć, Hubi.

- Wyglądasz fantastycznie. On też wygląda fantastycznie.

- Zarezerwowałam stolik w La Tour d'Argent*. Mam nadzieję, że nie jest tam zbyt kiczowato jak na twój gust.

- Bardzo boisz się kiczu.

- Kicz zabija, Lynn.

- Cóż, nigdy nie byłam w La Tour d'Argent. Ale umieram z głodu, więc zgadzam się na wszystko.

Hubert uśmiewa się. Nieczęsto ma do czynienia z kobietami, które umierają z głodu. Albo z kobietami pełnymi entuzjazmu. Gwiazdy i modelki są na ciągłej diecie, a niski poziom cukru we krwi sprzyja otepieniu. Ja jestem inna, nie przejdę koło żadnego ciastka obojętnie. Dzięki temu mam energię na czerpanie z życia pełnymi garściami. I obrastam w tłuszcz.

- Od przyjazdu do Paryża nie jadłam mięsa - dodaję, rezygnując z dalszego udawania wegetarianki. - Czy podają tam dobre steki?

- Nigdy nie widziałem, żeby ktoś je tam jadł - przyznaje Hubert po namyśle - ale jestem pewien, że, jeśli poprosimy, wyślą gońca, żeby jednego gdzieś kupił.

Co za ugodowy człowiek, wszystko da się załatwić. Z jednej strony niczym się nie przejmuję, z drugiej wydaje się taki miły i skory do pomocy.

Co za fajna koleżeńska randka!

Wieczór jest ciepły, a w chmurach odbijają się różowawo światła miasta. Cudownie. Szofer Huberta otwiera przed nami drzwiczki czarnej limuzyny. Siedzenia są ze skóry. Mogłabym z łatwością przywyknąć do podobnych luksusów.

- Co powiesz na aperitif przed kolacją?

- Jeśli masz na myśli coś z alkoholem, to jestem za.

- Jakim typem dziewczyny jesteś? Wolisz najnowsze trendy czy klasykę?

Co?

- Klasykę...

- Dobrze. Lubisz Krwawą Mary?

- Czyta mi pan w myślach, panie Barclay.

- Dave - Hubert zwraca się do szofera. - Zawieź nas do Harry'ego.

Jazdy długą limuzyną nie da się porównać z niczym innym. Czuję, że zwykły świat zostawiłam daleko za sobą. Trafiłam do krainy marzeń.

- Lynn, wstyd mi zapytać, ale gdzie się właściwie poznaliśmy?

- W samolocie widzieliśmy się po raz pierwszy w życiu. Kręci głową i uśmiecha się. Odwzajemniam uśmiech.

- Jesteś inna niż wszyscy.

- Jak mogłeś w to wątpić, Hubi. - Wiem, że brzmi to jak flirt, ale wcale nie flirtuję. No, może odrobinę, ale tak po koleżeńsku.

Kierowca staje na środku wąskiej uliczki, skutecznie tamując ruch, otwiera przede mną drzwiczki i pomaga wysiąść. Hubert wysiadł sam i czeka już przy wejściu do baru.

- Byłem pewien, że nie spotkałem cię wcześniej. Nie mógłbym kogoś takiego zapomnieć.

Otwiera przede mną drzwi. W środku panuje półmrok, jest gwarno i tłoczno, a w powietrzu unoszą się kłęby papierosowego dymu. Jest fantastycznie, zupełnie jak w książkach. Właśnie tak wyobrażałam sobie życie nocne w Paryżu - dym, gwar, pamiątki z przeszłości rozwieszane na boazerii. Rozmowy toczą się po angielsku, klientela to sami Amerykanie, a każdy zerka co chwila ku drzwiom - a nuż Ernie Hemingway czy Scott Fitzgerald wróćą z zaświetów i wpadną dziś wieczór na dżin z tonikiem?

- Kogóż my tu mamy! Ale ten świat jest mały.

Prawda?

Roxanne Green lustruje nas od stóp do głów i uśmiecha się zapraszająco. Towarzyszy jej przystojny brunet, który mógłby być jej synem.

- Miło cię widzieć, Lynn. Przyniesiesz nam drinki, Hubercie?

- Jasne. Co pije młody?

„Młodemu” nie za bardzo podoba się takie określenie.

- Ach, Hubercie, Lynn, to jest, hm, Guy. Guy jest... Czy możesz przypomnieć mi, czym się zajmujesz, Guy? Qu'est ce que tu fais dans la vie, mon chéri?*

- J'ai été dans L'Appari. Mais fai perdu*.

- A tak. Guy był uczestnikiem jednego z tych głupawych reality show, które tu lecą. Teraz chyba planuje napisanie autobiografii, ale oczywiście najpierw będzie musiał nauczyć się czytać i pisać, cha, cha. Chce stać się sławny, cha, cha. Przynieś mu wody sodowej. I tak już za dużo wypił.

Roxanne muska dłonią policzek chłopaka.

- Je me sens pas bien!* - skarży się tamten.

- No, no - zwraca się do mnie Roxanne. - Widzę, że nie marnowałaś czasu. Ale nie mów później, że cię nie ostrzegałam przed Barclayem!

- To tylko koleżeńska randka - protestuję. - A poza tym, Hubert ma w Stanach stałą dziewczynę.

- Nie jesteś na bieżąco, skarbie. Dopiero co rzucił nieszczęsną, tak jak i wszystkie inne naiwne, które trafiły do jego łóżka. Chciała, żeby zareczyli się do jesieni, więc kazał jej się wynosić. Przyleciał do Paryża, żeby mogła w spokoju wyprowadzić się z jego nowojorskiego apartamentu. Jakie to szlachetne z jego strony! Prawdziwy z ciebie dżentelmen, Hubercie.

- Skoro tak twierdzisz.

Stawia wodę sodową przed Guyem, ale biedaczek zasnął z głową na blacie.

- Sądzę, że mamusia wcześniej kładzie go spać.

- Tak to jest, gdy się człowiek umawia ze znacznie młodszymi od siebie, Hubercie - kwituje Roxanne, sącząc Krwawą Mary i głaszcząc Guya po głowie.

- Mmm. Jeszcze nigdy nie piłam tak wybornej Krwawej Mary - wtrącam, żeby skierować rozmowę na inne tory.

- Masz wielkie szczęście, Hubercie - ciągnie Roxanne, rozpierając się wygodnie. - Jesteś bogaty. Odniosłeś sukces. A teraz na twoją ścianę z trofeami ma trafić Lynn Blanchett.

- Oh, j'ai dormi!*- Guy podnosi raptownie głowę i rozgląda się półprzytomnie.

- Nic się nie stało, skarbie. Nie tęskniliśmy za tobą.

- Będę wymiotował. Muszę wyjść - udaje mu się wydukać jęklonie po angielsku.

- Jesteś już dużym chłopcem. Poradzisz sobie sam. - Nie ma sprawy - mówi Hubert. Pomaga chłopakowi stanąć na nogach i eskortuje go w tłumie.

Jaki miły gest! Gdyby nie chodziło o koleżeńską randkę, byłabym oczarowana.

- Lynn, będę z tobą szczerą. Trzymaj się z daleka od Huberta!

- Do niczego nie dojdzie. To tylko...

- Nie ma czegoś takiego jak koleżeńska randka.

Chcę zaprotestować i przytoczyć jej definicję, ale miejsce Huberta zajmuje zniecałkowany jakiś mężczyzna, patrzy na mnie i mówi:

- Hej, ja ciebie znam.

To elegancki czterdziestolatek z nadwagą. Ma kręcone, rude włosy i czerwoną twarz człowieka, który nie gardzi piwem i chipsami.

- Nie sędzę - mamrocę.

- Wszyscy ją znają, ale ciebie nikt - oświadcza Roxanne. - Nie masz lepszych pomysłów na podrywanie panienek?

- Spokojnie, po co ten ton? Mam na imię Brian. Brian Ferguson z Bostonu. Jesteście z Bostonu?

Jest całkiem fajny, jeśli ktoś gustuje w miłusich tłuscioszkach.

- I czym się zajmujesz w Bostonie, Brian? - pyta Roxanne. Grubasek wskazuje na swój kufel.

- Handluję winem.

- To piwo.

- Nie jestem wierny winu.

- Urocza praca.

- Najlepsza na świecie. Niech żyje! - Opróżnia kufel jednym haustem. - Mogę postawić wam drinka?

Roxanne przygląda mu się badawczo.

- Jesteś żonaty?

- Rozwiedziony!

- Dużo zarabiasz?

- Nie narzekam.

- Niech będą dwie Krwawe Mary. - Roxanne popęda Briana machnięciem ręki. - Miły gość. Taki zupełnie zwyczajny.

- Guy chyba nie będzie nim zachwycony.

- O wilku mowa. Pojawia się Hubert, ale sam.

- Musiałem wsadzić młodego do taksówki.

- Jesteś okropny. Miałam wobec niego pewne plany na dziś wieczór.

- Hej, byłem tu pierwszy - woła Brian, stawiając nasze drinki na stoliku.

- Hubercie, poznaj Briana Fergusona z Bostonu. Brian handluje winem.

- A ty, kolego? - Brian stara się nie tracić rezonu.

- Brian, mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia - proponuje Roxanne. - Będziesz mi towarzyszył do końca wieczoru.

- Tak jest, kapitanie.

- Grzeczny chłopiec. Siadaj.

Brian przysiada się, uśmiechając promiennie. Zapewnijcie takiemu piwo i towarzystwo pań, a będzie wniebowzięty.

- Możemy się do was później dołączyć? - pyta Roxanne.

- Mamy zarezerwowany stolik w La Tour d'Argent.

- La Tour d'Argent? - prycha Brian. - To lokal dla turystów i frajerów.

- Brian, uspokój się!

Brian rzuca Roxanne uwodzicielskie spojrzenie.

- Uwielbiam, gdy dama mi rozkazuje.

Spójrzcie tylko na nią! Uśmiecha się zupełnie nie w swoim stylu. Brian uderza pięścią w stół.

- Znam inne Tour, Tour de Montlhéry. Mówię wam, to autentyk.

- Czemu nie. - Uśmiecham się do Huberta.

- Rzeczywiście, czemu nie - przyznaje Hubert rycersko.

Ale jeszcze nie teraz. Najpierw musimy wypić tyle koktajli, że można by nimi napełnić małe akwarium. Kiedy w końcu opuszczamy Harry'ego, nie widzę nic złego w tym, że Hubert obejmuje mnie w talii. Czyż nie tak postępują koledzy na koleżeńskich randkach?

Hubert wzywa szofera przez komórkę. Ma nad wszystkim kontrolę. Czuję, że wreszcie mogę na kimś polegać i jestem tak tym wzruszona, że zaraz się rozplączę. (Tak, tak, jestem zalana

w trupa!). Szukam wzrokiem Roxanne. Potrzebuję moralnego wsparcia z jej strony.

Nic z tego.

Ta kobieta śmieje się i śmieje! Tak zupełnie zwyczajnie i szczerze. Daleko temu do zjadliwego chichotu, jakim ma w zwyczaju kończyć co drugie zdanie. To ten grubasek Brian tak ją rozbawił.

- Gdzie taksówka? - pokrzykuje bostończyk. Nagle zauważa limuzynę Huberta i milknie.

- Ej, kolego! Chcesz przed nami poszpanować?

- Nie, to mój samochód - odpowiada Hubert tak obojętnym tonem, że mam ochotę go pocałować. Ale wiem, że nie powinnam, ponieważ to koleżeńska randka. Od czasu do czasu muszę też sobie przypominać, że mam straszne wyrzuty sumienia.

Jesteśmy na miejscu. Dave pomaga mi wysiąść z limuzyny.

- Mówiłem wam, że to autentyk - cieszy się Brian.

- Lynn, coś mi mówi, że to będzie mój najgorszy wieczór w Paryżu - szepcze Roxanne, ale uśmiecha się przy tym tak szeroko, że najwyraźniej zapomniała, ile zmarszczek jej przy tym widać.

Wchodzimy. Z sufitu niewielkiej sali zwisają miedziane rondle i różnorakie kiełbasy. Przy drzwiach wita nas kobieta, zapewne właścicielka. Rozpoznaje Huberta i podają sobie ręce. Rozmawiają po francusku. Hubert mówi coś zabawnego, bo kobieta wybucha śmiechem, po czym przywołuje jednego z kelnerów. Zaczynają przestawiać różne sprzęty tak, żeby znalazło się dla nas miejsce.

Jak się zdaje, cały lokal jest zarezerwowany na wesele lub imprezę firmową, ale Brian tłumaczy:

- Tu tak co wieczór. Przypadkowe osoby bawią się razem.

To niemal orgietka! Nie ma osobnych stolików, tylko jeden, za to bardzo długi. Obcy sobie ludzie próbują tych samych potraw i win.

Nie wiem, czy to jawa, czy sen. Znów jestem podekscytowana jak trzynastolatka. Hubert nie może być niebezpieczny, po co mieć się przy nim na bacności? Nie dziś. Dziś jest moim kolegą. Przyjacielem. Partnerem. Kimś, na kim mogę polegać. Kimś, kto się o mnie zatroszczy.

Składałam zamówienie, choć nie rozumiem nazwy wybranej potrawy. Stawiają przede mną spory, głęboki półmisek z czymś przypominającym olbrzymiego martwego winniczka w sosie. Brian śmieje się, że to nerka, i z miejsca robi mi się niedobrze.

Potrzebuję świeżego powietrza. Wstaję i zaczynam się przepychać do wyjścia.

Mijając właścicielkę, zmuszam się do uśmiechu. Siedzi za kasą niczym sędziwa królowa. Sprawdza, kto ile zapłacił i jaki dat napiwek. Jej konik to pieniądze i whisky z lodem. Uśmiecham się, żeby wzięła mnie za młodą damę, ale takich jak ona nie da się oszukać. Wie, że jestem pijana jak bela i zaraz puszcze pawia. Uśmiecha się do mnie z wyższością. Gardzi ludźmi, którzy nie potrafią pić z klasą. Wychodzę na ulicę. Jest bardzo ciepło. Rzednie mi mina. Liczyłam na orzeźwiający wiaterek, a zamiast tego dostaję letnią zupę.

- Chcesz już iść? - Hubert kładzie mi dłoń na ramieniu, a drugą głaszcze po policzku. Jestem w pułapce. Ma nade mną kontrolę, ale jednocześnie czuję się przy nim bezpieczna.

- Tak - odpowiadam, szukając wzrokiem Roxanne i Briana.

- Poradzą sobie bez nas. - Wyjmuje z kieszeni komórkę.

- Proszę, nie dzwoń po Dave'a. Chcę się trochę przejść.

- Muszę ci coś powiedzieć.

- Co takiego?

- Lynn, nie czułem się tak od wieków.

- Kręci ci się w głowie i chce wymiotować?

- Nie - śmieje się, robiąc przeczący ruch głową. - Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek się tak czuł.

- Przestań... - Niech lepiej nie kończy! Taka głupia nie jestem, wiem dobrze, do czego zmierza.

- A to wszystko dzięki tobie.

- Tak, tak. Tylko na takie banały cię stać? - miotam się, zbita z tropu. Nie spodziewałam się, że ktoś pokroju Huberta Barclaya będzie mi mówił takie rzeczy.

- Masz rację. Powinienem się bardziej postarać. - Chcę odejść, ale delikatnie mnie przytrzymuje. Unikam jego wzroku. Patrzę na ulicę, na mijające nas auta i światła zmieniające się na skrzyżowaniu.

- Bardzo tego chcę.

Odruchowo odwracam głowę. Nie powinnam. Całuje mnie. Jeden szybki całus. W same usta. O nie! To nie może ziać się naprawdę! Tak się nie postępuje na koleżeńskich randkach!

- Nie... - zaczynam, ale mnie ucisza. Nie oszukuj się, Lynn.

Czuję nacisk jego dłoni na moich plecach. Hubert znów przyciąga mnie do siebie. Na nic wmawianie sobie, że to koleżeńska randka. Jestem oszołomiona jego urokiem osobistym, jego siłą, jego podnieceniem. Nie chcę, żeby do tego doszło, ale nie potrafię się bronić. Odwzajemniam pocałunek.

Hubert zwalnia uścisk i dzwoni po Dave'a. Oboje wiemy, że o spacerze nie ma mowy. To, czego nam trzeba, to wygodna kanapa w limuzynie.

* * *

Budzę się o świcie. Z początku nie wiem, gdzie jestem. Potem przypominam sobie ostatnie godziny... Matko Przenajświętsza!

Leżę w łóżku. Hubi śpi obok. To nie zwykły pokój hotelowy, ale jakiś apartament. Przez wielkie okna widać Sekwanę. Co ja narobiłam!

Przyglądam się śpiącemu miliarderowi. Spod kołdry wystają jego szerokie ramiona, twarz przesłania poduszka.

Alarm pierwszego stopnia!

Natychmiast opuścić pomieszczenie!

Wypęłam z łóżka. Oby się tylko nie obudził i nie spytał, jak się miewam. Boże, dopomóż!

Odnajduję moje majtki na podłodze. Suknia od Kazo leży obok, porzucona niczym ścierka. Pantofle zrzuciłam widocznie po drodze, bo są w salonie. Podnoszę je i na palcach podchodzę do drzwi.

Nie mogę przed sobą udawać, że nic a nic nie pamiętam.

Pamiętam każdą sekundę!

Wszystkie obleśne szczegóły!

Jego pieszczoty.

Jego ciało.

Jego skórę.

Boże! Facet tylko zaprosił mnie na niezobowiązującą kolację w restauracji, a teraz wymykam się z jego apartamentu po nocy dzikiego seksu i wielokrotnych orgazmów!

Pomocy! Pomocy!

Nie tego chciałam. Myślałam, że skończy się na steku. Średnio wysmażonym, może z odrobiną sosu berneńskiego.

Próbuję otworzyć drzwi najciszej, jak to możliwe, ale mocując się z nietypowym zamkiem, robię zadziwiająco dużo hałasu.

- Lynn! - dobiega z sypialni. - Lynn!

Wyślizguję się na klatkę schodową i zamykam za sobą drzwi. Zaczynam biec, niczym złodziej. Serce bije mi jak szalone. Boję się, że mnie goni. Boję się, że nie zdążę wydostać się z budynku. Naciskam wszystkie przyciski przy drzwiach, byle tylko otworzyły się jak najszybciej. W końcu słychać piknięcie i boso wybiegam na ulicę.

Zauważam taksówkę i przywołuję ją machnięciem ręki. Zanim wsiadam, nareszcie wkładam pantofle.

- Vous, vous avez fait la fete? - pyta retorycznie kierowca.

- La fete?

- Impreza, impreza - taksówkarz puszcza perskie oko. Nawet on wie. Niezła impreza! Uświadamiam sobie z przerażeniem, że nie używaliśmy kondomów!

Nie zastosowaliśmy żadnego zabezpieczenia!

No cóż, to miała być koleżeńska randka. Na taką nie zabiera się prezerwatyw!

Ale to mnie nie powstrzymało.

Jestem żalonna.

Z drugiej strony, po co te wyrzuty sumienia? Nie brałaś ślubu z Nicolasem. Nawet nie chodźcie ze sobą. Jesteś wolna, jesteś w Paryżu, masz seksowną sukienkę od Kazo, a twoje hormony szaleją. Obracasz się w kręgach amerykańskiej elity i chodzisz do łóżka z seksownymi magnatami prasowymi. Dopóki Nicolas nie wykrztusi z siebie, że chce ze mną być, to chyba dozwolone, prawda?

Po chwili stoję już przed drzwiami swojego pokoju hotelowego i usiłuję znaleźć w torebce kartę magnetyczną służącą za klucz. O nie. Może zostawiłam ją w jego apartamencie? Może przyjdzie tu później i wtargnie do mojego pokoju? Może rzuci się na mnie i nie spocznie, dopóki nie umrę z rozkoszy? W końcu znajduję kartę i wchodzę do środka.

Zamykam się na klucz i opieram o drzwi całym ciężarem ciała.

Hubert z pewnością będzie chciał się pochwalić swoim najnowszym podbojem. Wszyscy dowiedzą się, jaką puszczałską jest córka Jodie Blanchett. Jeden wieczór, oto ile czasu trzeba, żeby zaciągnąć mnie do łóżka. Nawet nie trzeba stawiać mi deseru - kilka kolejek w barze, a oddaję się pierwszemu lepszemu bez prezerwatywy.

Podchodzę do telefonu i wydaję wizytówkę. Jest wpół do szóstej rano, ale chcę wszystko wyjaśnić jak najszybciej.

Włącza się jego automatyczna sekretarka. Odkładam słuchawkę i próbuję jeszcze raz. Tym razem numer jest zajęty. Ponawiam próbę. Nareszcie odbiera.

- Nicolas, to ty?

Nie odpowiada od razu.

Słyszę tylko jego oddech i wyobrażam sobie, że usiłuję właśnie zrozumieć, kto do niego dzwoni o tej porze i dlaczego

on sam stoi goły jak święty turecki na środku salonu ze słuchawką w ręce.

- Nicolas, to ja, Lynn. Pobudka!

- Lynn?

- Zrozumiem, jeśli powiesz, że mnie nienawidzisz.

- Lynn? Gdzie jesteś?

Leżę na łóżku po nocy dzikiego seksu z mężczyzną, którego prawie nie znam, i rozmawiam z innym mężczyzną, którego także prawie nie znam, i z którym chciałabym uprawiać dziki seks. Jasne?

- Wszystko jedno. Po prostu pozwól mi się wygadać. Powinieneś mną gardzić. Jestem potworem. Oszustką. Nagadałam ci łgarstw. Kłamię jak najęta! Nie jestem taka, jak myślisz. Właśnie...

- Lynn? -Tak?

- Zjemy razem śniadanie?

Nicolas otwiera mi drzwi. Oto jestem. Mistrzynie świata. Ustanowiłam właśnie nowy rekord. W niespełna pięć godzin przespałam się z Hubertem Barclayem i trafiłam do mieszkania Nicolasa.

W powietrzu unosi się znajomy zapach kawy. Idę za Nicolasem do kuchni. Ma na sobie obszerną białą koszulę i dzinsy. Jeszcze nigdy nie widziałam go w tak nieformalnym stroju. Pyta, czy napiję się kawy. Tego mi właśnie trzeba. Przydałoby się też jeszcze coś na kaca.

- Dobrze się bawiłaś wczoraj wieczorem? - pyta, szukając aspiryny.

Czy dobrze się bawiłam? Żebyś wiedział!

- Chyba za dużo wypilałam. - Nie wspominam ani słowem o tym, że prawie nie zmrużyłam oka i gnębią mnie potworne wyrzuty sumienia.

Nicolas zabiera dwie pełne filiżanki do salonu. Idę za nim, zastanawiając się, po co właściwie tu przyszedłam.

Siadamy na kanapie. Mieszkanie mogłoby należeć do studenta. Nie ma żadnych drogich gadżetów, jak u Muriel czy Huberta.

- Martwiłem się o ciebie - mówi Nicolas. - Było coś takiego w twoim głosie...

Rozglądam się. Uświadamiam sobie, jak słabo go znam. Może nawet Huberta znam lepiej.

Nagle słyszę odgłos zatraskiwanych drzwi. Ktoś jeszcze tu mieszka.

Jak mogłam być tak naiwna? Przecież nawet nie wiem, czy ma dziewczynę. Albo, no, tego tam, partnera. Nie wiem, czy jest żonaty, czy kiedyś był żonaty, czy ma dzieci. Może właśnie ma odwieźć żonę do pracy, a córeczki do szkoły.

Jestem żałosna.

- Wydawało mi się, że jesteś przerażona. - Przepraszam, że musiałeś się niepokoić. Chyba trochę

przesadziłam. To była ciężka noc. - Gryzę się w język i postanawiam zmienić temat. - Fajne mieszkanie.

- Raczej ciasne. I drogie. W Paryżu trudno o coś przyzwoitego.

Próbuję doszukać się znaków, które pozwoliłyby mi zrozumieć, jaki Nicolas jest naprawdę. I dlaczego tak bardzo mi na nim zależy.

W pokoju panuje idealny porządek. Każda rzecz jest na swoim miejscu. Całą ścianę zajmuje kolekcja płyt kompaktowych. Nie ma żadnych zdjęć. Słyszę, że ktoś spuszcza wodę w ubikacji i odkręca kran.

- Mieszkasz sam? - idiotyczne pytanie. Przecież tam ktoś bierze prysznic!

- Nie, z Markiem.

- Ach tak.

A kto się zaklinał, że nie jest gejem? Cholerni Francuzi!

- To mój współlokator.

Współlokator? Może po francusku to słowo ma szersze znaczenie?

- Marc też pracuje dla Muriel - ciągnie, jakby czytał w moich myślach. - Musiałas go już widzieć w biurze.

- To możliwe.

Próbuję przypomnieć sobie, czy przedstawiano mi jakiegoś Marca.

- Jest bardzo utalentowanym projektantem. Pracuje w atelier.

- Chyba go kojarzę - mówię, choć nadal nie mam pojęcia, o kogo chodzi.

- Wyglądasz na zmartwioną.

- Ależ nie, wszystko w porządku.

- Jeśli myślisz o swojej posiadzie, to nie masz czym się przejmować. Muriel szaleje za tobą. Mam dziś sporządzić kontrakt.

Nie przyjechałam tutaj, żeby omawiać kontrakt. Przyjechałam, żeby zrozumieć, dlaczego wydarzenia minionej nocy wywołują u mnie poczucie winy. Chcę dowiedzieć się, czy mam szansę zająć miejsce Marca pod prysznicem. Czy Nicolas chciałby, żebym zajęła miejsce Marca.

- A co z Fran Wellish? Nicolas wzrusza ramionami.

- Nie wiem. Jest jakaś dziwna. Nie chce już się z nami kontaktować.

Kamień powinien spaść mi z serca, ale tak naprawdę nie. interesują mnie wyznania Fran Wellish. Potrafię myśleć tylko o tym nieszczęsnym prysznicu, spod którego dochodzą popisy wokalne tajemniczego Marca.

- Trudno chyba mieszkać we dwóch w tak małym mieszkanku.

Nicolas znów wzrusza ramionami.

- Wprowadziłem się na studiach. Lubię tę dzielnicę, a trudno tu znaleźć coś lepszego.

Nie obchodzą mnie warunki lokalowe w Paryżu. Chcę wiedzieć, co dokładnie łączy cię ze śpiewającym Markiem.

Chcę, żebyś potwierdził jeszcze raz, że Muriel się myli i że nie kłamałaś przedwczoraj. Chcę, żebyś upewnił mnie, że nie zwariowałam, i żebyś powiedział, że chociaż jesteś aniołem, kiedy tak na mnie patrzysz, czujesz... czujesz, że... Potwierdź, że coś jest między nami, do cholery! Ale Nicolas nie mówi nic takiego. Milczy, czekając, aż coś powiem.

- Chyba powinnam sama zacząć szukać mieszkania.

- Mogę ci pomóc.

- Naprawdę?

- Firma pokryje część kosztów twojej przeprowadzki do Francji. Muszę tylko omówić to jeszcze z Muriel.

- Bonjour!

Odwracam głowę. W drzwiach salonu stoi wysoki, przystojny mężczyzna w samych bokserkach. Jest bardzo dobrze zbudowany.

Poznaję go od razu - to jeden z tych zniewieściałych typów, których pełno było w atelier.

- Bonjour - odpowiadam.

- Quelle surprise*! - wita mnie Marc. - C'est gentil de venir nous dire bonjour comme çaK* - Nicolas się uśmiecha.

Wiem, Nicolas upiera się, że nie jest gejem, ale łatwo mi wyobrazić sobie, jaką parę tworzą. Nicolas to mąż, rozsądny, poważny, godny zaufania, a Marc jest szaloną, nieprzewidywalną zoneczką. Mieszkają na szóstym piętrze, chętnie bym wyskoczyła przez okno.

- Lynn chciała porozmawiać o swojej pracy - Nicolas podpowiada Marcowi, że powinien przerzucić się na angielski.

- A, rozumiem. Interesy, interesy i tak bez końca. Musicie umierać z głodu. - Ma bardzo silny francuski akcent. - Nicolas, co z rogalikami?

- Głodna?

Pobyty w Paryżu przysłużył się mojej figurze. Rzadko jadłam i wciąż dokądś pędzę.

- Nawet bardzo.

- Elle a faim, ça se volt! Nicolas podnosi się z miejsca.

- Nie, nie - protestuje Marc. - Ja pójde. Wy pogadajcie o interesach, ja zrobię śniadanie.

Znika w korytarzu niczym aktor za kulisami.

- To wspaniały facet - stwierdza Nicolas.

Jest mi strasznie głupio. Trzeba było zostać w łóżku z Hubertem, myśleć, i sprawdzić, czy go kocham albo chociaż lubię na trzeźwo.

- Martwisz się, że nie dostaniesz tej pracy?

- Już nie tak bardzo - kłamię. - Odkąd przyleciałam, ciągle coś się dzieje. To szalone tempo.

- Przepraszam, że wszystko się tak potoczyło. Mam nadzieję, że wkrótce poczujesz pewny grunt pod nogami.

- Croissants pour tout le monde? - pyta Marc. Narzucił czarny płaszcz na spodnie od dresu. Nie czekając na naszą odpowiedź, kieruje się do drzwi wyjściowych, a zamykając je za sobą, rzuca: - A tout de suite, les amoureux.*

- Nie zwracaj na niego uwagi - mówi Nicolas. - Przesadza. Nie jestem pewna, co tak właściwie powiedział Marc. Na

pewno coś o miłości lub kochankach. Może powiedział „pa, pa, kochanie”? Albo: „Nicolas, jesteś świetnym kochankiem. Szkoda, że przyszła ta Amerykanka, powtórzylibyśmy przed śniadaniem wyczyny z ostatniej nocy”.

Tradycyjnie zapada pełna skrepowania cisza.

- Mówiłaś, że kłamałaś - odzywa się Nicolas.

- Miałam mętlik w głowie...

- Kiedy kłamałaś?

- Nie wiedziałam, co o tym wszystkim myśleć, bo, widzisz...

A co mi tam.

- Miałam mętlik w głowie i uważałam, że powinnam z kimś porozmawiać. Ale... to już nieważne. Po prostu... zachowałam się głupio. Myślałam, że skoro spędziliśmy razem taki miły wieczór... Miałam nadzieję... Ale nie wiedziałam o Marcu... Coś mi się przywidziało.

- Co ma do tego Marc?

Boże, jestem taka zakłopotana. Facet najwyraźniej nie jest gotowy przyznać, że jest gejem, a ja wymuszam na nim takie wyznania.

- Nie wiedziałam, że mieszkacie razem. No wiesz, że jesteście razem tak na poważnie.

Nicolas nic nie mówi, tylko wpatruje się we mnie.

- Myślałam, że coś z tego będzie - ciągnę - ale to głupie z mojej strony, skoro...

Jakim cudem taki wspaniały facet jak on mógłby związać się z taką dziewczyną jak ja! Albo w ogóle z dziewczyną. Idiotka.

- No cóż, źle to sobie wykalkulowałam. I nie powinnam była tu przychodzić. - Podnoszę się z miejsca. - Czas na mnie.

- Marc i ja nie jesteśmy parą - zatrzymuje mnie Nicolas. - Marc jest moim współlokatorem.

- Hm.

- Mówiłem ci, że nie jestem gejem. Coś do ciebie nie dotarło? Kurczę, zaraz się chyba obrażę.

Co jest grane?

- Też uważałem, że coś między nami zaszło tamtego wieczoru.

- Naprawdę? - Czuję falę ekscytacji, ale zaraz wracają wyrzuty sumienia.

- Odpowiedz na moje pytanie. Kiedy kłamałaś?

Nie mogę. Wstydzę się prawdy i nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

- Przepraszam. Muszę już iść.

- Czekać! Co mi chciałaś powiedzieć?

- Nic, zupełnie nic. Mam za sobą ciężką noc. Już mi lepiej. - Podchodzę do drzwi. - Przepraszam, że cię uraziłam.

- Lynn, zostań. Zwariowałaś?

- Zobaczymy się w firmie. Hm... Musimy omówić kontrakt i takie tam.

Przy windzie wpadam na Marca.

- Lynn, a rogaliki? - pokazuje papierową torebkę z piekarni.
Lynn nie zasługuje na rogaliki. Bardzo, bardzo nabroiała!

RS

Krok jedenasty:

Gorące uczucie gaśnie po roku. Luksusowy apartament w Tribecel nigdy cię nie opuści

- Siedzą w sali konferencyjnej od dwóch godzin. - Nicolas spędził ten czas, czekając na mnie w recepcji.

- O Boże, nie dam rady.

- Musisz tam iść.

Chwyta mnie od tyłu za ramiona i niemal siłą zaciąga na górę.

- Dlaczego idziemy tak szybko?

- A dlaczego masz na nosie okulary przeciwsłoneczne? Zdejmuję je. Światło z miejsca dostaje się do wnętrza mojego mózgu i rozpuszcza wszystkie napotkane po drodze neurony. Ratunku!

W atelier panuje niemal zupełna cisza. Wszyscy udają, że są bardzo zajęci, a tak naprawdę ukrywają podenerwowanie.

Pierre Boutonniere przyjechał na inspekcję, a kiedy Pierre zjawia się w firmie, każdy kłania mu się w pas i błaga Boga o litość.

To Pierre daje pieniądze na pensje pracowników, kawę, rachunki za prąd i telefony, słowem, wszystko, co niezbędne Muriel do pracy. A dziś przyszedł położyć kres marzeniom, zanim doczekały się realizacji.

- On compte sur vous - mówi jeden z pracowników, gdy go mijam. Czy chce mi powiedzieć, że liczą na mnie? Pytam o to Nicolasa. Tak, mają nadzieję, że ich ocalę. Jestem ich ostatnią deską ratunku. To dlatego na sprowadzenie mnie Muriel wydała ostatnie pieniądze. Miałam przekonać inwestorów - w osobie jej brata - do pozbycia się kolejnych milionów z uśmiechem na ustach.

Ale się spóźniłam.

Wyglądam jak kloszard. Śmierzę.

Trudno w takim stanie ratować tonący okręt.

- Musisz wiedzieć, że Pierre rzadko zgadza się na spotkanie z siostrą. Zwłaszcza tutaj, w jej własnym biurze. Chcesz miętówkę?

Potrząsa zachęcająco opakowaniem cukierków. - Tak.

- Pierre wychował się we Francji z ojcem, Muriel w Anglii z matką. Są jak... ogień i woda.

- Czy mogę liczyć na kawę?

Nie odpowiada. Otwiera tylko drzwi sali i wpycha mnie do środka.

Naprzeciw Muriel siedzą dwaj mężczyźni. Wszyscy milczą.

- Dzień dobry - mówię.

- Ach, to ty, Lynn. Mój brat, Pierre.

Hm. Który z tych dwóch truposzy to Pierre? Obaj wydają się bardzo anemiczni w szarych garniturach, ich twarze mają niezdrowy, zielonkawy odcień.

- Jak poszło, hm, poprzednie spotkanie? - pyta mnie Muriel.

- Och, świetnie. Przepraszam, że nie mogłam wyrwać się wcześniej. Omawialiśmy niezwykle ważne kwestie.

Rano postanowiłam, że wytrzymam i nie pójdę spać aż do wieczoru, ale gdy tylko usiadłam na łóżku w swoim pokoju, odplynęłam. Nie mam pojęcia, co się ze mną działo przez te parę ładnych godzin. Obudził mnie telefon od Nicolasa i Massoud dobijający się do drzwi. Nie dali mi czasu na przebranie się ani wzięcie prysznic - to dlatego wyglądam teraz jak bezdomna. Cuchnę potem (własnym i Hubiego), dymem papierosowym, a mój oddech niczym nie różni się od oparów z gorzelnii.

- Pierre Boutonniere - przedstawia się jeden z truposzy. Podajemy sobie ręce nad stołem. O dziwo, uścisk jest ciepły. - A to Georges Dupres z działu finansowego.

Witam się z drugim mężczyzną. Też ma ciepłą, lekko wilgotną dłoń.

Cholera, przydałaby mi się filiżanka kawy!

- Nicolas, załatwiłbyś dla nas po kawie? - proszę.

Nie wierzy własnym uszom. Patrzy na mnie, jakby właśnie dostrzegł, że mam parę rogów.

- Dobrze... - odpowiada z wahaniem i wyjmuje komórkę. Dzwoni, choć starczyłoby przejść dziesięć metrów! Wszyscy słyszymy, jak telefon odbiera jego asystentka.

- Catherine, peux-tu nous amener du café dans la salle de réunion?*

Uśmiecham się do Pierre'a, ale nie odwzajemnia uśmiechu. Nie bawi go to, że można dzwonić do pokoju obok dla podbudowania własnego ego. Ale, z drugiej strony, to on płaci tu rachunki telefoniczne.

- Słyszałem, że jesteś najlepszą rzeczą, jaka przytrafiła się tej firmie.

- Mieliliśmy szczęście, że znaleźliśmy kogoś takiego jak Lynn - potakuje Muriel.

- Jednak najwyższy czas przestać polegać na szczęśliwych trafach. - Pierre zwraca się teraz do mnie. - Czy zapoznałaś się już dokładnie z sytuacją finansową?

- Lynn to bardziej skarbnica pomysłów niż ekspert od księgowości - ponownie wtrąca Muriel. Nie zachowuje się naturalnie. Usiłuje udawać osobę dojrzałą i opanowaną, ale zdradzają ją dłonie, które co chwila nerwowo zaciska.

- No cóż, Lynn, miejmy nadzieję, że twoja wiedza na temat finansów jest wystarczająca, by zrozumieć, że funduszy starczy jeszcze na jakieś dwa tygodnie, a potem zbankrutujecie.

- Zawsze musisz wszystko psuć! - Muriel nie wytrzymuje i rzuca w brata długopisem. Pierre łapie go w powietrzu. Pewnie droczyli się tak już w przedszkolu. Nie jest to typowe spotkanie z przedstawicielami banku. To rodzinne rozgrywki.

- Sytuacja się powoli zmienia - oświadcza Nicolas. - Rozwijamy się. Dołączają do nas wartościowi fachowcy, tacy jak Lynn. Jesteśmy o krok od znalezienia poważnych inwestorów.

- Jakich inwestorów? - twarz Pierre'a nabiega krwią.

- Przyrzekliśmy dyskrecję i nie możemy zdradzić obecnie więcej szczegółów, ale chodzi o pewną znaną markę. Chce nas wspomóc, jeśli, oczywiście, wyrazicie zgodę.

- Nie musicie nic przed nami ukrywać. Każdy cent, jakiego do tej pory wydaliście, pochodził z Credit de la Cite. Jesteśmy Muriel B.

- Nie, Pierre, nie jesteście Muriel B. - wybuchła Muriel. - To ja jestem Muriel B.! To moje nazwisko widnieje nad drzwiami! To ja stworzyłam tę firmę i to ja nią jestem!

- Kazo - odzywa się Nicolas. Wszyscy spoglądają w jego stronę.

- Kazo zastanawia się nad zainwestowaniem w Muriel B.? - Wiadomość jest tak niesamowita, że Georges Dupres postanawia przemówić, a nawet poruszyć nieco głową.

- To kolejna plotka krążąca po firmie czy coś poważnego?

- To prawda - przyznaje Muriel. - Prowadzimy pertraktacje. Kazo chce zainwestować w jakąś niewielką, niezależną markę i zastanawia się, czy nie postawić na nas.

- Tylko się zastanawia?

- To coś więcej. Brał pod uwagę kilka firm i odrzucił wszystkie prócz dwóch. Naszym konkurentem jest Xu Xaviera Urbain.

Urbain? To wyjaśnia, dlaczego tak nienawidzi Muriel.

- To nic pewnego - stwierdza Pierre. - Xu ma lepszą pozycję na rynku.

- Ale jednego możemy być pewni - wtrącam, jakby mój głos miał jakieś znaczenie. - Jeśli zamkniemy firmę przed pokazem, nigdy nie dowiemy się, kto wygrał.

Wszyscy patrzą teraz na mnie.

- Jaką sumę zainwestowaliście dotąd? - kontynuuję.

- Zbyt dużą - wzdycha Pierre.

- Pomyślcie tylko. Kiedy Kazo wejdzie do gry, dostaniecie te pieniądze z powrotem, a do tego kontrolę nad finansami części

jego imperium. - Wydaje się, że naprawdę znam się na tym, o czym mówię.

Spoglądam na Muriel. Widzę, że zaczyna się rozchmurzać. Jej braciszek ma już dość własnej siostry i Nicolasa, ale z chęcią wysłucha nowego nabytku ze Stanów o obiecującym nazwisku.

- Hm? - To Pierre.

Dobra nasza. Mogę mówić dalej.

- Rozmawiałam dziś rano z Hubertem Barclayem.

- Spotkałaś się z Barclayem w sprawie Muriel B.?

Czy spotkałam się z Barclayem? Mój Boże, cała nim jeszcze pachnę!

- Tak. Znamy się od lat.

Ale dopiero ubiegłej nocy odkryłam, co z niego za bestia. Mmm...

- Rozmawialiśmy o sytuacji firmy. Powiedział...

Nie mogę powtórzyć tego, co naprawdę powiedział. Nie w obecności Georgesa Dupres i bez czerwonego kółka w rogu ekranu telewizyjnego.

- Jest zainteresowany produkcją serialu paradokumentalnego o narodzinach domu mody. To ma być coś w rodzaju reality show. Wiem, że to nowość dla ciebie - zwracam się do Muriel - ale... dopracowaliśmy to dopiero dziś rano.

Sprawdzam reakcję Nicolasa i zerkam na jego notatnik. Zapisał nazwisko Huberta Barclaya, a obok niego postawił trzy znaki zapytania.

Wchodzi asystentka Nicolasa i nalewa nam świeżo zaparzonej kawy. Pierre upija łyk, zastanawiając się nad czymś głęboko. W milczeniu spogląda na Georgesa Dupres. Jak przystało na zombi, porozumiewają się telepatycznie.

- Te plany spełzną na niczym, jeśli zamkniemy firmę za dwa tygodnie - dodaje, podnosząc filiżankę do ust.

Pierre wydaje z siebie cichy jęk, jakby stężenie pośmiertne zaczęło dawać mu się we znaki.

- Jakiej kwoty wam trzeba? Wygraliśmy! Udało nam się, do cholery!

- O tym musicie jeszcze podyskutować z Nicolasem - oświadcza Muriel. - My dwie jesteśmy od pomysłów, dla was pozostają nudne szczegóły.

Oj, trzeba było trzymać język za zębami, Muriel. Właśnie przypomniałaś Pierre'owi o zdarzeniu sprzed dwudziestu lat, kiedy zepsułaś jego rower i poszłaś naskarżyć ojcu, że ciągnął cię za włosy.

- Muriel, zamierzamy przelać na konto twojej firmy pewną kwotę, ale pamiętaj, że to ostatni raz. Będzie to niewielka suma, dzięki której zdołacie dotrzeć do pokazu. Jeśli ten nic nie zmieni, a Kazo nie podejmie ryzyka, to koniec. Tata przyzna mi rację.

- Dlatego właśnie powierzył twojej pieczy rodzinne finanse. Bo jesteś grzecznym chłopcem, który zawsze słucha tatusia.

- Doskonale, Pierre - przerywam jej. - Nie mamy dalszych pytań.

Moja głowa zaraz eksploduje.

- Które odrzucamy? - Muriel ponawia pytanie.

Wszyscy pracownicy firmy zgromadzili się w sali konferencyjnej wokół stołu, na którym leżą szkice wszystkich modeli. Jest Françoise Neuton i pozostali projektanci, asystenci, nawet recepcjonistki - nie brakuje nikogo. Decyzję podejmiemy demokratycznie. Nie mamy pieniędzy na wyprodukowanie całej kolekcji, z kilku sukienek musimy zrezygnować. Stoję u boku Muriel, bezradnie wpatrującej się w rysunki. Marzę o powrocie do hotelu, wzięciu prysznic i pójściu spać.

- Może inaczej. Które chcecie zostawić? - podpowiada Nicolas.

- Nie komplikuj, Nicolasiu. Lynn, powiedz coś! Przyglądam się szkicom.

- Czy ja wiem, od tych czerwonych boli mnie głowa.

- Czerwone to moje ulubione!

- Na pewno potrzebujesz pomocy? Chyba sama najlepiej wiesz, których się pozbyć?

Muriel wzdycha. Ma mnie dość.

- Zabierz ją, Nicolasiu, strasznie mi działa na nerwy.

- Przed chwilą powiedziałas, że mam coś powiedzieć.

- Od kiedy potrzebuję cię do podejmowania decyzji w sprawach artystycznych? Już cię nie ma. Zabierz ją stąd, proszę.

Nicolas nie ma wyboru, bo już stoję przy drzwiach.

- Lynn, jutro musimy wreszcie podpisać kontrakt - Muriel wskazuje na przemian na mnie i na siebie. - Nicolas wszystkiego dopilnuje.

- Dobrze.

Bomba. Mam dwadzieścia cztery godziny na podjęcie decyzji, Xu czy Muriel B. Cóż, życie to niekończące się wybory. Życie to ciągłe wybory.

- Chcesz wrócić do hotelu? - pyta Nicolas. - Wyglądasz na zmęczoną. Zadzwońię po Massouda.

Jesteśmy już na ulicy. Jak zwykle panuje tu chaos.

- Słuchaj, przepraszam za rano. I że się spóźniłam. Zachowałam się nietaktownie.

- Trochę się rozszłościłem.

- Wybaczysz mi?

- To zależy.

- Od czego?

- Od ciebie. Od tego popołudnia.

- Szantażujesz mnie?

Uśmiecha się. Mój Boże, za jeden taki uśmiech oddałabym księżyc i nie chciała reszty.

- Głodna?

- Zjadłabym konia z kopytami. Nawet gdybyś na nim siedział.

- Zapominam o prysznicu i drzemce. Chcę tylko Nicolasa.

- Znam fajne miejsce. To najlepsza restauracja w Paryżu.

- Mam nadzieję, że nie tylko najlepsza, ale i najbliższa, bo inaczej nie dotrę tam żywa.

- Jest też bardzo zabawna. Wpierw trzeba zdobyć wszystkie składniki, a potem samemu gotować.

- Nie możemy zwyczajnie kupić czegoś w jakiejś budce?

- A jako dodatek wino.

- O nie, żadnego alkoholu.

- Wino to nie alkohol.

- Nie, ale, widzisz, upija.

Nicolas zatrzymuje się, spogląda na mnie i znów się uśmiecha.

- Skąd pomysł, że jestem gejem? Oj.

- Wcale tak nie myślałam. - Może uwierzy. Nie kupuje tego.

- Niemal za każdym razem, gdy się spotykamy, pytasz mnie, czy jestem gejem.

Gdy inne środki zawodzą, trzeba postawić na szczerłość.

- Jesteś taki sympatyczny i wrażliwy.

- Czyli mili faceci to geje? - Jesteś... słodziutki.

- Słodziutki? - Podoba mu się to określenie. - I słodziutki równa się homo?

- I jeszcze... Nie widzę czegoś takiego w twoich oczach.

- Czego nie widzisz?

- Zainteresowania. Zachowujesz obojętność. Jakbym cię nie obchodziła jako kobieta.

- A zatem, jeśli nie podobasz się facetowi, oznacza to, że jest gejem?

- Nie, skąd! - Nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało. Nie jestem zarozumiała. Nie mam powodów. Tacy faceci jak on po prostu nigdy nie zwracają na mnie uwagi!

- I gdybym miał „to coś” w oczach, uznałybyś mnie za hetero?

- Nie, to jest... Dlaczego tak mówisz? Jesteś...? - Co?

- Zainteresowany?

- Jesteś zabawna.

- I to ci się we mnie podoba?

- Chyba tak.

Nie zaprowadził mnie do byle jakiego lokalu. Zaprowadził mnie do L'Escargot, restauracji swoich rodziców. To dlatego mieliśmy przynieść prowiant ze sobą. Wnętrze niedawno zostało uprzątnięte, w powietrzu unosi się wciąż zapach detergentów i mokrych desek.

- Poprosili, żebym przygotował ją do sprzedaży. Przychodzi wielu chętnych

Otwiera drzwi frontowe kluczem. Czuję się dziwnie w zupełnie pustej sali.

- Umiesz gotować? - pytam.

- Nawet bardzo dobrze.

A nie mówiłam, że to ideał?

Każe mi usiąść przy jednym ze stolików. Stawia na blacie dwa kieliszki i otwiera butelkę wina kupioną po drodze. Wznosi toast.

- Za sukces!

- Zgadzam się. Co mamy dziś w menu? - Nie zwróciłam uwagi na to, co wybrał na targu.

- Moja specjalność, fasola ? la Nicolas.

- Dla mnie bomba. - Mam nadzieję, że udało mi się to powiedzieć z entuzjazmem.

Nie udało mi się.

- Pójdziemy gdzie indziej, chciałem ci tylko pokazać to miejsce.

- Nie, zrób fasolę, podoba mi się tutaj. Fasola i wino. Idę za nim do kuchni. Sprzęty są nadal w dobrym stanie, gotowe na przyjęcie gości.

- Ta restauracja to dla mnie drugi dom. - Nicolas rozpakowuje siatki. - Będzie fasola i te, no... Jak się to nazywa po angielsku?

- Podaje mi puszkę.

- Karczochy.

- Mógłbym zrobić z nich sałatkę.

- Świetnie.

- Patrz! Znalazłem prawdziwy skarb!

- Co to ma być, u diabła? - pytam, przyglądając się zawartości słoika, który mi właśnie podaje z uśmiechem. Przypomina krwisty, czerwonobrazowy gulasz z białą fasolą.

- To cassoulet¹, specjalność mojego ojca. Długo leżakował, ale założę się, że jest jeszcze jadalny. Otwiera słoik i wacha zawartość.

- Jedna z najlepszych potraw na świecie - stwierdza. Pachnie całkiem nieźle.

- Wystarczy ją podgrzać. Ale to mięsne danie.

- Zjem mięso, niech będzie.

- Naprawdę?

- Mam dość bycia wegetarianką.

Nicolas przygotowuje zatem cassoulet. Wracamy do stolika z dwiema parującymi miskami. Próbuje.

Co za paskudztwo!

Obrzydlistwo!

Fuj!

- Baldzo gołące - mamrocze, żałując, że nie mogę tego wypluć. Na szczęście jest jeszcze wino.

- Nie smakuje ci, prawda?

Cholera, obraziłam go. Znowu! Jednak nie dziwi mnie już, że jego rodzice musieli zamknąć restaurację, skoro serwowali takie świństwo.

- Oni naprawdę słynęli ze swojego cassoulet. Ludzie przemierzali setki kilometrów, żeby go spróbować w L'Escargot.

- Pycha - mówię, pakując kolejną porcję do ust. Co za tłuste, śmierdzące gluty! Ale połykam je z uśmiechem. Kurczę, jeszcze nie jesteśmy parą, a już muszę udawać kulinarny orgazm!

- Chcesz zobaczyć pięterko?

- Pięterko?

Co jest na piętrze?

- Jest tam taki uroczy pokoik.

Nie palę się do zwiedzania jego pokoiku, ale albo to, albo reszta tego cholernego cassoulet.

- Dobrze, chodźmy.

Wychodzimy przez kuchnię na podwórze. Na górę prowadzą sędziwe i bardzo wąskie schody. Brud, grzyb i brak światła sprawiają, że czuję się coraz bardziej nieswojo.

Nicolas otwiera kluczem czerwone drzwiczki u szczytu schodów.

- Kładłem się tu spać, czekając, aż rodzice zamkną restaurację i zabiorą mnie do domu.

- Hm, fajne miejsce.

Za drzwiami jest pokój z jednym jedynym okienkiem. Niewiele widać.

- Wejść do środka. Przesuwam się ostrożnie.

- Ach, jak tu... - Co za zapuszczona, stara nora. - Jak tu nastrojowo.

- Właśnie. To dla mnie szczególne miejsce, czułem się tu bezpieczny. A to moje łóżko.

Jakbym nie widziała - poza owym nieszczęsnym łóżkiem właściwie nic tu nie ma.

Spoglądam na Nicolasa. Stoimy chwilę w milczeniu.

W tym pokoiku można nie tylko czuć się bezpiecznie - jest w nim coś zmysłowego. Tak tu cicho, nikt nas nie widzi, nikt nie słyszy. I to wielkie łóżko. Muszę coś powiedzieć, natychmiast.

- Niewątpliwie przydałoby się tu porządne sprzątanie. Boże, dziewczyno, znów chcesz go urazić?

- A tak, tak. Oczywiście.

Jest blisko mnie. Tak blisko! Czuję się szczęśliwa. Zaraz... Dzwoni jego komórka i magię diabli biorą.

- To do ciebie. - Podaje mi telefon.

- Do mnie?

- Cześć, Lynn, tu Hubert. Pamiętasz? Spędziliśmy razem miły wieczór.

Nie! Tylko nie teraz!

- Skąd...?

- Zadzwoiłem do firmy, skarbie. Nie uciekniesz mi.

- Trafiłeś na zły moment...
- Zawsze jest zły. Załatwiłem coś na wieczór. Dave podjedzie po ciebie o ósmej.
- Czeka! Nie!
- Muszę lecieć. Rozłącza się.

Po magii nie zostało ani śladu. Do pokoiku wtargnął Hubert. Leży na łóżku i przygląda się nam bacznie. Siedzi przy oknie i zawadiacko mruga. Stoi w drzwiach z miską cassoulet i pyta, czy naprawdę próbowałam tego świństwa.

RS

Krok dwunasty:

Na swojej drodze spotkasz wielu przystojniaków, ale niewielu bogaczy

Siedzę na łóżku. Postronny obserwator uznałby, że czekam z utęsknieniem na mojego antyksięcia z bajki, ale nie miałby racji. Ćwiczę. Ćwiczę, odkąd wyszłam spod prysznic i włożyłam kolejną boską sukienkę od Kazo.

Tak, wiem. Znowu się wystroiłam.

Ale nie to jest ważne. Nieważne, jak wyglądam, ważne to, co powiem. Jeśli chcecie, mogę wam opowiedzieć w dwu słowach, o czym jest przemowa, którą właśnie powtarzam. Proszę bardzo. Hubercie, tak się zaczyna, nie chcę się już z tobą umawiać. Kocham innego. Tak jest, kocham! Nie dbam o twój magnetyczny urok, sławę i pieniądze. Daj mi spokój. Po prostu, odwal się!

Tak mu właśnie powiem ubrana w boską sukienkę od Kazo.

Ktoś puka do drzwi.

Zrywam się na równe nogi. Coraz bardziej przerażona, powtarzam szybko w myślach całą przemowę. Na myśl o spotkaniu z Hubim mój mózg strajkuje.

To Dave, szofer. Przyjechał dostarczyć mnie swojemu pracodawcy. Uśmiecha się ciepło.

- Pięknie pani wygląda, panno Blanchett. Ten wieczór wpędzi mnie do grobu.

Limuzyna stoi przed hotelem. Dave otwiera przede mną drzwiczki. Czuję na sobie ciekawskie spojrzenia przechodniów. Kim jest ta olśniewająca dama, wsiadająca do auta Barclaya? Wiem, wiem. Wyglądam jak księżniczka.

Hubercie, po prostu się odwal, powtarzam. Spadaj. Wynocha. Sio!

Dave wiezie mnie w kierunku wieży Eiffla. Muszę znaleźć trochę czasu, żeby się na nią wspiąć. W końcu jestem tu pierwszy raz.

- Jedziemy do wieży?

- W znacznie lepsze miejsce. Lepsze niż wieża Eiffla?

Skrećamy w prawo i poruszamy się wzdłuż Sekwany. Nagle Dave zwalnia.

- Sam chciałbym zaprosić tu kobietę. Pan Barclay ma bardzo dobry gust.

To nie Sekwana, to Missisipi! Przy brzegu cumuje replika amerykańskiego parowca. Hubert jest już na pokładzie.

Nie wierzę własnym oczom!

Dave pomaga mi wysiąść. Przy trapie czeka na mnie steward w białym uniformie. Trzyma srebrną tacę, na której stoi kieliszek szampana. A niech mnie. Jakie to wszystko przemyślane. Zabieram kieliszek i wchodzę na pokład.

- Na zdrowie! - Hubert przystawia swój kieliszek do mojego, ale nie cofa go, tylko patrzy znacząco. Wszystko jasne? Te dwa kieliszki są jak nasze ciała. Krople alkoholu przypominają krople potu. Słowa „odwal się” nie przejdą mi chyba przez gardło.

- Chyba powinniśmy teraz upić łyk, prawda? Taki toast przynosi pecha.

- Nic nam nie grozi.

- Za co teraz wypijemy?

- Za nas.

- Za Paryż - proponuję. - Za wszystkie te szalone rzeczy, które tu robiliśmy.

- Skąd ten czas przeszedł? Pijemy.

Hubert patrzy mi prosto w oczy. Nie musi nic mówić. Sama cisza jest dostatecznie romantyczna. Przerywa mu mężczyzna w smokingu.

- Możemy już odbić, panie Barclay?

- Tak, ruszajmy.

- Dokąd płyniemy? - pytam, rozglądając się. Zostawiamy za sobą nabrzeże i ruszamy w nieznanym kierunku.

- Czy to ważne?

- Dolać państwu? - Steward napelnia nasze kieliszki Veuve Cliquot.

Mężczyzna w smokingu znika za barem. Nagle ktoś zaczyna grać na fortepianie romantyczne kawałki. Jestem w pułapce.

- Zatańczymy?

- Nie, dziękuję.

- Więc chodźmy na górę.

Na drugim pokładzie, tuż nad kołem łopatkowym, znajduje się urocza jadalnia z wielkimi oknami, przez które można podziwiać Paryż. Stół nakryto do wytwornej kolacji. Otoczeni wodami Sekwany, stajemy nieopodal bufetu pełnego zakąsek odpowiednich do szampana. Właśnie mijamy wieżę Eiffla. Za statkiem szybują mewy, niebo jest pomarańczową luną, a szampan szybko uderza do głowy. Hubert Braclay próbuje mnie pocałować, ale odwracam się, żeby popatrzeć na nawołujące się mewy. Udaję zapalonego ornitologa.

- Hubercie... - Nie, muszę wypić jeszcze jeden kieliszek dla kurazu. Łapię stojącą na barze butelkę. Steward jest przerażony, że przejęłam jego obowiązki. Boi się, że się zagapił.

- Hubercie, jesteś...

Jesteś miłym facetem, ale nie chcę już się z tobą obściskować. Wskoczę za burtę i dopłynę do brzegu.

- Posłuchaj, Lynn, żałuję bardzo, że nie widziałem cię rano. Ostatnia noc była... wyjątkowa. Zaiskrzyło między nami.

Kolejny mężczyzna twierdzi, że nie zapomni spędzonej ze mną nocy!

- Tak, zauważyłam.

I nie tylko zaiskrzyło!

- Nie jestem typem dziewczyny, która wskakuje facetowi do łóżka na pierwszej randce. Trochę mnie to... podłamało.

Podłamało? Nie brzmi to przekonująco.

- Nie oceniam cię, Lynn. To był magiczny wieczór, który zakończył się... czymś równie magicznym.

Tak, tak. Hokus-pokus. Abrakadabra i gotowe: wielokrotne orgazmy na zawołanie!

Dostajemy więcej szampana. Tym razem steward nie czeka, aż opróżnimy kieliszki.

Czy ta melodia na fortepian to nie David Bowie? Potrafi być taki romantyczny!

- Skąd wiedziałeś, że Bowie to mój ulubiony wykonawca?

- Ach, David to mój dobry znajomy. David?

Czyżby znał go osobiście? Samego Davida Bowie? Mojego Bowie?

Z wrażenia nie wiem co powiedzieć i tylko sączę szampana. Pamiętaj, Lynn, jesteś na randce z żywą legendą.

- Też lubię jego piosenki. Uważam, że potrafi być bardzo romantyczny. Głodna? - Zjadłabym konia z kopytami. Nawet gdybyś na nim siedział.

Oj.

Tego samego zwrotu użyłam dziś, rozmawiając z Nicolasem i w zamian dostałam miskę tłustej brei.

Hubert rzuca porozumiewawcze spojrzenie mężczyźnie w smokingu, który stoi w tym czasie dyskretnie przy stole. Służący natychmiast zapala świece i znika na dolnym pokładzie bezszelestnie niczym poduszkowiec.

Siadamy. Jest fantastycznie.

Parowiec przepływa właśnie pod jakimś mostem. Gdy wynurzamy się z jego drugiej strony, jesteśmy już w samym sercu Paryża.

Jak tu pięknie!

- W tym świetle wyglądasz zachwycająco - mówi Hubert. Właśnie wyprzedza nas inny statek, wycieczkowy, z masą turystów na pokładzie i silnymi reflektorami. Oślepia nas na chwilę, znikamy w białym świetle. Umarliśmy i trafiliśmy do Nieba. Wracają kolory i okazuje się, że Hubert jest tuż przy mnie. Cudownie. To wszystko jest takie wspaniałe. Żałuję tylko,

że to nie sen - wtedy mogłabym go pocałować bez wyrzutów sumienia.

Trudno, wypiłam za dużo szampana. I ten Bowie! Pochyliam się i całuję go. Delikatnie. Nie pozwala wyrwać mi się z uścisku. Czuję jego dłoń na swoim ramieniu. Czy to jedna z tych chińskich sztuczek? Przyciśnie odpowiedni punkt na obojczyku i będę jego. Gdy Hubert się w końcu odsuwa, kręci mi się w głowie. Opadam na krzesło. Steward i mężczyzna w smokingu stawiają przed nami przystawki, starając się nie narzucać. Czekali zapewne, aż przestaniemy się całować. Muszą być świetnie wyszkoleni w obsłudze romantycznych kolacji!

Na środku talerzy stoją teraz maleńkie filiżanki wypełnione pomarańczową zupą, o kuszącym zapachu.

- Amuse-bouche dla państwa, consommé z dyni. Od szefa kuchni na zaostrożenie apetytu.

- Czy wiesz, że amuse-bouche to po francusku „gra wstępna ustami”? - pyta Hubert.

- Ach tak - odpowiadam, rumieniąc się mimowolnie.

To co ja takiego miałam mu powiedzieć? Czy sprawy nie zaszły już za daleko, żebym mogła oświadczyć, ot tak, że powinniśmy przestać się widywać, ponieważ tak się składa, że flirtuję z innym, z którym jeszcze nie spałam? Rozmyślałam o tym przez chwilę i postanawiam, hm, zjeść zupę.

- Mam zaproszenie na jutro na przyjęcie Sony Musie. Czy chciałabyś mi towarzyszyć?

Jutro? Nie, Nicolas zaprosił mnie już na kolację u siebie.

- Wybacz, ale jutro wieczorem muszę być w pracy.

- A co powiesz na piątkowe przyjęcie u Louisa Vuittona? Piątek? Hm.

- Masz zaproszenia na każdy wieczór?

- Tak, ale chodzę tylko tam, gdzie są w stanie zrobić na mnie wrażenie.

Ach!

- Mam udziały w Sony Musie. I, cóż, jestem stałym klientem Louisa Vuittona. Kupuję masę torebek.

- Na pociechę po zerwaniu?

Marszczy czoło na dźwięk słowa „zerwanie”.

- Na pociechę po zerwaniu kupuję zwykle samochody. Zainteresowana?

Hm, jakby się tak zastanović... Tylko po ilu dniach znajomości można nazwać się parą, taką parą na poważnie, żeby i zerwanie było poważne? Auto na otarcie łez? Czemu nie.

- Samochody albo apartamenty.

Można nawet przebierać. Miło być porzucanym przez Hubiego, nie ma co. W moich stronach inaczej to wygląda. Jedynymi prezentami na otarcie łez po zerwaniu, jakie w życiu dostałam, były utrata pewności siebie, utrzymujący się smutek i kilka niezapłaconych rachunków telefonicznych.

- Jesteś doprawdy niezwykle hojny. Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, jak często kończysz związki.

- Doszły twoich uszu te wszystkie plotki?

- Chyba wszyscy je słyszeli.

- Im gorzej ludzie mnie znają, tym chętniej udają, że wiedzą o mnie wszystko.

- A czego nie wiedzą?

- Że starałem się ratować każdy z moich związków, a wszystkie rozstania bardzo przeżywałem, jednak nie miałem wyboru.

Jeśli za każdym razem musiałabym kupić komuś mieszkanie lub samochód, też starałabym się ratować związek za wszelką cenę.

No, ale tego mu nie powiem.

Nawet w żartach, bo Hubert patrzy mi prosto w oczy, pozwalając, by resztę dopowiedziała wymowna cisza. Znam tę sztuczkę. W ten sposób mężczyźni przekonują kobiety, że wiele w przeszłości wycierpieli. Że są uczuciowi i szanują uczucia innych.

Tu i teraz jestem nawet skłonna mu uwierzyć.

Dlaczego w to brnę? Powiedzmy, że tym razem to wina szampana. Kończą mi się powoli wymówki.

Budzę się w swoim apartamencie. Jestem w łóżku sama. Ale, członkowie ławy przysięgłych, nie wyciągajcie pochopnych wniosków! Ta kobieta dokonała zarzucanych jej czynów. Dała w nocy taki koncert, że bolą ją struny głosowe. Dziś już nie pośpiewa. Ani jutro, ani pojutrze. Za to mężczyzna pod prysznicem w jej łazience śpiewa aż miło.

Nie wiem, co robić. Znowu wszystko popsułam. Osiągnęłam cel krańcowo odmienny od zamierzonego. To to miasto. Ta romantyczna atmosfera. Ten uroczy facet. Jego głos. Jego dotyk. Jego pocałunki. Mam taki słaby charakter. To dlatego nic mi w życiu nie wyszło. Spójrzcie tylko na Jodie! Oto silna kobieta! W odróżnieniu ode mnie, odmawia, gdy musi, i jest szczęśliwa nieprzerwanie od czterdziestu lat!

A ja? Jestem niepoprawną rozpustnicą! I jeśli ten pokój nie ma dźwiękoszczelnych ścian, cały hotel już o tym wie. Wkrótce całe miasto będzie wiedziało. A zatem i Nicolas.

Po kiego licha zmusiłeś mnie do jedzenia tego obrzydliwego cassoulet, zamiast wziąć na pokład parostatku, upoić szampanem i wyznać mi miłość?

Podpieram się na łokciu, żeby popatrzeć na Huberta, gdy wychodzi z łazienki. Wokół bioder przewiązał sobie ręcznik, a drugim wyciera głowę. Wygląda jak gość z reklamy żelu pod prysznic. Jest niesamowicie seksowny i atrakcyjny. To chyba nieco mnie usprawiedliwia?

- Przepraszam, że cię obudziłem.

Siada na łóżku i całuje mnie w czoło.

- Muszę wybrać się na jeden dzień do Londynu. Jedziesz ze mną?

- Pamiętaj, że też mam pracę. Puszczą to mimo uszu i ponownie całuje.

- A zatem dziś wieczór?

- Mówiłam ci już, że będę w pracy. Czy to coś złego?

Hubert wzrusza ramionami i wraca do łazienki.

- Mogę użyć twojej szczoteczki? -Nie!

Jest coś niesamowitego w byciu nie w humorze. Wiesz, że jesteś wredna i źle ci z tym, ale nie możesz się opanować.

- To niehigieniczne! - wołam i stukam się w czoło. Ty kretynko! Czy coś jeszcze może być dla niego niehigieniczne po wczorajszej nocy?

Hubert jest na tyle dobrze wychowany, że nie protestuje.

- Obiecaj mi, że pójdziesz ze mną na przyjęcie do Louisa Vuittona.

- Może pójde.

- „Może” jest lepsze od „nie”.

- Może to może.

Wychodzi z łazienki ubrany w czarną koszulę i uśmiecha się.

- Pośpij sobie jeszcze. Masz taki zmęczony głos.

Dajcie mi nóż! Chcę wyskoczyć z łóżka i dźgnąć go w twarz. Zmęczony głos? Pośpij sobie? Nie dosłyszał, że też chodzę do pracy, czy co?

Hubert próbuje pocałować mnie na pożegnanie, ale się odwracam.

- Dobrze - mówi bez złości. Ma humory, tak bywa, zdaje się myśleć. - Zadzwoń do ciebie, kiedy wrócę z Londynu.

O tak! Wynoś się z mojego pokoju! Wynoś się z mojego życia!

Nienawidzę cię! Nienawidzę Nicolasa! Nienawidzę siebie samej.

Siebie samej najbardziej.

W pracy Nicolas prosi, żebym przysłała do jego biura.

- Musimy urządzić coś dla ciebie. Na razie możemy dzielić ten pokój.

Gdy na niego patrzę, chce mi się płakać. Jak mogłam mu to zrobić, wiedząc, że jest Tym Jedynym? Jak mogłam to zrobić dwa razy? Jestem taka...

- To chyba niezbyt... praktyczne - przerywam.

Tak już ma być między nami. Ja będę popełniać błędy, a Nicolas będzie za nie płacił.

- To tylko tymczasowe rozwiązanie, a...

- Nie mogę dzielić z nikim biura. Potrzebuję, hm, potrzebuję prywatności.

Kiwa głową.

- Coś się załatwi.

Prześń być taki uprzejmy, człowieku! Działasz mi na nerwy.

Nicolas wręcza mi białe kartonowe pudełko. W środku znajduje się telefon komórkowy.

- Firma pokrywa koszty - mówi zachęcająco. - Ale... nie przesadzaj. Nie jesteśmy bogaci. Jeszcze nie. Numer jest na opakowaniu.

- Dziękuję - syczę przez zaciśnięte zęby. Wrzucam telefon do torebki, a pudełko do śmieci.

- Powinniśmy pozostawać w stałym kontakcie - ciągnie, wyjmując pudełko z kosza. - Numer jest na opakowaniu.

- Już mówiłeś. - Wyrывam mu kartonik. Siadam naprzeciwko jego biurka.

- Próbowałem dodzwonić się do ciebie wczoraj, ale nie było cię w pokoju - zaczyna delikatnie.

Wpatruję się w ścianę, bo nie mam śmiałości spojrzeć mu w oczy.

- Zostawiłem dla ciebie kilka wiadomości.

Kurczę, nic nie wiem. Dostałam je w recepcji i natychmiast wyrzuciłam do kosza. Byłam później jeszcze bardziej zła i zawstydzona niż wcześniej.

- A więc to byłś ty - rzucam ostrym tonem. - Zrozum, kiedy nie odbieram telefonów, Nicolasie, oznacza to, że chcę mieć święty spokój.

Mogłabym wyskoczyć przez okno, gdyby nie to, że to parter, i tak nic by to nie dało. Zaraz oszaleję! Znów na niego patrzę.

Jesteś moim ideałem, a lada chwila stracę cię na zawsze dla przelotnego romansu z milionerem. Tak mi przykro! Żal ściska mi serce.

- Przepraszam, Nicolasie. Jestem taka zmęczona. Znowu.

Tak to już jest z mężczyznami. Wiedzą, że muszą nam wszystko wybaczać, kiedy jesteśmy... hm, zmęczone. Wiedzą też, że nie powinni zadawać więcej pytań. Słowo „zmęczona” w kobiecym słowniku obejmuje wszelkie nasze intymne przypadłości.

- Nie chcę, żeby tak wyglądały nasze poranki, Lynn. - Jak?

- Zacznijmy od początku. Dzień dobry. Jak się masz? Uśmiecha się.

Zaskoczył mnie - odwzajemniam uśmiech. Nie mogę uwierzyć, że mnie rozbawił.

- Nie narzekam, a co u ciebie?

- Wszystko w najlepszym porządku. Zjesz może ze mną śniadanie?

- Nie, dziękuję, jestem już po. Ale chętnie napiję się kawy.

- Świetnie.

Patrzmy sobie w oczy. Kto pierwszy się roześmieje, przegrywa! Nie wytrzymuję. Nigdy nie byłam dobra w ukrywaniu emocji. To najgorszy dzień mojego życia, a ja śmieję się głośno! Nie jest tak źle.

Nicolas też się roześmiał.

- Tak lepiej.

Jego asystentka przynosi kawę i podaje mu dokument, który właśnie dla nas wydrukowała. Nicolas chce mi wszystko wyjaśnić.

Siadamy blisko siebie, hm, tym razem tylko po to, żeby móc czytać tekst jednocześnie.

Dokument okazuje się... planem logistycznym. Mniejsza o to. Przyglądam się Nicolasowi i rozkoszuję dźwiękiem jego głosu. Przypomina nieco mojego nauczyciela angielskiego. Tłumaczy, co dokładnie jest zaplanowane na każdy dzień przed pokazem.

Trudno mi się skupić. Ten głos jest jak muzyka. Zapominam o wczorajszej nocy. Zapominam o poranku. Przez okna biura wpada promień światła. Nie patrzę już na dokument, tylko kiwam głową. I on kiwa. I tak sobie kiwamy na zmianę. Marzę o tym, żeby zamknął teczkę i zaproponował mi przejażdżkę na swoim skuterze trwającą cały dzień. Zamiast tego, wskazuje jakąś liczbę i wyjaśnia, że to szacunkowy budżet.

- Tak, oczywiście.

- Będziesz potrzebować pomocy? - Właściwie...

- Wiem, że nie takiej kwoty się spodziewałaś, ale nie stać nas na więcej.

- Nie o to mi chodzi, chciałam tylko powiedzieć, że... Co byś powiedział, gdybyśmy pojechali teraz na przejażdżkę skuterem? Moglibyśmy przy okazji poszukać dla mnie mieszkania. Czy to zbyt szalony pomysł?

- Nie, skąd, ale...

Jest jedno ale.

- Jestem umówiony z Muriel u Fjorda... - Spogląda na zegarek. - Właściwie powinienem już tam być.

Tylko praca i praca! Ale czy nie po to cię tu sprowadzono? Masz pracować, a nie flirtować, dziewczyno.

- Może innym razem.

- Tak, innym razem.

Zamiast na przejażdżkę skuterem, pojechaliśmy z Massou-dem do agencji Fjord Models.

- Praga ma wszystko, czego brakuje Ameryce. Amerykanie to uwielbiają - mówi jedna z modelek. Kiwam głową i odgryzam kęs muffinki z borówkami. Dziewczyna stara się ze mną zaprzyjaźnić, ponieważ jestem jedną z osób, które zadecydują o wyniku castingu.

- Musisz koniecznie odwiedzić Pragę - nalega. - Obiecuj mi, że tam pojedziesz.

Mówi tonem pracownicy biura podróży.

- A ja mogę wpaść do ciebie, jak będę w Nowym Jorku. Często tam bywam. - Śmieje się. Czyżby była pijana? Nerwowo popija herbatę. - Nowy Jork jest fantastyczny.

Nie wie, co począć ze swoimi długimi, szczupłymi rękoma. Mowa jej ciała jest bardzo niespójna - z jednej strony dziewczyna stara się być seksowna i intrygująca, a nawet próbuje mnie poderwać, z drugiej nie potrafi ukryć, że brak jej wiary we własne siły. Skąd te kompleksy? Jest taka śliczna. Wyglądam przy niej jak odrażający karzełek, podobnie jak Muriel. O obsługującej nas Louise nie wspominając.

Louise to najbrzydsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałam! A pracuje jako menadżer kilku najpiękniejszych modelek na świecie.

- Allez les filles! Numero 15. Jolanta - woła Louise. - Allei, ma puce! On a pas la journée, merde!*

- Och, kolej na mnie - szepcze dziewczyna z Pragi i biegnie do sali, w której odbywa się casting. Idę za nią i siadam obok kamery obsługiwanej przez Louise. Modelka staje na tle białej ściany.

- Ile masz lat? - pyta Muriel.

- Szesnaście.

Szesnaście? Nie powinna siedzieć teraz w szkole?

Czeszka odgarnia z twarzy długie włosy i zaczyna pozować, wpatrując się w Nicolasa. Jej zachowanie niczym nie różni się od zachowania poprzednich czternastu kandydatek. Wszystkie te nastoletnie piękności nie mogą oderwać od niego wzroku! Jakby cały ten casting był tylko dla niego i jego wspaniałych niebieskich oczu.

Ani mi się ważcie! To mój anioł! Fora ze dwora!

- Pokaż nam się ze wszystkich stron - prosi Muriel, a dziewczyna powoli się obraca - Jakie masz hobby?

- Uwielbiam podróże. I modę. I wieczory na mieście - śmieje się modelka. Wiedziałam!

To już któryś raz z rzędu!

Zaśmiała się, patrząc mu w oczy! Co oznacza ten uśmiech? Tak jej wesoło, bo zastanawia się, jakby to było, gdyby ją pocałował? Pocałował i Bóg wie co jeszcze. Obudź się, dziewczyno! Masz dopiero szesnaście lat!

Znajdź sobie lepsze zajęcie, ty mała...

- I jak myślisz? - pyta mnie Nicolas.

- Zdaję się na ciebie. No, co powiesz?

- Naprawdę? - Odwraca się do Muriel. - Jest niezła. Niezła?

- Umie chodzić po wybiegu?

- Zaliczyła już kilka pokazów. Ma przedefilować przed nami?

- Tak.

Louise macha ręką i dziewczyna zaczyna iść jak na wybiegu. Stop. Poza. Obrót. Powrót.

A jakie ma zęby? Sprawdźcie i to przy okazji.

- Jest niezła - powtarza Nicolas. Raz starczy, usłyszałam!

Czeszka staje, składa niezgrabnie szcuple ręce i czeka, aż trzy gnomy i anioł podejmą decyzję.

Nic z tego, najpierw chcemy zobaczyć wszystkie kandydatki.

Modelka wychodzi niespiesznie z sali, jakby te kilka dodatkowych sekund miało zwiększyć jej szanse. Przystaje w drzwiach i odwraca głowę.

- Czy mogę poczęstować się muffinką?

- Oczywiście, skarbie. I zawołaj szesnastkę, Kristy.

Do sali wchodzi wysoka, wysportowana dziewczyna. Ma na sobie bardzo krótką spódniczkę, wyjątkowo obcisły podkoszulek i skórzane kozaki. Jest niezwykle seksowna. Znów to samo! Szczerzy się do Nicolasa!

Głupia krowa!

Już ja ci pokażę!

- Cześć, mam na imię Kristy - mówi z brytyjskim akcentem. - Mam dziewiętnaście lat, a od trzech pracuję dla Fjorda. - Wciąż się szczerzy.

A Nicolas połyka haczyk i odwzajemnia uśmiech!

- Umiesz chodzić po wybiegu? - pytam poirytowana.
Wszyscy rzucają mi zdziwione spojrzenia.

- Jesteś bardzo ładna - mówi dziewczynie Muriel.

Jak mogła wyskoczyć z czymś takim? Czy modelkom mówi się, że są ładne? Czy to nie nieprofesjonalne lub coś w tym rodzaju?

- Podoba mi się też, że jesteś taka kobieca - ciągnie Muriel. Innymi słowy, mimo czterdziestu pięciu kilo wagi, ma wielkie cycki.

- Zgadza się, jesteś bardzo kobieca - przytakuje Nicolas. Afe!

Spójrzcie tylko na nich! Brakuje im profesjonalizmu. Zwłaszcza Nicolasowi! Wstyd!

Boże, muszę szybko zjeść jeszcze jedną muffinkę na pociechę.

Gdy późnym popołudniem wysiadam z windy przed drzwiami mieszkania Nicolasa, myślami jestem ciągle przy tych wszystkich Kristy, Jolantach i Ulrikach. Miałam ciężki dzień i nie mogę się doczekać obiecanego obiadu.

Nie mam szans, prawda? Jestem żabą i choćby mnie całować całą noc, nie zmienię się w nic innego. Spytajcie Huberta.

Pukam. Drzwi otwiera gospodarz.

Boże, jest taki przystojny!

Nigdy się do tego nie przyzwyczaję.

Gdybym tylko mogła być bardziej... bardziej taka jak one. Nie czułabym, że muszę ci w jakiś sposób dorównać, i skupiałabym się na tym, jaki naprawdę jesteś. A jesteś, cóż, Tym Jedynym.

Od progu wita mnie zapach... szafranu. Przypomina mi dom.

- Wszystko wegetariańskie - zapewnia Nicolas.

Idę za nim do kuchni. Pełno tam pokrojonych warzyw, brudnych garnków i patelni. Dużo się dzieje. Nicolas wyciąga butelkę i dwa kieliszki.

- Trzymałem na specjalną okazję. I wreszcie nadeszła. Nalewa nam tylko odrobinę wina i robi małą ceremoni - wacha je, potrząsa kieliszkiem i tak dalej.

- Wzniesiemy toast?

- Oczywiście.

Za co moglibyśmy wypić?

- Za przyszłość i Muriel B. - proponuję.

- Nie, za ciebie.

- Za mnie?

- I za to, że tacy z nas szczęściarze, że do nas trafiłaś.

- Dobra. - Chcę już wznieść toast, ale Nicolas mnie powstrzymuje.

- Właściwie to za to, że ze mnie taki szczęściarz, że tu trafiłaś.

Och!

Stukamy się kieliszkami i upijamy maleńki łyk. Kurczę, jak ma właściwie smakować dobre czerwone? To tutaj zalatuje grzybami.

Mój anioł przygląda mi się szeroko otwartymi oczyma, więc połykam ohydny płyn i zapewniam, że wino jest wyborne. Nicolas pluje do kieliszka.

- Skąd, czuć je korkiem - mówi. - Przepraszam.

- Dzięki Bogu. Już myślałam, że wmusisz we mnie całą butelkę - śmieję się. - Rzeczywiście, jest paskudne.

Zabiera mi kieliszek.

- To zabawne. Czekałem na odpowiednią okazję od lat. Czekałem, marzyłem o tym winie i w końcu mogłem go spróbować. I kłapa. Jest wstrętne. Jestem taki rozczarowany.

- To brzmi jak historia mojego życia.

- Dlaczego?

- Wierzysz w przeznaczenie?

- Uważam, że każdy jest kowalem swojego losu. Sami dokonujemy wyborów.

Nie wiedziałam, że anioły potrafią być takie naiwne.

- Sądzę, że największy wpływ na nasze życie ma wolność wyboru w życiu zawodowym. Jestem egzystencjalistą. Czytałaś Sartre'a?

- Hm? A co ze szczęściem? - pytam wymijająco.

- Co z nim?

- Wierzysz w szczęśliwy traf?

- Cóż, nie jestem przesądny. Ale wierzę w to, że czasem dostaje się szansę i trzeba umieć ją wykorzystać.

- Więc to zalatujące korkiem wino to nie pech?

- Nie, to korek był zły albo wino, albo sposób przechowywania.

- A co z nami? Czy to nie szczęśliwy traf, że stanąłeś na mojej drodze?

- Szczęście nie ma tu nic do rzeczy. Jedni ludzie się pojawiają, a inni znikają. Ty przyjechałaś do Paryża, ja mieszkam w Paryżu. Najważniejsze są decyzje, które podejmujesz.

Czy to oznacza, że za te dwie noce z Hubertem powinnam winić siebie, a nie jakieś ciemne moce? Jakie to... przerażające!

Nicolas wylewa wino do zlewu. Tyle lat marzeń na nic! A to pech! Nie potrafię przestać o tym myśleć w ten sposób.

Światem rządzi przeznaczenie. Raz się ma pecha, raz szczęście. Kto myśli inaczej, z pewnością źle skończy. Grzechem wydaje mi się już samo roztrząsanie tych mechanizmów. Ukradkiem pukam w niemalowane drewno. Splunęłabym jeszcze trzy razy przez lewe ramię, ale za coś takiego wyrzuciłby mnie ze swego mieszkania.

- Mylisz się. Podążamy wytyczoną ścieżką. Popatrz tylko na mnie - ni stąd ni zowąd trafiłam do Paryża. To z pewnością przeznaczenie mnie tu przywiodło.

Nicolas wybucha śmiechem. Rozbawiłam go. Rozbawiła go moja naiwność i ignorancja.

- Sądzę, że za twoim przyjazdem do Paryża stoi raczej słynna matka.

To zabolalo!

- Przepraszam, nie chciałem - dodaje szybko, widząc, że blednę.

- Nieważne. Przywykłam do tego.

Nicolas dotyka mojego policzka. Oto rekompensata za upokorzenie. Lepszy rydz niż nic!

- Miałem na myśli to, że gdybym podążał wytyczoną dla mnie ścieżką, prowadziłbym teraz restaurację. Dokonałem wyboru i udało mi się wybić.

- Ale spójrz tylko na nas - mówię, żeby skierować rozmowę na mój ulubiony temat.. - Nie wydaje ci się, że to dzięki przeznaczeniu jesteśmy teraz razem i pijemy kiepskie wino?

Nicolas otwiera kolejną butelkę.

- Koniec z kiepskim winem. A co do nas, to myślę, że... - Unosi kieliszek do ust. - Hm. Nic specjalnego, ale smaczne.

Próbuję. Rzeczywiście, bardzo dobre. Słodkie, z owocową nutą. Lubię przeciętne wina.

- Ma w sobie taką owocową nutę, prawda? - pyta gospodarz. Pamiętajcie, dziewczyny! Francuzi unikają poważnych tematów, skierowując rozmowę na temat wina.

- Nie uważasz, że właśnie przeznaczenie sprawia, iż dwoje ludzi się spotyka?

Nicolas wraca do kuchni do swoich patelni i garnków. Francuzi unikają także poważnych tematów, gotując lub rozmawiając o jedzeniu.

- Powiedziałem już, że nie wierzę w przeznaczenie. Jak nic przed końcem wieczoru trafi go piorun.

Przy drzwiach wejściowych słysząc głosy. To Marc z przyjacielem.

- Lynn, poznaj Eddiego. Eddie est banquier, facetem przy forsie, cha, cha. A to Lynn. Lynn jest gwiazdą. Cha, cha. Przygotować drinki?

- J'ai ouvert une bouteille de vin*

- Ach, ty zawsze tylko wino i wino. Ktoś chce Cosmo albo Mojito! - Marc spogląda na Eddiego. - Oj, zapomniałem się. Znasz angielski, skarbie?

- Studiowałem zarządzanie w Anglii - odpowiada facet przy forsie. - Wieki temu.

Spójrzcie tylko na Eddiego. Wygląda jak przeciętny księgowy - nijaki człowieczek w szarym garniturze. Ale po pracy ten szaraczek chadza na randki z szalonym Markiem. Cóż takiego, jeśli nie przeznaczenie, połączyło tę parę?

- Chętnie zamieniłabym moje wino na Krwawą Mary - przyznaje. Lynn, znowu zaczynasz!

- Nie ma sprawy - mówi Marc i woła do gospodarza: - Nicolas, jesteś taki staromodny! To świetny facet, ale jest taki... francuski. Eddie też taki był, ale zmienił się pod moim wpływem, cha, cha.

Marc przygotowuje drinki. On i Eddie zdecydowali się na Whisky Sour, z wisienką w cukrze i innymi bajerami. Nicolas obstaje przy winie. Jest taki francuski!

- Zanim się pojawiłem w jego życiu, Eddie miał dziewczynę. Pomyślcie tylko! Cha, cha. Zmienił się, i to bardzo.

Nicolas nie wierzy w przeznaczenie. Ale czy ulegnie mojemu wpływowi? Może sprawię, że zmieni poglądy, skoro Marcowi udało się to z cudzą orientacją seksualną?

- Wino to sztuka. Wódka... to tylko alkohol.

- Oho. Patrzcie tylko, jak się zdenerwował!

- Uważam, że to bardzo urocze w Nicolasie - oświadczam śmiało. - Bycie staromodnym jest urocze. Klasyka. Ponad modą i trendami. To właśnie mi się w nim podoba.

- Oho!

Oboje się rumienimy.

- Dziękuję, Lynn. - Nicolas udaje, że powiedziała dobry dowcip. - Miałem nadzieję, że ktoś to wreszcie zauważy.

- Starzec uwięziony w boskim ciele Apolla? Mmm. - Marc bawi się sugestywnie wisienką koktajlową. - Lynn ma rację. To strasznie seksowne.

- Mówiłam, że to urocze, nie seksowne.

- Kobiety mówią o kimś „uroczy”, gdy mają na myśli „seksowny”. I na odwrót. Cha, cha.

- Jestem seksowny - przyznaje z dumą Nicolas, wznosimy zatem toast na jego cześć.

- Lynn, wyglądasz na imprezowa dziewczynę - stwierdza Marc. - Może wyskoczymy razem na miasto?

Już mam powiedzieć, że jestem padnięta i muszę wreszcie się porządnie wyspać, gdy moja torebka zaczyna wibrować.

Przysięgam, że nie wibrowała, kiedy kupowałam ją w butiku Kazo. Może to jakieś nadprzyrodzone zjawisko?

- Twoja torebka... - zauważa Marc i podaje mi ją. Teraz jeszcze gra melodyjkę! To znana piosenka Christiny

Aąquillery. Otwieram torebkę i wyławiam z niej komórkę. Najwyraźniej ktoś do mnie dzwoni.

Mój nowy telefon odzywa się po raz pierwszy. Powinam go wyłączyć, ale ciekawość bierze górę. Kto to może być?

- Cześć, tu Hubert. Tylko nie on!

- Już wróciłem.

Takie narzucanie się jest karalne!

- Skąd masz mój numer?

- Dostałem od Muriel. Mówiłem ci, że dobrze znam jej ojca.

- Zadzwoiłeś do mojej szefowej, żeby dostać mój numer?

- Ściślej mówiąc, to ona musiała najpierw do kogoś zadzwonić, a potem oddzwoniła.

- Traktujesz moją szefową jak swoją sekretarkę? -Nie przesadzaj. Znam ją od dziecka.

- Poczekaj chwilkę.

Wstaję i odsuwam się od Nicolasa. Dochodzę do drzwi wejściowych i zamykam je za sobą. Jeszcze mi mało. Zbiegam więc po schodach i podejmuję rozmowę dopiero na podwórku.

- Mówiłam ci, że pracuję dziś wieczorem.

- Miło usłyszeć twój głos.

- Daj spokój!

- Co z tobą? Za każdym razem, gdy nie widzimy się dłużej niż dwanaście godzin, musimy zaczynać wszystko od początku.

I za każdym razem nie mogę się tobie oprzeć.

- Poniekąd odpowiada mi to - ciągnie Hubert. - To wyzwanie.

Nie babskie fochy, ale prawdziwe wyzwanie.

Czuję się jak wyjątkowy okaz nosorożca, którego głowę chciałby dołączyć do swojej kolekcji.

- Hubercie, nie mogę teraz rozmawiać.

- Musimy się koniecznie zobaczyć dziś wieczorem.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł.

- Gdzie teraz jesteś?

- W prywatnym mieszkaniu.

Podnoszę głowę. Widzę sylwetkę Nicolasa w oknie salonu.

- Znajdę cię, Lynn.

Wina leży wyłącznie po mojej stronie. Trzeba było nie przyjąć pierwszego zaproszenia.

- Musimy poważnie porozmawiać, Hubercie.

- Czyje jest to mieszkanie?

- To nieistotne.

- Często bywałem w podobnych sytuacjach i wiem, że wszystkiemu można zaradzić.

- Cóż, ja jestem po raz pierwszy i mam dość. Słyszę kroki, zapala się światło. To Nicolas.

- Wszystko w porządku?

- Czy to on? - dopytuje się Hubert.

- Zadzwoń do ciebie później.

- W czym problem? - chce wiedzieć Nicolas. Usiłuję w pośpiechu znaleźć odpowiedni przycisk.

- Nie rozłączaj się, Lynn! - woła Hubert. Spadaj!

- Kto to był?

- Hubert Barclay.

- Rozumiem.
- Musieliśmy coś omówić i... tak się też stało.
- Dobra.
- Co masz na myśli?

- Znów mówisz tym dziwnym głosem. Podchodzi bliżej.

Nie wiem, co robić. Nie chcę, żeby mnie widział w takim stanie.

- Czas na mnie. Jestem naprawdę zmęczona.
- Co z kolacją? No właśnie.
- Przepraszam, nie dziś. Pozdrów ode mnie Marca, dobrze?
- Jedziesz spotkać się z Barclayem, prawda?

Uznaję, że nie muszę odpowiadać na to pytanie. Zamiast tego całuję go w usta, przelotnie.

- Proszę, zostań.
- Zaufaj mi, Nicolasie.

Teraz to on mnie całuje. Też szybko i delikatnie. Potrzebuje dwóch pocałunków, żeby poczuć się pewniej.

Dopiero na ulicy mój mózg zaczyna prawidłowo funkcjonować.

Pocałowałam go.

Naprawdę!

Nie wymusiłam tego na nim!

W usta, a nie w policzek, aż chciał jeszcze!

Krok trzynasty:

Przekonałaś siebie, teraz przekonaj innych

Muriel otwiera oczy.

- Jesteśmy już na miejscu? - pyta z nietypową dla siebie słodyczą w głosie. Zasnęła po drodze, ale obudziła się, bo Massoud zwolnił i wjeżdża na stację benzynową.

- On vient juste passer Lyon*.

- Połowa drogi - wyjaśnia mi Nicolas.

Już niedługo będziemy w słynnym Saint-Tropez! Ale nie jedziemy wygrzewać się na plaży, o nie! Muriel zdecydowała, że przeprowadzimy się na jakiś czas do willi Boutonniere'ow, aby nabrać sił i przygotować w spokoju pokaz. Według niej to seminarium wyjazdowe.

Wysiadamy na stacji rozprostować nogi.

- Nicolas, kup mi coś do picia - prosi Muriel, ziewając. - Cokolwiek, byleby było dietetyczne. - Wkłada okulary przeciwsłoneczne, chociaż niebo zasnutę jest chmurami. - Albo lepiej kup butelkę wina. Rosé.

Prawdę mówiąc, nie wyglądamy na trójkę profesjonalistów jadących na seminarium. Przypominamy raczej trójkę zepsutych dzieciaków z masą forsy, szoferem i apetytem na winko.

- Byłeś już kiedyś w tej willi? - pytam Nicolasa po wejściu do sklepu przy stacji. Wybór win zwala z nóg, nie wiem, na co się zdecydować.

Francuzi nie mogą się rozstać z ulubionym trunkiem nawet na autostradzie.

- Nigdy nie dostąpiłem tego zaszczytu - odpowiada, wybierając butelkę.

- To zabawne, ile dla niej robisz. Prowadzisz jej firmę. Zajmujesz się pracownikami. A teraz widzę, że jeszcze robisz dla niej zakupy. Jesteś chyba najbardziej wszechstronnym kadrowym pod słońcem.

- Masz rację. To trochę dziwne.

Spoglądamy na Muriel. Stoi przed rzędem automatów z napojami. Wygląda na to, że nie potrafi pojąć, jak działają, bez pomocy swych asystentów. Zsuwa okulary na koniuszek nosa, żeby lepiej widzieć instrukcję obsługi. Nie żartuję! Egipcjolodzy nie łamali sobie tak głowy nad hieroglifami.

Zerkam na Nicolasa. Dostrzega moje spojrzenie i oboje wybuchamy śmiechem.

- Mówię ci, ma szczęście, że trafiła na kogoś takiego jak ty.

- O czym szepczecie? - woła Muriel.

- Pomóc ci? - proponuje Nicolas.

Siadamy przy stoliku z trzema nędznymi cappuccino w plastikowych kubeczkach. Dobrze stąd widać Massouda polerującego swój kosmiczny karawan.

- Zawsze zatrzymujemy się przy tej stacji - Muriel pograża się we wspomnieniach. - Byłam tu już pewnie z milion razy.

I nadal nie wie, jak obsługiwać automat z napojami!

- Czy pan Boutonniere mieszka teraz na Riwierze? - pytam odważnie, świadoma, że temat ojca zawsze działa jej na nerwy.

- Nie, willa jest pusta - mówi. - Można tam wpaść na weekend.

I na seminarium wyjazdowe oczywiście. Nicolas przekrzywia głowę, jakby chciał gwizdnąć. Zaimponowała mu moja śmiałość.

- Ojciec na stałe mieszka we Francji? - drażę głębiej.

- Tata mieszka w swoim odrzutowcu - mamrocze Muriel. - Niczego nie robi, jak zwykli ludzie.

Powoli wzbiera w niej gniew.

- Mam gdzieś, gdzie mieszka, byleby nie wchodził mi w drogę. Możemy zmienić temat? Popsułam jej przerwę na kawę.

- Pieprzyć to wszystko! - wrzeszczy nagle Muriel i wylewa zawartość kubka do kosza na śmieci. - Muszę się wysikać.

Wiem, wiem, nie powinno się wylewać płynów do kosza na śmieci. Dlatego właśnie wyglądało to tak odjazdowo nonszalancko.

Ta dziewczyna naprawdę ma szalone pomysły.

- Nicolas! - woła.

Nie zdołała dojść do toalety. Coś ze stoiska z prezentami przykuło jej uwagę.

- Ten tu nam się przyda. Dla poprawienia koncentracji. -
Podaje mu małego plastikowego jeża. - Patrz, jaki paskudny.
Cha, cha.

- To jakiś symbol, lokalna maskotka - wyjaśnia Nicolas.

- Ohyda - śmieje się Muriel. - Kup go, proszę. I poproś o
otwarcie naszej butelki, dobra?

Nie wierzę własnym oczom. To miejsce jest niesamowite.

Jedziemy wzdłuż wybrzeża. Niebo nie jest już szare.
Zachodzące słońce barwi je wszystkimi odcieniami pomarańczy.
Fale szumią cicho w zapadającym zmierzchu.

To takie, jakby to ująć... śródziemnomorskie!

Po lewej ku morzu opadają strome skały, po prawej drzewa
piniowe przesłaniają imponujące wille.

Minęliśmy przed chwilą śliczne miasteczko o nazwie Saint
Raphaël. Muriel mówi, że jesteśmy prawie na miejscu.

- Presque - potwierdza Massoud, ziewając. - To tu. -Skręca w
prawo.

Wzdłuż drogi ciągną się mury usiane ochroniarskimi
kamerami. Co jakiś czas pojawia się kolejna brama wjazdowa z
tabliczką informującą o złym psie lub innych atrakcjach. To nie
wszystko. Odkąd Massoud zwolnił, moich uszu dobiega koncert
miliardów koników polnych. I jeszcze ten zapach!

Pachnie piniami, nagrzaną ziemią i morzem.

Gdyby dało się zamknąć tę woń w buteleczce, można by
zarobić miliony na perfumach o nazwie „Wakacje”.

Massoud staje i wyciąga pilota ze schowka na rękawiczki.
Wystarczy nacisnąć guziczek, by otworzyły się przed nami
masywne, drewniane wrota.

Limuzyna prawie bezszelestnie sunie przez ogród. Tylko żwir
trzeszczy pod jej kołami.

Spoglądam na Nicolasa.

Też siedzi uśmiechnięty. Co za miejsce!

Czy możemy tutaj zostać?

Na zawsze?

Stajemy przed głównym wejściem nieudanego dzieła architekta, który uciekł z domu wariatów w innej galaktyce. To nasz cel podróży - willa Boutonniere'ów.

- Cholera - mruczy Muriel zaraz po wyjściu z samochodu. - Ja to mam szczęście!

- Co się stało? - Zachodzę w głowę, co może być nie tak, skoro trafiliśmy do raju na ziemi.

- Nie widzisz? Czego znowu?

- Światło!

- Jest piękne - mówię, myśląc, że chodzi jej o promienie zachodzącego słońca iskrzące wśród okolicznych drzew.

- Światła! - Muriel kopie jeden z reflektorów na podjeździe, oświetlających dom.

Ach! Jest wściekła, ponieważ Francis - niby to nieobecny - najwyraźniej jednak w willi jest.

A kiedy docieramy do basenu, wlokąc za sobą część bagaży, staję jak wryta.

- Matko Boska - szepczę i to nie dlatego, że Muriel miała rację co do światel, ale dlatego, że przy basenie, uśmiechając się słodko, w letnim białym stroju i białym kapeluszu, stoi Jodie. W rękę trzyma kieliszek czegoś, co wygląda na schłodzone białe wino, i to już mi wystarcza, bo nigdy, przenigdy nie widziałam, żeby brała alkohol do ust.

Nie zwracając uwagi na towarzyszącego jej sobowtóra Jamesa Coburna, wypuszczam z rąk niesione torby i niczym nastolatka przyłapaną przez matkę z chłopakiem, syczę, jak nigdy dotąd:

- Co tu u diabła robisz?

- Och, Francis - Jodie zwraca się do sobowtóra Coburna z charakterystyczną dla siebie obojętnością - poznaj moją podopieczną, Lynn.

* * *

Wyjmuję swoje rzeczy z torby i układam w szafie, ale tak naprawdę skupiam się na unikaniu wzroku Jodie, która, nie wiedząc czemu, poszła za mną do mojego pokoju i teraz przygląda mi się, siedząc na łóżku.

- To takie dziwne, że tu jesteś.

Bawi się swoimi drewnianymi koralami. Wygląda młodziej niż kiedykolwiek. Może to ta francuska opalenizna na twarzy.

- To znaczy, wiesz, przyjeżdżaliśmy tu z Francisem regularnie wieki temu. Nie sądzę, żebyś była wtedy choćby w planach.

Cała moja buta znikła bez śladu. Przy Jodie zawsze zmieniam się w posłuszną dziewczynkę.

- Ślicznie tutaj - mówię.

Tak, jeszcze wspomnij ładną pogodę!

- Wtedy wcale nie było ślicznie. To była dzicz. Twoje pokolenie nie jest w stanie sobie tego wyobrazić. Jesteście tacy...

Skończyłam się rozpakowywać, ale potrzebuję kolejnego pretekstu, podchodzę więc do rozsuwanych drzwi prowadzących na taras, udając, że muszę przewietrzyć pokój.

Gdybym znalazła szczotkę i mopa, zaczęłabym sprzątać!

Co za piękny widok!

Zbudowany z wybielonych solą desek taras podchodzi do samego basenu. Wszędzie biel lub drewno. Nawet na Jodie.

- Przyjechałaś w interesach? - Pragnę zrozumieć, po co siedzi w moim pokoju.

- Chciałam побыć trochę z tobą. Patrzą na nią zdziwiona. Pobyć ze mną?

Świetny dowcip. Ale mnie nie bawi.

Wiem przecież, jaka jest. Dobrze ją znam!

- No i w Saint Paul du Vence jest wystawa retrospektywna na mój temat. Ale mniejsza o to.

Tak, tak. Już ci wierzę.

- Jestem przy tobie. Czy to nie najważniejsze? Hipoteza pierwsza: Jodie ma raka i nareszcie zaczęło ją gryźć sumienie, że była taką wyrodną matką.

Hipoteza druga: To wcale nie Jodie. Trafiłam na zjazd sobowtórów.

Hipoteza trzecia: To tylko sen. Obudzę się z krzykiem, zlana potem.

- Mogłybyśmy pojechać razem do Saint Paul - proponuje i podchodzi do szafy. Gdy zaczyna przeglądać moje ubrania, drętwię.

Podnosi suknię swojego projektu jednym palcem, jakby była naukowcem badającym ciekawy gnijący wodorost lub kawał padliny.

- Hm, to stary model. Musiałam dać ci go wieki temu, już wyleciało mi to z głowy.

- Nie dostałam jej od ciebie. Kupiłam ją.

- Kupiłaś jedną z moich sukienek? To idiotyczne. Wyrzucamy ich całe tony

Trzeba było trzymać język za zębami.

- Była przeceniona.

Jodie marszczy czoło. Najwyraźniej nie pochwała przecen.

- Poznałam twoją znajomą, Roxanne Green - rzucam, żeby uniknąć pytania, dlaczego kupuję jej sukienki.

Jodie porzuca sukienkę, starając się nie wyglądać na poirytowaną.

- Dlaczego na Boga musisz się zadawać z ludźmi pokroju Roxanne?

Co takiego?

- Wpadłam na nią przypadkiem w samolocie. Przyznała, że cię zna.

- A jakżeby inaczej? - Jodie przegląda się w lustrze. - I co teraz knuje ta zdzira?

- Píše książki.

- Roxanne? Książki? O czym, u licha? Jak wieść normalne życie z rzeźączką?

- Pisz poradniki. Są całkiem przydatne.

- Wierz mi, lepiej nie słuchać rad kogoś takiego jak Roxanne. I nie przyjmuj od niej żadnych narkotyków!

- Wydawało mi się, że to... szanowana osoba.

- To, że jest już za stara na sypianie z gwiazdami, nie znaczy jeszcze, że jest godna szacunku.

Postanawiam nie wspominać nic o egzemplarzu Dwudziestu kroków do sukcesu. Szkoda go dla Jodie.

- Roxanne mówiła, że nie widziała cię od dłuższego czasu - atakuję. - Jakbyś wycofała się z życia publicznego. - Jestem jednak nowicjuszka i Jodie nie da się zapędzić w kozi róg.

- Od dawna nie czuję potrzeby obcowania z ludźmi jej pokroju. Moja fascynacja prostytutkami minęła.

Boże, sama się o to prosiłam.

- Czy wiesz, jakie przezwisko miała na Riwierze? Szlauch! Wiesz dlaczego?

- Nie i nie chcę wiedzieć - ucinam krótko.

- Spytaj Francis'a. Szlauch! Cha, cha.

Żałuję, że nie jestem taka jak Muriel. Śmiała, pyskata, ze świetnym refleksem. Umiałabym podtrzymywać rozmowę z Jodie, nie czując przemożnej potrzeby ucieczki. A tak, mam pustkę w głowie.

- Pojedź ze mną jutro - ponawia zaproszenie. - Będzie fajnie.

Nie mam już wątpliwości. To rak! Stadium nieuleczalne!

- Musimy pracować. Nie mamy zbyt dużo czasu. Wzrusza ramionami. Trudno!

- Odlatuję z Francisem jutro wieczorem. Wkrótce będziecie mieli nas z głowy.

Seminarium wyjazdowe nie zapowiada się dobrze.

Zamiast robić burzę mózgow i rzucać pomysłami, które zaprowadzą nas na sam szczyt, siedzimy w kuchni, pijąc wino i pomagając pracownikom firmy cateringowej.

Nicolas wypakowuje z nimi sprzęt, a Muriel i ja robimy miejsce w jednej z trzech gigantycznych lodówek.

Potem obieramy ziemniaki i myjemy naczynia.

Muriel stanęłaby na głowie, bylebyśmy tylko nie musieli siedzieć w gigantycznym salonie, gdzie Boutonniere i Jodie zaśmiewają się właśnie z historii przydomka Roxanne.

Nicolas wnosi do kuchni skrzynię pełną garnków i patelni, ale robi to z klasą, w ciuchach od Gucciego.

- Jesteśmy tu tylko my i ich dwoje, prawda? - pyta, zerkając w stronę salonu. - Ta ekipa z łatwością wykarmiłaby batalion.

- Skąd miałam wiedzieć, do cholery - burczy Muriel. - Willa miała być pusta.

- Zjedźmy z nimi - proponuje Nicolas, otrzepując drogą koszulę. - Jestem pewien, że twoja matka coś nam doradzi.

- Dobry pomysł - przyznaję, dziwnie chętna przebywać jak najwięcej w towarzystwie odmienionej Jodie.

Nie mogę się doczekać!

Muriel ciska kieliszkiem w schody.

- Proszę bardzo. - Siada na taborecie, zdecydowana nie opuszczać kuchni.

Gdy wchodzimy do salonu, zaskakuje nas cisza. Nikogo tu nie ma.

- Pojechali - szepczę.

Może to wszystko tylko mi się przyśniło? Życzliwa mi Jodie była tylko przewidzeniem. Stuk, stuk, stuk.

To jednak ona! Stuka szpilkami po parkiecie.

- Gdzie jest Muriel? - pyta. Ma na sobie letni płaszcz i swój biały kapelusz, jakby była gotowa do drogi.

- Już wyjeżdżasz? - słyszę własny głos.

- Francis zabiera mnie do Cannes. Nie chcemy wam przeszkadzać.

Pojawia się Boutonniere w białym letnim garniturze.

- Gotowa na podbój miasta? Ach, to ty, Lynn. Przekaż Muriel, że nie wrócimy na noc.

A niech to!

- Szkoda - wzdycha Nicolas. - Liczyliśmy, że rzuci pani na naszą kolekcję fachowym okiem.

- Fachowym okiem - powtarza Jodie, rozbawiona. Ma do niego słabość.

Uwielbia pięknych ludzi, bez względu na to, kim są i jak postępują.

- Innym razem.

- Miło było poznać - mówi Nicolas ze smutkiem. Jodie uśmiecha się do niego.

- Dbaj o moją... dziewczynkę.

- Wyjeżdżacie na dobre?

- Przenocujemy w Martinezie. A potem, kto wie... - Wzrusza ramionami. Byłam już gotowa rzucić całe to seminarium i pojechać z nią do tego Saint Paul Cośtam, ale nie dała mi szansy.

- Pokaz na ulicy... - zastanawia się.

Właśnie ten pomysł miał być dowodem na to, że odziedziczyłam po niej kreatywność.

- Bądźcie ostrożni. Próbowano już tego przed wami. Musicie dokładnie wszystko zaplanować.

* * *

- Wyjechał? Naprawdę wyjechał? Na dobre?

- Przenocują w Martinezie - potwierdza Nicolas. Na twarzy Muriel pojawia się szczerzy uśmiech.

- No to do dzieła!

Nie przejmuje się tym, że woleli od niej Cannes. Au contraire. Jakby ktoś wsadził w nią na powrót baterie. Skończyło się chowanie w kuchni, powrócił temat seminarium. Na początek zamierza oprowadzić nas po rezydencji, żebyśmy poczuli się tu jak u siebie w domu, zanim zabierzemy się do pracy.

Zostawiamy gotowanie pracownikom firmy cateringowej i śliczną leśną ścieżynką ruszamy w stronę plaży.

Jest już wieczór, ale nadal słyszę dzieci z okolicznych domów - biegają, krzyczą, wyzywają się, błagają, żeby nie wrzucać ich do wody i z chlupotem wpadają do niewidocznych basenów, zanosząc się śmiechem.

Kobiece głosy przypominają, że już czas na kolację, i proszą o poniechanie prób utopienia młodszej siostry, zostawienie psich uszu w spokoju, wypuszczenie z rąk ogrodowego węża, czy co tam matki mają w zwyczaju mówić do dzieci zamiast: „Nie dotykaj niczego, do cholery, i siedź cicho, dopóki nie skończę tej sukienki”.

- Znasz swoich sąsiadów?

- Ta willa na przykład należała do prezydenta Mitterrand-a, oczywiście zanim umarł. W okolicy mieszka też Galliano, o tam. Hm, kto jeszcze? Każdy, kto się naprawdę liczy, ma gdzieś tu niedaleko willę.

Na końcu ścieżki mający już plaża.

- Cholera! - przypominam sobie. - Zostawiłam kostium w pokoju.

- Przestań, nie mamy w planach kąpieli.

Spoglądam na Nicolasa. Wzrusza ramionami, jakby chciał mi powiedzieć, że mam zachowywać się jak na profesjonalistę przystało.

Tak, tak. Tylko praca i praca.

Okazuje się jednak, że nie o pracę chodzi.

Muriel znów ma ochotę na coś mocniejszego i zdaje się, że zna idealne miejsce.

Nie docieramy do plaży. Skręcamy w ścieżkę, która wygląda na dojście do jednej z willi, ale prowadzi do pola biwakowego wypełnionego po brzegi namiotami i ludźmi wracającymi właśnie z kąpieli bądź grającymi w karty przed luksusowymi samochodami kempingowymi.

Maluchy podgryzają kurze udka lub oplukują stopki z piasku.

Szyld głosi: „Camping de la Pin?de”.

- Jeśli będziecie musieli iść za potrzebą - radzi Muriel tonem eksperta - idźcie do lasu, trzymajcie się z dala od tutejszych toalet.

Ta dziewczyna wciąż mnie zaskakuje. Kiedy wspomniała coś o wyskoczeniu na drinka, wyobraziłam sobie modny lokal w sercu Saint-Tropez, ale nie, naszym celem jest centrum kempingu, Buvette de la Plage. Wokół baru kłębi się tłum młodych ludzi, dla których trzy nowe twarze to łakomy kąsek - z miejsca zaczynają się zastanawiać, w którym sektorze pola mieszkaamy.

- Qu'est ce que vous buvez? - pyta barman, który nie wygląda wcale na barmana, ale raczej na pracownika technicznego kempingu, dorabiającego sobie wieczorami.

- Une krwawa Marie - próbuję. Niestety, nie mają soku pomidorowego. Proponuje mi w zamian wódkę z sokiem pomarańczowym, tyle że pomarańczowego też zabrakło - będzie dopiero rano, gdy barman znajdzie chwilkę i wyskoczy do supermarketu. Zrezygnowana, idę w ślady Muriel i Nicolasa i zamawiam kieliszek schłodzonego wina.

Gdy odchodzimy od baru, barman przeprosza kogoś za brak papieru toaletowego. I temu problemowi ma zaradzić jutrzejsza wizyta w supermarkecie.

Na Buvette de la Plage składa się tylko drewniana szopa, kilka stolików i parkiet taneczny oświetlony setkami różnokolorowych żarówek - żółtych, czerwonych, zielonych. Z głośników dochodzi popularna tu najwyraźniej muzyka latynoamerykańska. Zgiełk, ścisk, ani szpilki wetknąć i tylu tu młodych ludzi. Na modny strój składa się kostium kąpielowy, może jakaś koszulka, dużo nagiej, opalanej skóry i spora dawka młodzieńczego erotyzmu.

- Nie wydaje mi się, żeby to było miejsce w twoim stylu - mówię Muriel. - Nie pasujesz do tej klienteli.

- Widzisz tamtego chłopaka? - Wskazuje na dwudziestolatka podrywającego dwie chichoczące blondynki. - To Vincent de la

Pinoti?re, syn Marcellusa Pinotiere. To jedna z najbogatszych rodzin w kraju. Działają w nieruchomościach, w branży filmowej...

- W telekomunikacji - uzupełnia Nicolas.

- To nasi najbliżsi sąsiedzi. A tam - macha ręką w kierunku stolika, przy którym siedzi grupka palących nastolatków - bawią się dzieci Pouika ze swoją paczką.

- To słynni przemysłowcy - dopowiada Nicolas.

- Obrzydliwie bogaci. Nouveaux riches.

- A to kto? - Wskazują na mężczyznę w średnim wieku, który popija piwo, balansując kłapkami na palcach stopy. - Książę Albert z Monako?

- Cha, cha. Cała reszta to, no wiesz, wczasowicze. Zajmujemy jeden ze stolików.

- Podoba ci się tutaj? - Muriel pyta Nicolasa.

- Cóż, to miejsce nie jest zapewne dla mnie tak egzotyczne jak dla ciebie.

- Co masz na myśli? - pytam go.

- Co roku jeździłem na kemping z rodzicami. Tyle że od Riwiery woleliśmy Bretanię.

- Bretania to zupełnie... - Muriel brakuje słów, by wyrazić swoją pogardę.

- Mniej tam snobistycznie.

- Nuda!

- Zależy, czego się szuka.

- Ja szukam źródła wina - stwierdza Muriel, mimo że jej kieliszek nie jest jeszcze pusty. - Kup, proszę, całą butelkę, mój mały Bretończyku.

- Nie powinnaś go tak traktować - mówię, gdy Nicolas odchodzi i wdaje się z barmanem w dyskusję, być może znów o jutrzejszych zakupach.

- Co takiego?!

- Jak swojego służącego.

- Jak zwykle mówisz to, co ci ślina na język przyniesie, prawda? Czasami to urocze, ale czasami ma się tego dość.

- Nicolas jest najlepszą rzeczą, jaka ci się trafiła w życiu. Dbaj o niego bardziej, to wszystko.

- Najlepszą rzeczą? Też coś! Słuchaj no, najlepszą rzeczą, jaka mi się w życiu trafiła, jest mój talent! Przestań zgrywać urażoną narzeczoną i wyluzuj.

Narzeczoną?

- Co, myślisz, że nie widzę tego, co się dzieje między wami? Nawet głupi by się domyślił!

Mam wrażenie, że popsuly się wszystkie żaróweczki wokół parkietu prócz czerwonych.

- Kto jeszcze tak twierdzi?

- Chłopcy z atelier nie mówią o niczym innym. Załamali się. Każdy z nich miał na niego chrapkę. Cha, cha. Powiedziałaś, że jaki jest? Uroczy, czyli tak naprawdę seksowny? Tak, tak, aż bucha od niego seksem! Cha, cha!

Przeklęty Marc!

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Lynn, spokojnie, to co robicie w zaciszu jego biura, to" wasza sprawa. Po prostu zamykajcie za sobą drzwi. Choć chłopczy woleliby, żeby były odrobinę uchylone. A nuż uda im się coś podejrzeć! Cha, cha! Biedna Catherine. Była w nim kiedyś szaleńczo zakochana, jak to z sekretarkami bywa. Cha, cha!

Chcę schwycić ją za ramiona i trząść tak długo, aż zrozumie, że do NICZEGO między nami nie doszło, w biurze czy poza nim, ale z grupki młodzieży wysuwa się szczupły, opalony chłopak i podchodzi do nas, głaszcząc się po umięśnionym torsie, widocznym spod rozpiętej koszuli.

- Cześć, królewna. Angielka? - pyta z uwodzicielskim włoskim akcentem.

- Amerykanka - prostuje Nicolas, dosiadając się z butelką wina.

- Angielka - odpowiada Muriel z zachęcającym uśmiechem na twarzy.

To wystarcza młodzianowi za zaproszenie. Przedstawia się jako Giorgio, pyta, w jakim sektorze mieszkamy i czy chcemy z nimi później popływać.

- Fajne kolczyki - chwali Muriel. - Ja mam jeden. - Demonstruje nam ówiek w języku. - To bardzo, bardzo fajne. Dla seksu - śmieje się. - Ty masz tatuaże i ja mam tatuaże - ciągnie. Tym razem musi wstać i spuścić nieco spodnie. Tuż nad kroczeniem ma wytatuowane dwa przytulone misie, różowego i błękitnego.

- Słodkie - zapewnia Muriel. - Pewnie pokazujesz je wszystkim dziewczynom.

- Nie, nie. Tylko pięknym dziewczynom. Ty jesteś piękna.

- A ty masz tatuaż? - pytam Nicolasa z nadzieją.

- Jakoś nigdy nie miałem czasu wpaść do salonu - mówi. Wygląda na zdenerwowanego i nic dziwnego, bo jeden po drugim przysiadają się do nas wszyscy koledzy Giorgia, siedmiu czy ośmiu energicznych chłopaków gotowych pokazywać dwóm nowym dziewczynom swoje intymne tatuaże. Pozostałe dziewczyny z La Buvette de la Plage, Niemki, Szwedki i Holenderki, widziały już niejednego różowego misia.

He można.

- Chcę cię zabrać w specjalne miejsce - czaruje mnie jeden z Włochów. - Bardzo piękne miejsce, tak piękne jak ty.

- Mną się nie kłopotz - mówi mu Nicolas.

- Dobrze - zgadza się tamten, nie wyczuwając ironii. Teraz można spokojnie ignorować Francuza. - Lubisz Italię? - zwraca się do mnie.

- Nie wiem - śmieję się - nigdy tam nie byłam.

- Mógłbym cię wziąć do Italii, po wszystkim. Ciekawe po czym?

- To miłe z twojej strony, ale, wiesz, ja jestem z nim - wyjaśniam, kładąc dłoń na kolanie Nicolasa.

- Nie jestem zazdrosny.

- Ale ja jestem - oświadcza Nicolas. Poczawszy moją dłoń na swoim kolanie, wyraźnie się rozluźnia i zaczyna traktować inwazję Włochów z humorem.

Skoro całe atelier Muriel żyje naszymi prouesses¹, można by wcielić to i owo w życie... Rozglądam się.

Rozumiem już, co przyciąga tu dzieci bogaczy, chociaż toalety pozostawiają dużo do życzenia.

Mogą zasmakować tego, czego nie zaznały od urodzenia. Czegoś przyziemnego, brudnego, nieprzyzwoitego. Życia w najczystszej formie.

- Umiesz tańczyć? - pytam Nicolasa.

- Jak słoń.

Co z tego. Ruszajmy na parkiet! Tańczymy jak dwa bardzo szczęśliwe słonie.

* * *

Znaleźliśmy w końcu Muriel. Leży na plaży z Giorgiem.

Włoch uśmiecha się do nas gorzko. Wygląda na zmęczonego.

Zalecał się do niej bite dwie godziny, ale w odróżnieniu od przeciętnej dziewczyny z kempingu, pozostała obojętna na wszystkie jego sztuczki, i chociaż uporczywie powtarzał, że jest piękna, nie zdecydowała się pokazać mu swoich tatuaży.

To widok zarezerwowany dla oczu pań.

- Do jutra - mamrocze chłopak niepewnym głosem. Jego wiara we własne siły została wystawiona na ciężką próbę.

- Tak, tak, a potem zabierzesz mnie do Włoch, prawda? Ciao, bello! - Muriel odchodzi z nami, zanosząc się od śmiechu.

Włoch zostaje na plaży, wpatrując się w morze.

Nie wie, co ma o tym wszystkim myśleć.

Nie martw się chłopie, ona tak zawsze.

- A teraz... - zaczyna Muriel, ale się potyka. Nicolas ją podtrzymuje. - Rozbieramy się do rosołu i... - ilustruje swoje słowa gestami - ...wskakujemy do basenu!

Jest pijana.

- Do rosołu! - powtarza. Do rosołu? Nie, dziękuję.

Nie paradyję nago przy ludziach. Spytajcie Barclaya - światło musi być zgaszone, a kołdra nałożona. Podglądactwo surowo wzbronione! Albo nie, to zły pomysł - nie pytajcie go.

- Zawsze byłam ciekawa, jak Nicolas wygląda nago - ciągnie Muriel. - Tak, to by było coś. W poniedziałek chłopcy staną na głowie, żeby wyciągnąć ze mnie wszystkie szczegóły.

JA się nie rozbiorę! Nigdy w życiu!

- Jasne - prycha Nicolas. Powtarzam: JA się nie rozbiorę!

- Oj, czyżbym zraniła twoje uczucia, Nico? Wybacz, takie z ciebie wrażliwe stworzenie. Lynn kazała mi delikatniej się z tobą obchodzić. Ojej, jeszcze go urazisz, a drugiego takiego ze świecą szukać.

- Nic takiego nie mówiłam. Powiedziałam tylko, że... Zresztą, wszystko jedno. I nie mam zamiaru rozbierać się do rosołu.

- Co?

- Mam ładny kostium kąpielowy i to w nim będę pływać. Muriel wzrusza ramionami. Słyszała o większych zboczeniach.

Krok czternasty:

Nie zapominaj udawać, że słuchasz. Będą cię za to nosić na rękach

Gdy wracamy do willi, ciśnie nam się do ust to samo pytanie: kto u diabła chichocze w salonie?

- Ach, Muriel - dostrzega nas Francis. - Spotkałem w Cannes twoją znajomą, Jolantę. Zaprosiłem ją do domu na małe co nieco.

- To nie jest moja znajoma - prycha Muriel. Rozpoznaję w dziewczynie modelkę z Czech poznaną na castingu.

- Nie jesteśmy koleżankami - tłumaczy Jolanta. - Będziemy pracować razem na pokazie.

Mina Muriel wskazuje na to, że nie jest to takie pewne.

- Zgadza się - potwierdza Francis. - Przecież jesteś modelką, nieprawdaż?

- Ona ma szesnaście lat - cedzi Muriel.

- Tak naprawdę to dziewiętnaście - broni się Czeszka. - Agent każe mi udawać młodszą dla dobra kariery. A poza tym zamierzam zostać aktorką.

- Usiądźcie z nami. Jesteście już po kolacji? Mózg nie pracuje dobrze, gdy ma się pusty żołądek. - Boutonniere nie chce bawić się w dyskusje na temat wieku modelki. Nicolas miał rację.

Jedzenia rzeczywiście starczyłoby dla batalionu - w salonie rozstawiono trzy pełne bufety.

- Jodie postanowiła zostać w Martinezie - wyjaśnia Francis. - Jeden z pracowników hotelu, Henri, dawno temu był jej chłopakiem. Pracował wtedy na plaży jako ratownik. Prawdziwy Apollo! Mój Boże, jakie to stare dzieje - śmieje się.

Siadam obok nich wraz z Nicolasem. Muriel zjawia się jako ostatnia. Zastanawiam się, czy dla dobra Jolanty nie powinnam schować noży.

- Byłaś kiedyś w Pradze? - pyta mnie modelka kolejny raz. Najwyraźniej to jej obsesja.

- Nie, ale planuję się tam wybrać w najbliższym czasie.

- Agent nie dzwonił jeszcze do mnie w sprawie twojego pokazu - Jolanta zwraca się do Muriel - ale za to będę chodzić u Diora.

Muriel patrzy na nią krzywo.

- Ona tak na poważnie? - pyta ojca.

- Znamy się z Pragi - Francis odpowiada wymijająco. - Wina?

- Bardzo cię lubię - Jolanta zapewnia Muriel. - Mam wielką nadzieję, że będę jednak dla ciebie pracować.

- Jesteś taka piękna. - Francis klepie ją po dłoni. - Z pewnością dostaniesz tę pracę.

- Nie podjęliśmy jeszcze ostatecznej decyzji - wtrąca Nicolas.

- Świetnie! Uwielbiam zaliczać młodych projektantów. Tyle przy tym frajdy. - Czeszka starannie wybiera łyżeczką mięszkę melona. Wpatrzona we Francisca, ignoruje uwagę Nicolasa.

- Jak do tego doszło? - wtrąca się Muriel.

- Do czego? - Francis wydaje się rozbawiony.

- Kiedy zmieniłeś się w takiego błazna? - pyta Muriel spokojnie, jakby była z ojcem w salonie sam na sam.

- Błazna? Cóż, kochanie, miło, że dostarczam ci rozrywki.

- Czy ktoś się śmieje?

Zapada cisza. Jolanta szczyrzy zęby w uśmiechu - wydaje jej się, że to jakiś dowcip, którego nie rozumie.

- Może coś zjemy? - proponuję.

- Dobry pomysł - popiera mnie Nicolas.

Francis odsuwa od siebie talerz i starannie wyciera serwetką siwą brodę. Uwagi Muriel zepsuły mu apetyt na deser.

- Cóż, młodzieży, robi się późno. Skończyłaś, Jolanto? Dajmy im popracować w spokoju.

- Miałam ochotę na odrobinę musu czekoladowego - skarży się dziewczyna, po czym wybucha nagle śmiechem, jakby

powiedziała świątynny dowcip. - Ale nie, jestem pełna. Okropny ze mnie obzartuch.

Podrywa się z miejsca i przytula do pleców Francisa. Spójrzcie tylko na nią! Jest wspaniała. Bardzo młoda, ale już oszałamiająco piękna.

- Czas na nas - żegna się Boutonniere.

- Dobranoc - dodaje niewinnie Czeszka. Pewnie myśli, że odtąd będą z Muriel jak siostry.

Muriel siedzi wpatrzona w puste krzesła. Boutonniere zamknął za sobą lustrzane drzwi do swojego skrzydła domu. Dobranoc, pchły na noc. Karaluchy do poduchy. Boże, wyobraziłam sobie, jak pomaga Jolancie włożyć piżamkę i czyta jej bajeczkę przed snem.

Przestań!

Pomyśl o czym innym.

- Próbowaliście szynki? - pytam. - Jest pyszna.

Muriel kręci przecząco głową, wychylając kolejny kieliszek wina.

- Co zrobimy z tą furą jedzenia? Muriel wzrusza ramionami.

Czy coś jest ze mną nie tak? Jej ojciec poszedł do łóżka z modelką młodszą od własnej córki, a ja potrafię myśleć wyłącznie o jedzeniu.

Zerkam na Nicolasa, licząc, że mi pomoże.

Uśmiecha się pocieszająco. Nic na to nie poradzimy, zdaje się mówić.

- Chyba go obraziłam - mamrocze Muriel. - To pierwszy raz. - Łapie butelkę i przelewa resztkę wina do swojego kieliszka, do ostatniej kropelki. - Nicolas! - woła jękliwie. Nicolas wstaje.

Dziś wieczór okrzyk „Nicolas” oznacza: „Załatw mi nową butelkę wina, ale to już”.

- Zwykle nic nie jest w stanie wyprowadzić go z równowagi, a dziś się obraził. Dlaczego? Zresztą, kogo to obchodzi!

Wychyla kieliszek jednym haustem.

- Ach - coś sobie przypomina. - To jak miała na imię ta mała?

- Jolanta - odpowiadam. Nicolas wychodzi do kuchni, a ja znów nie mogę się opanować i zerkam na te lustrzane drzwi. - Wiesz co, może pójdziemy już spać? Jutro będzie nowy dzień.

- To dopiero początek - bełkocze Muriel, przewracając pustą butelkę. - Jolanta? Tak, Jolanta. Masz rację, to fajna dziewczyna. I jak modnie się ubiera, prawda? Ma w sobie coś z debiutantki na balu, mała dziwka. W show-biznesie są gwiazdy i gwiazdki, a ona jest gwiazdeczką. Wiesz, taką dziewczuszką, która ociera się o sławy i wspina na palce, żeby ją zauważono. Gwiazdeczką, gwiazdką dla ubogich.

- Rozumiem, o co ci chodzi - mówię spokojnym tonem, żeby niczym jej nie sprowokować.

- Cholerna gwiazdeczka. Ojciec żadnej nie przepuści. Czasem zastanawiam się, czemu mnie jeszcze nie przeleciał. Też się czasem nad tym zastanawiasz?

O nie! Za takie wyznania dziękuję!

- Zrobię kawy - proponuję i uciekam do kuchni. Nicolas, na pomoc!

- Hej! - słyszę za sobą. - Gdzie się wszyscy podziiali, do cholery?!

Nicolas siedzi na taborecie, trzymając butelkę wina, wpatrzony w swoje odbicie w szklanej ścianie. Wygląda na zmęczonego i przygnębionego.

- Kawy? - pytam. Kręci przecząco głową.

Nalewam sobie pełną filiżankę z termosu. Nicolas odkorkowuje wino.

- Sądzę, że ma już dosyć - stwierdzam.

- Ona nigdy nie ma dosyć. Musi dotrzeć do granic własnych możliwości, jak ze wszystkim. - Zerka w stronę salonu, pograżony w myślach. Sądzę, że obrzydło mu bycie popychadłem tylko dlatego, że Muriel jest taka wyjątkowa.

Siadam obok i przyglądam się naszym odbiciom.

- Jesteś naprawdę podobna do matki - mówi Nicolas, patrząc na mnie w szybie.

- Ależ nie! Jodie i ja bardzo się różnimy. Pod każdym względem. Ona jest piękna, elegancka, wspaniała.

- Ty też jesteś cudowna.

Patrzcie tylko na moje odbicie! Uśmiecha się.

- Założę się, że mówisz tak każdej. Czy już się nie całowaliśmy?

No to co?

Nicolas kładzie dłoń na mojej dłoni i... do dzieła! Kolejny raz.

Tak bardzo potrzebowałam tego pocałunku. Mam dość tego wyjazdu. Chcę, żebyśmy byli sami.

Wszyscy - Muriel, Francis, Jolanta, Jodie (tak, nawet Jodie) - mogliby zniknąć.

Nicolas jest takim wspaniałym...

Bum! Bach!

Odrywamy się od siebie i odwracamy głowy w stronę salonu.

Z pokoju dochodzą odgłosy przewracanych mebli i tłuczonej porcelany. Muriel przeklina na całe gardło.

Zerkamy na siebie i kiwamy głowami. Musimy przyjść jej z pomocą, zanim zrobi sobie krzywdę.

Spotyka nas jednak niespodzianka. Po kolejnej soczystej wążance coś wpada do basenu. Lub ktoś.

- Cholera - szepcze Nicolas.

Wybiegamy na taras, żeby wyłowić naszą pracodawczy-nię, zanim się utopi.

Na zewnątrz ciemno, choć oko wykol.

- Muriel! - wołam. - Widzisz ją gdzieś?

- Nic nie widzę.

Wracam pędem do kuchni, modląc się, żeby nic się jej nie stało. Nagle moich uszu dochodzi kolejny plusk. Wciskam każdy możliwy włącznik. Basen i taras zalewa światło kilkunastu lamp.

Gdy ponownie wychodzę na zewnątrz, okazuje się, że Nicolas wskoczył do wody i rozgląda się nerwowo za ciałem Muriel.

- Gdzie ona się podziała? - pyta mocno zaniepokojony. Na dnie basenu widać tylko kanapę z salonu.

- Tu jej nie ma - stwierdzam i pomagam Nicolasowi wyjść na brzeg.

- Dégage! - wrzeszczy Muriel z głębi ogrodu. Walczy w mroku z swymi demonami.

Nietrudno ją znaleźć. Niszczy wszystko na swojej drodze. Wrywa z ziemi krzewy i przewraca donice. Kopniakiem obala afrykańskie rzeźby. Siłuje się z ogrodzeniem. I klnie jak szewc!

W końcu milknie. Minęliśmy granicę posiadłości Boutonniere'ow. Weszliśmy na przylegający do ich działki teren budowy.

- Kiedyś nic tu nie było - żali się Muriel, zorientowawszy się, że stoimy oboje tuż za nią. Przyglądam się jej w świetle księżycy. Już się jej nie boję. Żal mi jej. Pewnie przychodziła się tu wypłakać jako dziecko, a teraz wszystko się zmieniło, i nawet płakać nie ma gdzie.

- Wracajmy do domu - próbuje Nicolas. - Chyba nie mamy prawa tu być.

Jakby mówił do głuchego.

Nie czekając, aż skończy, Muriel rusza w kierunku surowych ścian.

- Zostawmy ją - mówię. - Powinna pobyć sam na sam ze sobą.

Niech sobie przemyśli to i owo, a my możemy wrócić do willi i dokończyć to, co zaczęliśmy.

Ale znów słyszę dźwięk tłuczonego szkła i zdaję sobie sprawę, że nic z tego.

Nie w głowie jej rozmyślania.

Postanawia za to zniszczyć tchnący nowością budynek, aby przywrócić swej dawnej samotni pierwotny kształt.

Wbiegamy do środka i zastajemy ją wymachującą łomem, którym rozbija każdą szybę na swej drodze.

- Muriel! Dość tego! - Nicolas próbuje ją powstrzymać, ale dziewczyna odwraca się raptownie i tylko cudem nie łamie mu rąk.

Nie wierzę własnym oczom!

- Co ty sobie wyobrażasz, że kim jesteś? - wrzeszczy. - Nie rób tego, nie rób tamtego. Odwal się, Nicolas! - Robi krok do przodu i zamachuje się, jakby chciała zdzielić go po głowie. - Będę robić to, na co mam ochotę!

Nicolas stoi bez ruchu, niczym sparaliżowana ofiara drapieżnika.

- Muriel! - krzyczę ile sił w płucach, żeby ją ocucić.

- Odepierz się, Nicolas! - porzuca łom. - Nic tu po tobie. - Pluje mu w twarz. - Daj mi spokój.

Dobra nasza. Tylko spokojnie, spokojnie...Podchodzę i przytulam ją ostrożnie do siebie.

Oczywiście z początku nieco się wyrywa, przeklinając, ale trzymam ją mocno i raczej nie ucieknie.

- Dajcie mi spokój oboje - mamrocze.

Za późno. Już ciekną łzy.

Sadzam ją na betonie. Przytulam do piersi. Spokojnie, maleńka. Kołyszemy się delikatnie. Cicho, już cicho, skarbie.

Podnoszę głowę. Nicolas stoi obok. Wiem. Czuje się tak niezręcznie, że najchętniej wziąłby nogi za pas i wskoczył znów do basenu.

Po pierwsze dlatego, że Muriel próbowała go zabić i w każdej chwili może jeszcze zmienić zdanie - schwycić jedno z leżących wokół narzędzi i zmiażdżyć mu głowę. Po drugie dlatego, że to kobiece sprawy. Wolałby się do tego nie mieszać.

Wyciągam ku niemu rękę i zmuszam, żeby usiadł obok.

Tak to już jest na seminariach wyjazdowych.

Ludzie integrują się i tłuką szyby.

Krok piętnasty:

Nie bądź tym, hm jesteś. Bądź tym, kim chcesz być
Zasnęliśmy na betonie, w samym środku budowy.

Wiem, wiem. Od luksusowej willi z wygodnymi łózkami
dzieliło nas tylko kilka metrów.

Nad ranem było zimno, więc owinęłam się wokół Muriel, a
Nicolas owinął się wokół mnie. Jak łyżeczki.

Budzę się pierwsza, czując się w pewien sposób
odpowiedzialna za naszą trójkę. Rozglądam się. Co za bałagan.
Wszystko przewracane, wszędzie kawałki szkła. Odwracam
głowę i szepczę imię Nicolasa, żeby go zbudzić. Chcę się stąd
wynieść, zanim pojawią się robotnicy i zaczną zadawać pytania.

Muriel przeciera zaspane oczy, ziewa, wstaje i rusza w stronę
willi.

- Muriel! - wołam. Chcę wiedzieć, czy już wszystko w
porządku, ale nie daje mi szansy, tylko odchodzi bez słowa.

Próbuję się podnieść. Cholera!

Wszystko mnie boli. Jestem jednym wielkim skurczem. - I jak
się spało? - pytam Nicolasa, mrużąc oczy w słońcu. Muriel
podtrzymuje ręką drut kolczasty, żeby zwiększyć dziurę w
ogrodzeniu, odwraca głowę i rzuca rozkazującym tonem:

- No, chodźcie! - Unika naszego wzroku. Mija szybkim
krokiem basen i znika w kuchni, jakby nic się nie stało. A jest
przecież na co popatrzeć.

- Kanapę wyłowią ogrodnicy - pociesza mnie Francis. - Nieźle
narozrabialiście tu wczoraj!

- Tak. No... - Trudno mi się skupić na tym, co mówię. Francis
stoi na brzegu basenu z filiżanką kawy w dłoni, cóż, goły jak
święty turecki. Jego, no, przyrodzenie, dynda sobie w pełnej
krasie w bladym świetle poranka. Mężczyzna kuca i sprawdza
temperaturę wody. I jak? Hm, może być.

- Strasznie śmieszna ta sofa w basenie, prawda? - Jolanta
wynurza się z wody. Optymistka z tej małej, nie ma co.

Podpiera się na rękach o krawędź basenu i gramoli na brzeg. -
Już po śniadaniu? - pyta Nicolasa.

Nicolas, zamknij oczy, skarbie!

- Kawa jest jeszcze ciepła. - Francis uśmiecha się zachęcająco.

- Ja piję herbatę. Kawa źle działa na cerę. - Jolanta stoi już na tarasie. Ma jednak na sobie bieliznę, ale ta zrobiła się w wodzie zupełnie przezroczysta. - Już jadłam, ale po kąpieli znowu jestem głodna.

No już, idź sobie! Sio! Trzymaj się z dala od Nicolasa!

- Woda przyjemna? - pyta mój anioł obojętnym tonem.

- Zabawnie wyszło z tą kanapą. Och, Francis, czy nie możemy zostawić jej w basenie?

Boutonniere upija nieco kawy.

- Zobaczymy, co da się zrobić. - I uśmiecha się do swojej szalonej ślicznotki. - Kolejny piękny dzień na Riwierze - rzuca, odwracając się, by spojrzeć w stronę kempingu, dzięki czemu mogę przyjrzeć się jego niemłodym już pośladkom. - Chciałbym osiedlić się tutaj, gdy przejdę na emeryturę.

Pracownicy firmy cateringowej nie zjawili się jeszcze, by uprzątnąć bufety, zasiadamy więc do śniadania, jakbyśmy nigdy nie przerywali kolacji.

- Powinniśmy zabrać się do pracy - nalega Nicolas, zając się muszem czekoladowym.

- Teraz jedziemy do Saint-Tropez - upiera się Muriel. Jej wzrok spoczywa na pustej butelce po winie. - Muszę zrobić małe zakupy.

Nie wygląda najlepiej. Trzyma głowę obiema dłońmi, jakby bała się, że jej czaszka lada moment eksploduje. W tej sytuacji praca jej nie pociąga. Chce tylko pić kawę i jeszcze więcej kawy, a potem jechać na zakupy do Saint-Tropez, albo popływać łódką, albo iść na ryby - cokolwiek, byle tylko trzymać się z dala od willi.

Ciągle myślę o spustoszeniu, jakiego narobiła na budowie. Zastanawiam się, czy nie powinniśmy skontaktować się z właścicielami sąsiedniej działki i zaproponować im odszkodowanie, pytam więc nieśmiało:

- Czy możemy porozmawiać o tym, co zaszło zeszłej nocy?

- Daj spokój! - wybucha Muriel. - Byliśmy pijani i głupi! Nie łączy nas teraz żadna braterska więź!

- Chodzi mi wyłącznie o szyby. Powinniśmy chyba za nie zapłacić, prawda?

- Ach, o tym mowa. To pewnie bogaci ludzie. Wszystko im jedno.

- Mogę z nimi porozmawiać - ofiarowuje się Nicolas - ale nie wiem, czy jesteśmy w stanie tyle wyłożyć z firmowych pieniędzy.

- Mam gdzieś te cholerne szyby - warczy Muriel. - Niech to będzie kara za... za psucie krajobrazu.

Towarzyszenie Muriel od wystawy do wystawy, by, jak twierdzi, znalazła natchnienie, jest pozbawione sensu. Dziewczyna jęczy, że powoli ślepnie, że oczy zaraz wyjdą jej z orbit, ba, cała głowa lada chwila jej odpadnie. Błaga, żebyśmy poszli do jakiegoś baru. Lynn! Nicolas! Muszę się napić! Tam jest Le Sénéquier! Idziemy! Chcę perroqueta! Perroqueta, perroqueta!

Gdy w końcu znajdujemy wolny stolik w wypełnionym ludźmi kawiarnianym ogródku, niemal rzuca się kelnerowi do gardła. Chce dwóch porcji, jak najszybciej, no, już cię nie ma!

Kelner mamrocze coś niezadowolony i odchodzi.

To miejsce, ogródek w porcie, jest legendarne. Jeden z pomników upamiętniających złote lata tego słynnego kurortu. Kelnerzy nie spieszą się tu dla nikogo, nawet dla Bardot. Bierz przykład z innych. Siedź cicho, czekaj cierpliwie na swojego drinka, a wcześniej włóż na siebie coś odpowiedniego.

- Nicolas, bądź tak dobry i poproś wszystkich, żeby przestali palić. Boże, moja głowa! Albo nie. Ja też chcę papierosa. Proszę!

Dobrze radzę - zastanówcie się dwa razy, zanim wyjdziecie kiedyś z Muriel na miasto.

Zrealizowanie naszego zamówienia zajmuje kelnerowi całą wieczność. Gdy w końcu wraca, żąda natychmiastowego uiszczenia rachunku. Uznał, że możemy sprawiać kłopoty. Nicolas podaje mu firmową kartę kredytową, a Muriel przypija się do pierwszego drinka, jakby chodziło o eliksir życia.

- Une carte de credit! Un dimanche!* - narzeka kelner. Wyjmując kartę, Nicolas przypomniał sobie zapewne stan firmowego konta, bo napomyka coś enigmatycznie o pracy.

- Nie martw się - mówi Muriel znad drugiego drinka. -Gdy wy, gołąbeczki, wygrzewacie się beztrzesko w słoneczku, ja mam tysiąc pomysłów na minutę.

- Na przykład?

W niedzielę!

- Wszystko mam tutaj. - Klepie się po głowie. - Ale teraz ból broni do nich dostępu. Później, później, nie pali się.

Gdy kelner pojawia się z odcinkiem z kasy, Muriel zamawia kolejne drinki.

Kelner znów coś mamrocze.

Co ta mała sobie wyobraża? Że jest Johnnym Hallydayem?

Jest nikim i tylko działa mu na nerwy.

- Zostaw mu spory napiwek. Podoba mi się jego podejście do klientów.

- Zdradź nam kilka ze swoich pomysłów - naciska Nicolas.

- Na przykład suknia ślubna. Olśnienie. To będzie cacko. - Znów klepie się po głowie. Wszystko jest tu, uszy do góry, nie traciliśmy jednak czasu.

- Ach, coś jeszcze. Chcę sprawić sobie nowy tatuaż - stwierdza, jakby sam ten fakt miał usprawiedliwić naszą wizytę w Saint-Tropez. - Georgio podsunął mi pewien pomysł.

- Misie? - pytam. Wybuchają śmiechem.

- Nie rób takiej miny, Nicolasiu. Uważam też, że tatuaże powinny stanowić część kolekcji. Można namalować je na skórze modelek. Tylko pomyślcie.

Nicolas kiwa głową. Coś w tym jest.

- Tatuaże haute couture, rzecz jasna. Mojego projektu.

- To może być nasz znak rozpoznawczy - dodają. - Przy zakupie sukienki Muriel B. dostaje się indywidualnie zaprojektowany wzór tatuażu sygnowany przez ciebie. Redaktorzy działów mody mieliby o czym pisać.

- Co jeszcze? - pyta Nicolas, machając na kelnera. Prosi o notes i coś do pisania, żeby móc wszystko zanotować. Co byśmy bez niego poczęły?

- Wiecie co, dokończymy tę rozmowę później - mówi nagle Muriel. - Chodźmy już. - Podnosi się niezgrabnie z krzesła.

Odwracamy głowy, żeby sprawdzić, w kogo się tak intensywnie wpatruje.

W przeciwnym rogu ogródka siedzi Francis z Jolantą. Modelka macha nam na powitanie, cała w uśmiechach. To jej pięć minut - całe Saint-Tropez widzi, że jest tu z samym Francisem Boutonniere.

- Nie bądź głupia. - Nicolas przytrzymuje ją za nadgarstek. Dziewczyna siada, ale raczej dlatego, że trudno ustać jej na nogach.

- Co jeszcze? - ponawia pytanie Nicolas. Ma wielką ochotę zmienić ten wypadek w produktywną dyskusję.

Muriel wzdycha. Na widok ojca straciła wenę.

Wokół panuje gwar, ale mimo to naszych uszu dochodzi perlisty śmiech Jolanty. Przekomarza się z naszym kelnerem. Założę się, że opowiada mu o kanapie w basenie lub musie czekoladowym, którego wczoraj nie zjadła. Cha, cha, cha.

- Ohydne - mruczy Muriel.

Kelner wraca, lawirując między stolikami. Teraz nawet się uśmiecha. Informuje nas, że monsieur Boutonniere i jego

przyjaciółka zapraszają nas do swojego stolika. Zaczyna już przekładać nasze szklanki na tacę, ale Muriel porywa z niej swojego drinka i warczy:

- On est tres bien ici. Allez-vous en! Allez!*

Spotykam wzrok Jolanty i rozkładam bezradnie ręce. Przykro nam, nie możemy się przysiąc, jesteśmy przyklejeni do swoich krzeseł, a te z kolei przyśrubowano do podłogi.

Zdziwiona, kręci głową i zwraca się do Francisa. Idą już? Dlaczego nie podchodzą? Nie rozumiem.

Macha zachęcająco ręką. Jest bardzo uparta.

A machaj sobie, machaj.

Hej, hej! Muriel! Siostrzyczko!

* * *

Le Sénéquier: odpada. Saint-Tropez: odpada. Willa: odpada.

Basen: odpada, ponieważ na brzegu suszyły się majtki Jolanty. Odpada, mimo że Muriel rzuciła je w krzaki.

Wycofałam się do swojego pokoju. Właśnie wyszłam spod prysznic. Jestem taka obolała po ostatniej nocy.

Wyglądam przez drzwi na taras. Kanapa schnie w promieniach zachodzącego słońca. Jolanta będzie niepokieszona. Z powodu majtek i, rzecz jasna, sofy. Naprawdę podobała jej się taka zatopiona. Miała wrażenie, że nurkuje nieopodal wraku.

Zerkam na moje wielkie łoże. Świeżo uprana pościel nie była jeszcze ani razu użyta. Wygląda na wygodne. Mogłabym na nim leżeć z Nicolasem. Trzymalibyśmy się za ręce i nikt by nam nie przeszkadzał.

Puk, puk.

- Można?

O wilku mowa.

- Jasne - wołam, czując się nagle dziwnie niezręcznie, jak tego dnia, kiedy pokazał mi pokój na zapleczu L'Escargot.

Tyle że teraz mamy noc na betonie. Nicolas zamyka drzwi i uśmiecha się nieśmiało. Ach! Chcę iść z nim do łóżka tu i teraz. Natychmiast!

Ale zanim mam czas mu o tym powiedzieć, już mnie przytula i namiętnie całuje, po czym podnosi delikatnie i sadza na łóżku. Nareszcie pościel będzie używana.

Przerywa na chwilę, żeby mi się przyjrzeć. Jego dłoń zaczyna majstrować przy pasku mojego szlafroka.

Cała sztywnieję.

Nicolas czuje, że coś jest nie tak. Spogląda na mnie pytająco i zauważa, że patrzę w stronę drzwi prowadzących na taras. Podąża za moim spojrzeniem i zdaje sobie sprawę, że tuż za szybą stoi zszokowana Muriel.

- Chciałam tylko zamienić słówko z Lynn - bąka zmieszana.

- Zaraz oboje przyjdziemy - odpowiada Nicolas zaskakująco spokojnym tonem.

- Fajnie - rzuca Muriel i odchodzi.

Wyślizguję się spod niego i pruderyjnym gestem przyciskam do siebie szlafrok. Siadamy na łóżku, trzymając się za ręce.

- Przepraszam - szepcze.

Nie ma za co, naprawdę, nie ma za co! Ja niczego nie żałuję.

Więc całuję go w szyję i głaszczę po policzku.

Nie ma jak seminaria wyjazdowe!

Kiedy zjawiam się w salonie, gotowa obrócić całą sytuację w żart, zastaję Muriel opatuloną zimową kurtką i Massouda wynoszącego jej bagaż do auta.

- Odwołuję tę imprezę - mówi kategorycznie. - Wracamy do Paryża.

- W tej chwili? Ale co z....

- Tak? Co z czym? - warczy.

- Z pokazem. Z pracą. Powinnaś teraz wszystko planować. Po to tu przyjechaliśmy.

- Żarty sobie stroisz? To koniec, nie ma o czym gadać.

- Z powodu mnie i Nicolasa? Co to ma wspólnego z firmą?

- To miejsce ma na nas zły wpływ. Nie czujesz niedobrych wibracji?

Marzę tylko o tym, żeby móc wrócić do swojego pokoju i z nastaniem nocy wpuścić Nicolasa do środka.

- Późno już. Nie możemy przełożyć wyjazdu na rano?

- Słyszałaś, Lynn. Seminarium skończone. Cholera!

Wkrótce znów jesteśmy na autostradzie i kierujemy się na północ. Ledwo zostawiamy za sobą wybrzeże, niebo zasnuwa się chmurami.

Spoglądam na Muriel.

Siedzi naburmuszona i wygląda przez okno. Gdy mijamy stację benzynową, tę, na której zawsze staje, zauważam, że wykręca szyję, żeby jak najdłużej nie spuszczać jej z oczu.

Budzę się w paryskim korku.

Widok wieży Eiffla o czymś mi przypomina: w Paryżu czyha na mnie Barclay!

- Chrapiesz - mówi Muriel. Tyle ma mi do powiedzenia. Ale przynajmniej się przy tym uśmiecha. Sądzę, że już jej trochę przeszło.

- Naprawdę chrapiesz - potwierdza Nicolas. To upokarzające!

- Czujecie? - pyta Muriel.

- Co takiego?

- Lepsze wibracje. Jesteśmy dorośli, wszystko da się naprawić.

- A co tu naprawiać? - dziwię się.

- Po tym, co zdarzyło się na Riwierze... - Muriel kręci głową.

- Nie rozstawajmy się tak od razu, dobrze? Czułabym się dziwnie. Co ty na to, Nicolasie?

- Dobrze - odpowiada i spogląda na mnie. Zostańmy na nowo przyjaciółmi dzięki pozytywnym wibracjom.

- Pojedźmy do mnie - rzuca Muriel.

Wzruszam ramionami. Nie mam do tego głowy. Myślę tylko o tym, kiedy Hubert mnie znajdzie. Mam wrażenie, że pochłania mnie powoli ogromny cień. Dlatego postanawiam działać.

Żadnego imprezowania! Żadnego rozkoszowania się Nicolasem! Wpierw muszę załatwić sprawę Hubiego raz na zawsze.

- Nie mogę być z wami dziś wieczór - mówię zatem. - Mam, hm, pewne plany.

Nie daję dojść Muriel do słowa. Wychylam głowę zza siedzenia kierowcy i proszę Massouda, żeby podjechał pod mój hotel. Gdy odzwierny otwiera przede mną drzwiczki, Muriel wciska mi w zaciśniętą dłoń swojego plastikowego jeża.

- Zatrzymaj go. To co, sztama?

- Sztama.

Muriel całuje mnie niespodziewanie w usta.

- Lubię cię! - woła na pożegnanie i już ich nie ma. Stojąc samotnie na podejździe z jeżem w jednej i torbą Adidasa w drugiej dłoni, patrzę na zasmuconą twarz Nicolasa w tylnej szybie limuzyny.

Nie idę prosto do swojego pokoju, o nie. Włączam swój nowy telefon komórkowy. Mimo menu po francusku, udaje mi się znaleźć funkcję „oddzwoń”.

- Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć - mówię w słuchawkę, zanim Barclay ma szansę się odezwać.

- Przyślę Dave'a.

- Nie, nie chcę kolejnej romantycznej pułapki.

- Jakiej pułapki?

- Będę zaraz u ciebie. Tylko nic nie planuj!

- Dobrze. Czy wszystko...

- Podaj mi swój adres.

Zapisuję go i od razu się rozłączam. Bądź silna! Tym razem uda ci się z nim zerwać!

Krok szesnasty:

Nie przywiązuj się zbyt do przystojniaka

Taksówka staje przed budynkiem, w którym mieszka Hubi. Płacę i zostaję sama na ulicy, nie wiedząc, co począć. Czuję na skórze pierwsze krople mżawki.

Przechodzę przez jezdnię i wciskam inicjały H.B. na domofonie. Jest w nim zainstalowana niewielka kamera.

- Zapraszam - odzywa się Hubert.

- Które to piętro?

Postanawiam pobawić się we wróżby. Liczby nieparzyste - wszystko będzie dobrze. Parzyste - znów pójdzie coś nie tak.

- Drugie.

- Tak myślałam.

Wspinam się wolno po schodach. Drzwi do mieszkania są otwarte. Słyszę Barclaya. Nie jest sam. Rozmawia z jakąś kobietą i choć nie rozumiem poszczególnych słów, jej głos wydaje mi się przerażająco znajomy.

- No, jesteś - Hubert wita mnie zabójczym uśmiechem. - Marion właśnie przyjechała. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

- Co za Marion?

Przechodzę do salonu i nie potrzebuję już odpowiedzi. Muszę usiąść. Znam jej głos, bo i kto go nie zna. W całym cywilizowanym świecie. Nie wiedziałam tylko, że przyjaciele nazywają ją Marion.

- Znaie się? - pyta Hubert. - Myślę, że tak. Marion, na pewno znasz już Lynn.

- Jesteś córką Jodie, prawda? - pyta gwiazda.

Ona mnie zna! Ona mnie zna! Jakim cudem?! Nie mogłam przecież zapomnieć takiego spotkania i nie wierzę, żeby Jodie coś jej o mnie wspominała.

- Tak, zgadza się - bełkoczę.

Wyciąga ku mnie dłoń. Dyskretnie wycieram własną o sukienkę i podajemy sobie ręce.

Błagam, Lynn, tylko nie zrób z siebie kompletnej idiotki. Nie mów „jestem pani największą fanką” ani „uwielbiam pani piosenki”, ani nie pytaj, czy joga naprawdę pomaga na wszystko.

- Musiałyśmy bywać na tych samych imprezach - kłamię, bo Jodie nigdzie mnie nie zabiera. Kiedy ma kaprys pobycć czasem z córką, woli zamykać mnie w swoim niesamowitym apartamencie na ostatnim piętrze nowojorskiego wieżowca.

- Jestem wielką fanką Jodie - wyznaje. - Zaprojektowała jedno z moich ulubionych kreacji.

Kiwam głową, jakby to o mnie chodziło.

Hubert pyta, czy chcemy czegoś do picia. Marion prosi o dolewkę gazowanej mineralnej i nie ośmielam się zaproponować czegoś innego. Jaka szkoda, że nikt nie poda mi setki wódki. Albo czegoś jeszcze mocniejszego.

Gwiazda przeprasza nas na chwilę i idzie do... Tak, idzie do toalety. Boże. Nie pyta nawet, gdzie ją znaleźć, taka jest tu zadomowiona. Mmm...

Barclay podaje mi moją wodę.

- Wiem, że chciałaś porozmawiać, ale Marion jest teraz dość ciężko i potrzebowała się wygadać.

- Oczywiście, oczywiście.

- Trzeba ją gdzieś wyciągnąć, niech się rozerwie.

- Oczywiście, rozumiem.

- Myślałem o Mean Ray. Tylko nas troje. To jej dobrze zrobi.

Biedna Marion, przygnębiona i zagubiona, z własnymi problemami w życiu uczuciowym...

- Dziennikarze nie chcą się od niej odczepić, odkąd... No wiesz. Straszny skandal.

Patrzy na mnie znacząco. Nie mam pojęcia, o czym mowa, ale kiwam głową ze zrozumieniem.

- Nie masz nic przeciwko, prawda?

- Cóż... - Przypominam sobie, po co tu jestem, ale do pokoju wraca akurat Marion.

- Mean Ray? - pyta mnie. - Naprawdę, nie chcę się narzucać. Hubert patrzy na mnie z uśmiechem. Jeśli odwzajemnię uśmiech, oznaczać to będzie zgodę. Zapomnimy o rozstaniu, zabawimy się, pójdziemy do łóżka. Jeśli jednak zacznę więc się w konwulsjach i toczyć pianę z ust, widzi mnie po raz ostatni w życiu.

Uśmiecham się niepewnie.

- No to co, idziemy?

Co, już? Nie wypiliśmy jeszcze wody!

Gwiazda dzwoni do kogoś z komórki i rzuca zimno:

- Schodzimy. - Tylko tyle. Jakby mówiła do komputera.

- Paul już jedzie.

Paul? Co znowu za Paul? Paul McCartney? Paul Simon?

- Mój kierowca - tłumaczy mi Marion. Ach, ten Paul!

* * *

Żadnych kolejek, żadnego czekania, żadnego wysiłku. Nie musimy nic mówić ani nawet chodzić. Suniemy niczym poduszkowce, drzwi same się przed nami otwierają, mijamy ludzi obojętnie niczym trzy duchy. Jesteśmy niedotykalni. Każdy dałby się pokroić, żeby do nas dołączyć. Oto jak ważne z nas figury.

Siadamy w części dla VIP-ów, a kelner przynosi nam wodę mineralną i trzy kieliszki. Czytają w naszych myślach.

Hubert zamawia dwie Krwawe Mary. Marion woli wodę.

Rozmawiamy o londyńskim rynku nieruchomości, popijając drinki, i po pewnym czasie gwiazda pyta mnie, czy mogę iść z nią do toalety.

Mam iść z Marion do toalety!

- Jasne - mówię, wstając. Hubi klepie mnie po pupie i nie mogę nawet warknąć, żeby trzymał łapy przy sobie, bo muszę dbać o dobre samopoczucie biednej Marion.

Czuję na sobie oczy wszystkich gości, kiedy idziemy przez salę. Zżera ich zazdrość.

- Przepraszam. - Za co?

- Że się wam narzucam. Macie swoje prywatne sprawy.

- No tak, ale za to mam okazję iść do ubikacji z taką sławą jak ty.

Oj!- Podoba mi się twoje poczucie humoru. - Nie obraziła się. W toalecie trwa alternatywna, huczna impreza. Dopiero tu jest się w sercu wydarzeń i nie chodzi mi tylko o ubijanie interesów. To miejsce, w którym odzyskuje się panowanie nad sobą.

- To wspaniały facet, zazdrościsz ci - mówi Marion, siedząc w swojej kabinie.

- W takim razie nie tylko mi, ale całej jego książce adresowej.

- Nigdy nie przedstawił mnie żadnej z tamtych dziewczyn. Musisz być dla niego kimś wyjątkowym.

Przed lustrem zastajemy młodą boginię, zapewne modelkę. Na widok gwiazdy usuwa się grzecznie na bok. Królowa popu nagradza ją uśmiechem.

Bo i czego by się nie zrobiło, by zasłużyć sobie na ten uśmiech!

- Hubert trzyma swoje przyjaciółki z dala od znajomych. - Marion wyjmuje z torebki buteleczkę i połyka wyjętą z niej pigułkę. Potem przemywa twarz zimną wodą. - Dlatego właśnie ci zazdrościsz - kończy, przyglądając się swojemu odbiciu.

- Przepraszam, że przeszkadzam - mówi z francuskim akcentem młoda bogini - ale chciałam tylko powiedzieć, że ubóstwiam pani piosenki.

- Dziękuję - odpowiada uprzejmie gwiazda.

- To ja dziękuję. Jest pani taka łaskawa. - Dziewczyna odchodzi zachwycona. Ludzie są wdzięczni Marion nawet za to, że przyjmuje ich komplementy. Trudno w to uwierzyć.

- Hubert to szczęściarz. Nie znam ciebie, ale wydajesz mi się naprawdę sympatyczną osobą. I z tego, co widzę, on też tak uważa.

Może i taka byłam, ale Paryż zmienił mnie w potwora. Kłamie! Zwodzę! Oszukuję! Nie panuję nad sobą!

- Wszystko w porządku? - Widocznie moja mina zdradza, co o sobie myślę.

- Mogę mieć tylko nadzieję, że się nie mylisz.

- Wierz mi, bije od ciebie życzliwość i uczciwość.

Gdy wracamy do stolika, Barclay nie jest sam. Dołączyła do niego Muriel. Na jej widok przechodzą mnie ciarki.

- Myślałam, że masz „pewne plany”. - Dziewczyna śmieje się zjadliwie. - Ach! Rozumiem! - Spogląda na Huberta. - To on jest „twoimi planami”. Nie ma co, nie marnujesz czasu!

To nie dzieje się naprawdę! Siadam, usiłując zachować spokój.

- Przyszłaś z Nicolasem? - pytam niby od niechcienia, ale nie dostaję odpowiedzi.

Muriel tymczasem rozsiada się wygodnie na kanapce, próbuje mnie objąć, nie udaje jej się i łąduje na stole, strącając nasze drinki. Pomagam się jej podnieść.

- Cześć, Marion! - woła, uświadomiwszy sobie, kto nam towarzyszy.

- Witaj, kochanie. Jak się miewa tata?

- Mój ojciec?

- Co u niego?

- Wszystko OK.

Już się nie uśmiecha. Kiedy przypomina sobie, czyją jest córką, natychmiast trzeźwieje.

- Czas na mnie - mamrocze pod nosem, zrywa się i odchodzi. „Tata” to tajemne zaklęcie, które zmienia ją w zombi.

- Pozdrów go ode mnie, proszę - woła za nią Marion. Chcę dogonić Muriel, ale Barclay mnie powstrzymuje.

- Nic jej nie będzie - mówi z przekonaniem w głosie.

Zaczynam dyskretnie się rozglądać. Na parkiecie tanecznym i przy barze na pewno go nie ma, mimo to wołałabym wejść pod stół.

Z tłumu wylania się młody przystojniak. Nosi okulary, ale wygląda na zawadiakę. Bez wahania przysiadła się do Marion.

- Powiedzieli mi, że przyszedł - zaczyna obcesowo - ale myślałam, że mnie nabierają. Wiem przecież, że nie ruszasz się z domu. Siedzisz zamknięta w swoim cholernym pałacu w Londynie. - Spogląda w naszą stronę. - Ach! Cześć, Hubi.

- Joe, poznaj...

- Twoją kolejną łaskę, dzięki. - Wraca do rozmowy z Marion.
- Brakowało nam ciebie.

- Mnie też was brakowało. - Przytulają się na powitanie. Zaraz, zaraz. To nie jest jakiś tam Joe. To Joe Tip, ten słynny aktor!

- Jest właścicielem tego lokalu - wyjaśnia mi Hubi.

- Marion! Marion, można?

Podnosimy głowy. Przy stoliku stoi kobieta, z aparatem gotowym już do strzału.

- Znam ją. Jest w porządku.

Joe i Marion nieruchomieją w eleganckiej pozie. Patrzą prosto w obiektyw. Dałabym głowę sobie uciąć, że wciągnęli policzki. Oboje wyglądają doskonale. Potrafię wyobrazić sobie to zdjęcie w czasopiśmie. Fotoreporterka powtarza ujęcie kilkakrotnie i pyta:

- Można, Hubercie?

Barclay kiwa głową i bierze mnie za rękę. Pstryk, pstryk, pstryk. Hubert Barclay z przyjaciółką. Cholera, nie wciągnęłam policzków!

- Zatrudniłem nowego kucharza - informuje nas Joe. - Przyjechał z... jak mu tam... jednego z tych azjatyckich kraików. Mówię wam, pycha.

- Wczoraj próbowałam potraw kuchni syberyjskiej - mówi Marion. - Tak, myślę, że to była Syberia.

- Świetne żarcie.

- Hej! - krzyczy ktoś z tłumu. - Qu'est ce que tu fais ?, princesse?*

Moi? Princesse?

Odwracam się. O nie, to Marc! W dodatku zalany w trupa. Albo naćpany. Albo jedno i drugie.

- To tylko kolega z pracy - wyjaśniam Hubertowi. Jestem przerażona. Nie wiem, gdzie się schować.

- Znasz tego gościa? - dopytuje się Joe.

- Ach! - Marc zauważa Marion. - Jestem twym wyznawcą, pani! - bełkocze.

Gwiazda odwraca głowę. Zepsuł jej dobry humor.

- Spadaj, Marc - wołam, z miejsca żalując swego zachowania. Nim mogę go przeprosić, wyciąga go na zewnątrz dwóch bramkarzy.

Hubert obejmuje mnie ramieniem.

- Nic mu nie będzie. Wsadzą go tylko do taksówki.

- Hej, kolego! - Tipa coś zaniepokoiło. - Mama cię nie uczyła, że nie wolno się gapić na ludzi? Cholera jasna, kto tu wpuścił tyle hołoty?!

Co takiego?

Kto się gapi? Gdzie?

Boże, tylko nie on! To Nicolas!

Stoi nieopodal, wpatrując się we mnie i w obejmującego mnie Huberta.

Joe przyzywa ręką ochronę.

- W porządku. To człowiek Muriel.

- Jakiej Muriel?

- Muriel B.

- Córki Boutonniere'a - wyjaśnia Marion. - Tej, co się tak spiła.

Wyraźnie coraz mniej się jej tu podoba. Do naszego stolika podchodzi kelner.

- Jego też znasz? - pyta ironicznie Joe. - Znasz wszystkich szajbusów, którzy przychodzą do mojego klubu?

Nicolas robi krok naprzód. Wygląda na zupełnie zbitego z tropu.

- Pracujemy razem. Jest bardzo miły. Tip drapie się po brodzie.

- Przynieś mu coś do picia - rzuca do kelnera. - Sorry, stary - woła do Nicolasa. - Miałem cię przez chwilę za jakiegoś maniaka.

- Jest zbyt piękny, żeby być maniakiem - mówi królowa popu. Czuję, że Hubert sztywnieje.

- To co, przysiądziesz się? Czego się napijesz? Ja stawiam - zaprasza Tip.

Co za niezręczna sytuacja.

- Czego się pan napije? - pyta Nicolasa kelner. - Co?

- Czego się pan napije? Nicolas kręci głową.

- Nie wiem, co kombinujesz - rzuca w moim kierunku i odchodzi.

- No, no - śmieje się Joe. - Ktoś ma coś za uszami.

- To u niego w mieszkaniu byłaś wtedy wieczorem? - pyta Hubert.

Dobra!

Najwyższy czas wyparować lub włożyć czapkę niewidkę i spędzić resztę życia na bezludnej wyspie.

Nie odpowiadam, tylko wstaję i idę za Nicolasem. Słyszę jeszcze za sobą głos Marion:

- Biję od niej... - ale koniec zdania ginie w gwarze. Wychodzę na ulicę. Tam go nie ma.

- Nicolas! Czekam.

- Nicolas! - próbuję rozpaczliwie jeszcze raz.

- Ça suffit! - woła jeden z bramkarzy. - est parti, votre Nicolas*.

- Il est parti? - powtarzam.

- Parti. Pojechał. Nie ma go.

- Pojechał?

Miłość mojego życia odjechała mi sprzed nosa.

* * *

Nic nie idzie po mojej myśli. Ani z Hubertem, ani z Nicolasem. Na mojej liście została jeszcze tylko jedna osoba. Dzwonię właśnie do jej drzwi.

- Czego chcesz? - Otwiera Karolina. Nadal jest obrażona, że nie pojechała z nami na Riwierę.

- Cześć - zaczynam, jakbym miała w zwyczaju wpadać do nich w środku nocy. - Muszę widzieć się z Muriel.

- Muriel śpi - zatraskuje drzwi. Dzwonię i dzwonię.

Otwiera.

- Mais t'es folle, toi!*

- Muszę widzieć się z Muriel. Ehm... besoin! Muriel.

- Chcesz ją obudzić? Proszę bardzo! - Wpuszcza mnie do środka. - Elle va te tuer*, cha, cha. - Nie może się doczekać.

Muriel leży na łóżku w ubraniu, w którym była wcześniej w Mean Ray, wtulona w kołdrę. Podchodzę bliżej. Oj, nadeptuję coś szeleszczącego. Na podłodze leży kilka kartek. Podnoszę jedną z nich. Widnieje na niej szkic kobiety z olbrzymim pajakiem nad głową. Muriel pewnie rysowała przed zaśnięciem.

Karolina zrzuca z siebie jedwabne kimono i zupełnie naga wsuwa się pod kołdrę. Odwraca się do mnie plecami. A niech cię Muriel zabije. Ja śpię. Umywam ręce.

- Muriel? - próbuję.

Dziewczyna coś mamrocze, obraca się i chowa twarz w kołdrze. Przepraszamy, abonent czasowo niedostępny.

- Muriel? To ja, Lynn. - Klepię ją po ramieniu i cofam się na wszelki wypadek. - Muriel? Obudź się!

- Zabije cię - mruczy Karolina tonem znawcy. Wyjmuję komórkę i dzwonię.

Telefon Muriel zaczyna brzęczeć. Jest gdzieś w łóżku. Dziewczyna szuka go odruchowo w półśnie.

- Czego? - wrzeszczy do słuchawki z zamkniętymi oczami.

- To ja, Lynn. -Co?

- Stoję obok. Obudź się, proszę. - Co?

- Na miłość boską, otwórz oczy!

Otwiera. Rzeczywiście, jestem. Dzwonię właśnie do kogoś, kto leży dwa metry dalej.

Nie chce nic wiedzieć. RzUCA we mnie komórką.

- Co tu robisz, u diabła?!

- Uprzedzałam - wtrąca Karolina.

- Xavier Urbain zaproponował mi posadę. - Co?

- Zaoferował mi pensję, na którą nigdy nie byłoby cię stać.

Ale mam zamiar mu odmówić.

Nie jestem pewna, czy rozumie, co do niej mówię. Usiłuje wygrzebać się spod kołdry i chwytą budzik.

- Wiesz, która godzina?!

- Postanowiłam, że nie chcę też pracować dla ciebie. Muriel ciska budzikiem o szafkę nocną.

- Zaraz, po kolei.

- Oszukałam cię.

- Co?

- Oszukiwałam was wszystkich. Myślicie, że jestem kimś innym.

Muriel rozgląda się skołowana. Usiłuje ustalić, gdzie właściwie się znajduje.

- To ty ją wpuściłaś? - pyta Karolinę. Modelka chowa się pod kołdrę.

- Muriel, czy coś do ciebie dotarło z tego, co powiedziałam?

- Naćpałaś się czy co?

- Posłuchaj. Nie nadaję się do tej pracy. Nie jestem Jodie. Oszukuję was. Cały czas kłamię jak najęta. Nie wiem, co ja właściwie tu robię. Jestem nikim!

Zapada cisza.

- Jesteś na kokainie, prawda?

- Muriel, nie brałam żadnych narkotyków! Po prostu nie jestem tą osobą, której się spodziewaliście!

- Czy nie możemy pogadać o tym później, kiedy już ochłoniesz, a ja się trochę prześpię?

- Nie nadaję się do tej pracy. Wracam do Nowego Jorku. Cisza.

- Hmm?

Muriel oddycha głęboko. Budzenie się nie jest najwyraźniej jej mocną stroną, za to sen jedynym schronieniem. Rozglądam się po pokoju. Tu też ma Buddę, nieco mniejszego niż u siebie w biurze. Kamienna twarz wpatruje się we mnie, oszołomiona tym, co właśnie powiedziałam.

A więc wracasz, zdaje się mówić. Ech! Frajerka!

- Wyjeżdżasz? - Tak.

- Zostawiasz mnie?

Chcę powiedzieć o sobie coś strasznego, żeby nie żałowała zbytnio, że wracam do Stanów, ale muszę walczyć z ciszącymi się do oczu łzami.

- Zostawiasz mnie, tak? Dobra! - Ściąga kołdrę z Karoliny i kopie ją bezceremonialnie w tyłek. - Wynocha! Ale to już!

- Ale... to nie moja wina! Mówiłam jej, żeby cię nie budziła!

- Sio! Już cię nie ma!

Karolina mamrocze coś o tym, że przeze mnie są same kłopoty, podnosi z ziemi kimono i miga hebanową pupą na pożegnanie.

- Nie zapomnij zamknąć!

- Pójdę spać do Ireny i Jackie! - grozi i trzaska drzwiami.

- Wskakuj! - rozkazuje Muriel, odchylając kołdrę.

- Nie sądzę, żeby... -Włóż!

Siadam niepewnie na brzegu łóżka. Dziewczyna przyciąga mnie do siebie i narzuca na nas kołdrę.

Nic nie widzę. Hop, hop! Jest tu kto? Niemal wyskakuję na dywan, gdy Muriel wreszcie się odzywa.

- Lynn? - Tak? Cisza.

- Płaczesz?

- Nie - kłamię.

- Mam gdzieś to, kim jesteś i kim, jak twierdzisz, nie jesteś - szepcze. Mówi tak cicho, że zdaje się, że to tylko krople deszczu uderzają o drewno. - Wczoraj...

- Co wczoraj?

- No wiesz. Tam. - Oczy przyzwyczajają mi się powoli do ciemności. Widzę kontury twarzy, jej oczy, poruszające się usta.

- To, co wtedy zrobiłaś.

Cisza.

- Lynn? -Tak?

- Dałabym wszystko, żebyś znowu mnie tak tuliła. Milczę.

- Tyle że to już nie będzie to. Bo wtedy byliśmy... tam. Nie odzywam się.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Tłukłaś te szyby - chlipię, wycierając oczy. - Byłaś w strasznym stanie.

- Nikogo to nigdy nie obchodziło. No cóż, mnie tak, nie wiedzieć czemu.

- Lynn, to, co jest między nami... Nie chodzi tylko o pracę, prawda?

Milczę.

- Możesz już iść.

Tak bardzo chciałabym zostać, Muriel. Dopiero teraz czuję, że żyję. Właśnie tu chcę być, tu, pod kołdrą, i rozmawiać z najbardziej fascynującą dziewczyną na świecie. Nie chcę wyjeżdżać, nie chcę, naprawdę, ale nigdy nie zbiorę się na odwagę, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Potrzebuję cię, Lynn.

- Przestań już, proszę. Muszę wyjechać. Cisza.

- Lynn? -Tak?

- Chodzi o Nicolasa, prawda?

Nie, nie, nie chcę o nim teraz rozmawiać!

- Boże... Muriel, co ja najlepszego narobiłam?

Nie mogę się dłużej powstrzymać. Tak bardzo się starałam, ale starczyło to jedno pytanie... Rozklejam się zupełnie. Chcę umrzeć.

- Wszystko da się naprawić, kochanie. Słyszysz? Chwyta mnie za rękę.

- Lynn? -Tak?

- Nie martw się. Wybacz ci, zobaczysz.

RS

Krok siedemnasty:

To, co inni myślą na twój temat, jest bez znaczenia. No, chyba że pracują dla Vanity Fair

Dobry Boże, Stworzycielu Nieba i Ziemi, błagam, prze-mień mnie w pył i pozwól ulecieć z wiatrem! Jestem w jego biurze.

Nicolasie, tak mi wstyd. To Muriel zmusiła mnie do tej wizyty. Mam ci opowiedzieć o spotkaniu z Xavierem Urbain. I to właśnie staram się robić, choć słowa z trudem przechodzą mi przez gardło. Ale wiedz, że tak naprawdę pragnę rzucić się do twych stóp i błagać cię o wybaczenie.

Zbieram się na odwagę i patrzę mu w twarz. Najwyraźniej wcale mnie nie słucha. Bada stan nieba za oknem, kolor ścian i gładkość biurka. Byle tylko unikać mojego wzroku.

- Najpierw ta afera z Fran Wellish, a teraz to! - podsumowuje mój wywód Muriel.

- Co za afera z Fran Wellish? - pytam.

- Nicolas nic ci nie mówił?

- Nie... nie rozmawialiśmy zbyt wiele o pracy. Ostatnio.

- Zaprosiliśmy sukę do Paryża. Chcieliśmy pokryć wszystkie koszty. No wiesz - Muriel wskazuje na mnie. - I nagle przestała się z nami kontaktować. Nie odbierała nawet moich telefonów. A wczoraj okazało się, że zatrudnił ją Urbain i kobieta nie chce mieć już z nami nic do czynienia!

Och, Muriel! Nie widziałaś, jakie sumy on proponuje!

- Rozumiesz? To wojna! A ten grubas ją wygrywa! Nicolas, co z tobą? - Jej tatuaże zmieniają z wolna kolor z czarnego na czerwony.

- Ja też miałem przyjemność spotkać się z panem Urbain - mówi Nicolas oschłym tonem. - Zaproponował mi intratne stanowisko.

Muriel ma ochotę coś wrzasnąć, ale milknie z wrażenia. Siada na podłodze i czeka na więcej rewelacji.

- Miałem - ciągnie Nicolas - natychmiast zrezygnować z pracy u ciebie i zerwać z tobą wszelkie stosunki.

- Ciebie też usiłowali zwerbować? Kiwa głową.

- Dlaczego nic nie mówiłeś?

- Prawdę mówiąc, zastanawiałem się nad przyjęciem tej propozycji.

Mógłby równie dobrze ją spoliczkować!

- Ty świniu!

- Mimo to postanowiłem zostać. - Spogląda na mnie. - Lubilem nasz zespół. Wierzyłem w nas. Ufałem... nam. Ale teraz...

- Przepraszam - szepczę.

Muriel wali pięścią w stół i wracamy na ziemię. Jeszcze przed chwilą przeżywaliśmy na nowo scenę z Mean Ray.

- Posłuchajcie mnie oboje uważnie. Nie obchodzi mnie to, kto z kim sypia. To jest poważna firma, a nie agencja matrymonialna! Nicolas, jesteś ze mną od początku i zostaniesz przy mnie do końca, zrozumiano?

Nicolas wzrusza tylko ramionami, rozsiada się wygodniej i kontynuuje analizę stanu nieba, niczym zapalony meteorolog.

- Teraz muszę rozmówić się z nim sam na sam - informuje mnie Muriel.

A nie miałaś go przypadkiem prosić w moim imieniu o przebaczenie?

Dziewczyna patrzy na mnie, jakby chciała dodać coś miłego, ale zamiast tego oświadcza:

- Lynn, jeśli spróbujesz się wymknąć do Stanów, znajdę cię, pamiętaj. Znajdę i zabiję!

* * *

Jestem w atelier. Dostrzegam Marca i podchodzę bliżej.

- Marc, tak mi przykro za wczoraj. Błagam, błagam, wybacz mi!

- Dlaczego?

- No wiesz, za to, co się wydarzyło w Mean Ray.

- To ja byłem też w Mean Ray? Kurczę, nic nie pamiętam! Opowiadam mu, jak wpadł na królową popu. Gwiżdże.

- Nie mów! I co? Dałem plamę?

- Hm... Okazałeś jej dużo entuzjazmu...

- Boże, nie! Nigdy więcej nie wezmę alkoholu do ust! Wstąpię do zakonu! Marc zakonnikiem?

- Co się tam dzieje? - wskazuje na gabinet Nicolasa. - Strach przejść.

- Omawiają przyszłość firmy.

- Rozumiem. Finanse. - Kładzie palec na ustach. - Temat tabu. Kiwam głową i zerkam na tkaninę, którą się zajmuje. To metaliczna siatka usiana srebrnymi perełkami.

- Nad czym teraz siedzisz?

Podnosi kilka leżących nieopodal szkiców.

- Dostałem to dziś rano. To suknia ślubna. Widzisz, jest jak pajęcza sieć.

To rysunki, które widziałam w nocy na podłodze sypialni Muriel.

- Muriel pracuje inaczej niż wszyscy. Zwykły szkic jej nie wystarcza. Musi mieć kilka, pod różnym kątem. W ten sposób odnosi się wrażenie, jakby sukienka już istniała.

Obraca kartki i stwierdzam, że ma rację. Potrafię teraz wyobrazić sobie projekt ze wszystkich stron, z najmniejszymi detalami.

- To chyba trochę zbyt obrzydliwe jak na suknię ślubną, nie uważasz?

Patrzy na mnie, jakbym spadła z księżyca.

- Nie łapiesz symboli? Panna młoda złapała męża. Jest bogaty. Widzisz te perły? To forsa. Same symbole. Muriel jest genialna.

- I bardzo cyniczna.

- Popatrz na kapelusz. Ten to dopiero jest cyniczny. Panna młoda ma na głowie olbrzymiego czarnego pająka.

Więzi ją w swojej sieci, przytrzymuje nogami.

- A więc nie ona jest pajakiem, tylko instytucja małżeństwa - zgaduję. - Dziewczyna jest ofiarą, którą skusiły perły.

Dzięki projektowi można czytać Muriel w myślach. Sprytnie to pomyślane, a jednocześnie mrocznie piękne.

- Tak. Sądzę, że masz rację.

W pokoju Nicolasa słychać jakieś zamieszanie. Marc podnosi głowę.

Najwyraźniej nie tak łatwo jest mi wybaczyć.

- Ha! Pieniądze! - wzdycha Marc. - Lepiej o nich tu nie wspominać. Powodzenia, ma chérie.*

* * *

Wybiła właśnie piąta. To najdłuższy dzień w moim życiu. Od rana nie zajmuję się niczym prócz śledzenia wskazówek zegara i czekania, aż jedno z dwojga wezwie mnie wreszcie do gabinetu.

Za drzwiami nadal trwa dzika kłótnia. Catherine kursuje w tę i z powrotem, donosząc im jedzenie, napoje i dokumenty.

Przydałby jej się kask lub hełm.

Czekam i czekam, wpatrując się w ten cholerny zegar. Tik-tak, tik-tak, tik-tak...

Wychodzę na idiotkę. Wszyscy już zauważyli, że firma nie ma ze mnie żadnego pożytku.

No, może nie do końca, moi drodzy.

Jedno na pewno mi się udało.

Przewróciłam tu wszystko do góry nogami w zaledwie parę dni. Och!

Drzwi się otwierają.

Staje w nich Muriel. Patrzy na mnie. Wygląda na wyczerpaną. Włosy ma w nieładzie. Wstaję i podchodzę bliżej. Wydaje się zaskoczona moim widokiem.

- Nie, Lynn, nie teraz - macha ręką i odchodzi. Ale przecież...

Pojawia się Nicolas i zaprasza mnie gestem do środka. Ty tam! Na dywanik! Natychmiast! Zamyka za nami drzwi.

- Bardzo żałuję, że masz przeze mnie same kłopoty - zaczynam.

- Tak, tak, już mówiłaś. Usiądź. - Czuję się jak wagarowicz w gabinecie dyrektora szkoły. - Muriel pragnie ci zaproponować posadę asystentki do spraw public relations.

- Asystentki?

A co się stało ze „specjalistką”?

Nicolas przesuwa w moją stronę kartonową teczkę. Podnoszę ją. Jest zaskakująco lekka.

- Możesz zwrócić to Catherine lub Muriel - mówi. - Przeczytaj tylko wszystko dokładnie i podpisz każdą stronę. Na twoje szczęście, całość jest po angielsku.

Otwieram teczkę i przyglądam się najkrótszemu kontraktowi w historii ludzkości. Liczy sobie zaledwie cztery strony.

- Na początku czeka cię trzymiesięczny okres próbny. W czasie jego trwania Muriel ma prawo zwolnić cię z dnia na dzień.

- Nicolas, nie musisz się tak zachowywać. Przygotował wcześniej listę i teraz, mówiąc, odhacza punkt po punkcie.

- Proponowane wynagrodzenie wynosi trzydzieści tysięcy euro rocznie.

Stawia znaczek przy zapisanej wcześniej liczbie.

- Będiesz tak gadał do kartki czy zaczniesz ze mną rozmawiać?

- Firma udzieli ci pomocy w znalezieniu mieszkania, a także w załatwieniu pozwolenia na pracę i otwarciu konta.

Skreśla kolejne trzy punkty.

Pochyłam się nad biurkiem i odsuwam listę na bok.

- Wysłuchasz mnie?

Nicolas sięga po swój notatnik i przesuwa go na miejsce. Potem patrzy mi w oczy. Jego własne zieją nienawiścią.

- Wiem, że popełniłam błąd.

- Oczywiście. Jakież pytania? Co do kontraktu, rzecz jasna?

- Nienawidzisz mnie?

Zamyka notatnik. Nie potrzebuje czasu do namysłu, żeby odpowiedzieć na to pytanie. Odpowiedź ma już gotową i płynie ona prosto z serca:

- Twoja osoba jest mi zupełnie obojętna.
- Tak nie może być! Będziemy razem pracować!
- Wcale nie zamierzam z tobą pracować. Nie chcę cię widzieć.

Nie chcę nawet słyszeć, jak inni o tobie rozmawiają. Nie chcę mieć z tobą nic do czynienia.

Słyszeliście to, co ja? Trach!

To moje serce pękło.

- Odchodzę - kończy Nicolas. - Muriel przyjęła ode mnie rezygnację.

* * *

Będę szła i szła, aż dojdę do Sekwany, a wtedy się utopię.

„Wszystko da się naprawić”. „Wybacz ci”. Ha!

Umieram z głodu. Jeśli chcesz zrzucić ze cztery kilo, nie przechodź na jakąś chorą dietę z ograniczaniem ilości spożywanych węglowodanów. Zaczynj pracować we Francji. Efekt murowany.

Kupuję falafell w jakiejś budce i siadam przy ulicznym stoliku. Otwieram teczkę z kontraktem i zaczynam czytać. Odechciewa mi się po kilku pierwszych liniijkach. Po co to w ogóle czytać?

Po co właściwie wracać do biura?

Nicolas odchodzi. Nienawidzi mnie!

Falafel zalega w żołądku. Nawet trawienie mi dziś nie wychodzi.

Wracam do hotelu.

Stwierdzicie zapewne, że jestem paranoiczką, bo waham się przed poproszeniem o klucz w recepcji, ale w końcu asyistentkom nie funduje się luksusowych hoteli. Kto wie, może Nicolas kazał im przez telefon wyrzucić moje rzeczy na ulicę. Asyistentki powinny umieć znaleźć sobie dach nad głową!

- Ktoś zostawił dla pani wiadomość, panno Blanchett. Recepcjonista wręcza mi kartę magnetyczną i niewielką kopertę. W środku znajduje się karteczka z napisem: „Hej! Hubert”. Pięknie.

- Coś jeszcze? - pytam z nadzieją. Tak bardzo potrzebuję czegoś, co mogłoby mnie pocieszyć.

- Nie. To już wszystko, proszę pani.

Powłócząc nogami, ruszam w kierunku windy. Jestem wykończona. Kategorycznie odmawiam dalszego rozmyślania. Inaczej wpędzę się do grobu. Wiem, że jeśli przyjmę to wszystko do wiadomości, stracę przytomność i będę miała zapaść. Staram się skupić wyłącznie na oddychaniu.

Wchodząc do pokoju, zatykam dłonią usta, żeby nie krzyknąć. Ktoś tu jest! Ale już po chwili widzę, że to nie człowiek, tylko kwiaty. Na środku, koło łóżka, stoi gigantyczny bukiet. Przepiękny. Przypomina smukłe białe drzewo. Musiał kosztować majątek. Nie wierzę własnym oczom!

- Pewnie jeszcze nigdy nie widziałaś czegoś równie kiczowatego.

A tak, to ten, który tak bardzo boi się kiczu. Obracam się. Hubert stoi za mną w korytarzu. - Jak ci się...

A może inaczej, Wysoki Sądzie.

- Nim zapomnę. Spójrz. - Pokazuję mu kartkę z koperty.

- Nie cieszysz się na mój widok?

Sama nie wiem, więc mówię:

- Jeszcze nie wiem, czy powinnam się cieszyć.

- Usiłowałam się dziś z tobą skontaktować, ale najwyraźniej miałaś urwanie głowy.

Przypominam sobie długie godziny spędzone na wpatrywaniu się we wskazówki zegara u Muriel.

- To był szalony dzień.

- Z powodu tego, co zaszło wczoraj?

- Z mojego powodu. Przez Muriel. Wszystko naraz. Wskazuje na bukiet.

- Nie wiedziałem, jak to załatwić. Nie mam doświadczenia w zdobywaniu kobiet.

- Nikt ci nie kazał mnie zdobywać. - Boże, co za nieuprzejmy ton.

- Coś nas łączy. To coś poważnego. Nie możesz się tego wypierać w nieskończoność.

Wiedcie, co bym mogła teraz zrobić? Mogłabym paść mu w ramiona. Od razu zrobiłoby mi się lepiej. Mogłabym zapomnieć o całej tej aferze z Muriel i Nicolasem. Zaakceptować fakt, że jestem kolejną przyjaciółką miliardera, a na otarcie łez dostanę później apartament lub samochód.

Boże!

- Za dużo wypiliśmy, Hubercie, i tyle.

Najpierw przesadziliśmy z Krwawą Mary, a później z szampanem.

Tak sobie tłumaczę, dlaczego dwa razy poszliśmy do łóżka.

- Regularnie uprawiasz seks tylko dlatego, że wypijaś parę drinków za dużo?

Uznaję, że nie muszę odpowiadać na to pytanie.

- Daj mi szansę.

- Hubercie, jesteś miłym człowiekiem. Naprawdę tak uważam. Ale... - zerkam na swój kontrakt - ..muszę to przemyśleć.

- Co przemyśleć?

- Czy chcę tego związku.

- A nad czym się tu zastanawiać?

- No właśnie.

Lynn, na miłość boską. Może jednak rzucisz mu się w ramiona?

Barclay wsadza ręce w kieszenie i zaczyna się wycofywać. - Nie chcę wyjść na płytkiego kobieciarza, ale nikt mi jeszcze nie dał kosza.

- Nie zrywam z tobą. - Tchórz przeze mnie przemawia, bo przecież to właśnie powinnam teraz robić. - Muszę tylko побыć trochę sama.

- No cóż, kiedy już sobie wszystko przemyślisz...

- Zadzwońię do ciebie.

- Tak, tak.

* * *

Dopiero co wyszłam spod prysznic. Nie przytulam się wprawdzie do nikogo, ale otuliłam się grubym, świeżo wypranym płaszczem kąpielowym. Nic lepszego się dziś wieczorem nie zapowiada.

Siadam pośrodku swojego wielgachnego łóża i zerkam na teczkę z kontraktem leżącą przede mną.

Podnoszę słuchawkę telefonu.

Wystukuję numer i wsłuchuję w znajomy sygnał.

- Bill Blanchett.

- Cześć, Tato. Mówi Lynn.

- Lynn, nareszcie! Zaczynałem się już martwić o ciebie.

Kiedy wracasz?

- O tym właśnie chciałabym porozmawiać.

- Naprawdę? A tak przy okazji, dzwoniła Jodie. Mówiła, że widziałyście się we Francji i że też się o ciebie martwi.

Jodie? Martwi się o mnie?

- Wszystko w porządku, dziubeńko?

Nie, Tato. Dziubeńka jest na skraju załamania nerwowego! Dziubeńka złamała serca wszystkim wokół i swoje własne także!

Dziubeńka jest potworem.

- Może powinnaś wrócić, jeśli tęsknisz za domem. Nie musisz nic sobie udowadniać, maleńka.

- Czuję się świetnie, Tato. Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że minie sporo czasu, zanim znów się zobaczymy.

Cisza.

- Zaproponowano mi pracę, o której zawsze marzyłam - ciągnę. - Tu jest jak w bajce! - Nie wspominam ani słowem, że bajka, przynajmniej teraz, przypomina koszmar. - Postanowiłam się trochę tym nacieszyć.

- To wspaniale, dziubeńko.

- Cieszę się, że się cieszysz.

- Lynn? -Tak?

- Pamiętaj, że cię kocham. Nie płacz, głupia! Cholera!

- Muszę już kończyć. - Rozłączam się, zanim ma szansę zapytać, dlaczego jego dziubeńka płacze.

- No to zostałyśmy tylko dwie na placu boju, Muriel - mówię na głos i otwieram teczkę.

Sięgam po długopis i podpisuję każdą z czterech stron kontraktu.

RS

Krok osiemnasty:

Możesz mieć talent i nie odnieść sukcesu, ale nie odniesiesz sukcesu bez talentu

Zapowiada się wspaniały dzień.

Po pierwsze, wybiła godzina szósta rano i właśnie obudziłam się w moim własnym mieszkaniu! Moim własnym mieszkaniu w Paryżu! Rzecz jasna, jest dość skromne, ale dla mnie to kawałek rajy na drugim piętrze.

Znalezienie go zajęło aż trzy tygodnie. I nie myślcie, że pozwolono mi nocować tyle czasu w Le Georges V.

Tak, to prawda. Musiałam zwolnić swój apartament.

Przez te trzy tygodnie, z pomocą Muriel, zaliczyłam trzy różne adresy, w tym jej własny.

Drugie mieszkanie dzieliłam z grupą szaleńców ze Stanów - wiecznie splukanych dzieciaków z bogatych domów, które bawią się w artystów przed pójściem na Yale i zatrudnieniem się w firmie tatusia.

W trzecim oprócz mnie były same modelki: cztery dziewczyny, z Rosji, Polski i Estonii. Wyobraźcie to sobie tylko! Ja i modelki! Czulałam się przy nich jak jakaś plugawa karlica -pełzałam wokół, znacząc swój szlak ślimaczym śluzem.

Ale dziś jestem najszczęśliwszą osobą pod słońcem. Znalazłam mieszkanie na Rue des Martyrs i dopiero co się wprowadziłam.

Jest drogie.

Jest małe.

Kamienica się trochę sypie.

Ale... to taka modna dzielnica! W samym centrum i w dodatku na topie. To dzielnica ludzi młodych, bohemy, najnowszych trendów. Zawsze coś się tutaj dzieje. Nawet teraz, choć jest szósta rano, słychać wesole nawoływania straganiarzy rozstawiających swoje kramy. (Hm... To akurat może mi obrzydnąć.)

No i, rzecz jasna, dziś wieczorem odbędzie się nasz pokaz.

Moje pierwsze paryskie mieszkanie i mój pierwszy pokaz mody.

Jestem z niego taka dumna! Bo, chociaż oficjalnie jestem tylko asystentką (nieoficjalnie specjalistką), to moje dzieło od początku do końca.

W ciągu ostatnich trzech tygodni pokonałam tyle przeszkód, że powinnam zastanawiać się nad dołączeniem do drużyny plotkarskiej.

Odkąd nie ma Nicolasa, wszystko jest na mojej głowie.

A załatwienie czegokolwiek we Francji to wielka sztuka, ponieważ, jak się okazało, jest to kraj na „NIE”.

Nikt nigdy nie mówi „tak”, nawet w żartach!

Nie, Lynn, nie możemy zrobić pokazu na ulicy. Nie mamy na to odpowiedniego zezwolenia.

Nie mamy odpowiedniego oświetlenia.

Nie mamy namiotu na przebieralnię dla modelek.

Tak właściwie to nie mamy też modelek.

Nie możemy wstrzymać ruchu ulicznego.

Dziennikarze na coś takiego nie przyjdą.

A nawet jeśli, i tak nie mamy dość pieniędzy na trybunę prasową.

Nie ma funduszy.

Nie ma mowy.

Nie i nie..

Boże!

Ale jasno wytyczyłam sobie cele.

1. Sprawię, że ten pokaz odbędzie się na ulicy.
2. Dopilnuję, żeby Muriel robiła to, co do niej należy, i będę trzymać ją z dala od wszelkich placów budowy, szyb i łomów.
3. Zapomnę o Nicolasie, skoro mnie nienawidzi. Cóż, życie toczy się dalej.

Jak na razie, dwóch pierwszych obietnic dotrzymuję.

Czeka mnie dziś cały dzień na Rue Saint Denis. Będę nadzorować przygotowania. Mówię wam, jestem najbardziej poważaną asystentką w tej branży. Zresztą nikomu nie przyznałam się, że jestem asystentką. Muriel także tak mnie nie nazywa. Przedstawia mnie jako swoją collaboratrice*. Cóż, mogłaby mi dać stanowisko Nicolasa, skoro przejęłam jego obowiązki. Tyle że jego osoba to teraz w firmie temat tabu. Muriel nigdy o nim nie wspomina.

Tym bardziej że przeszedł na stronę wroga. Tak, Nicolas pracuje dla Xu. Dowiedzieliśmy się o tym od Karoliny, gdy wróciła ze swojej agencji modelek z zaproszeniem na otwarcie ich nowego butik, podpisanym „Nicolas Bouchez - PR Menadżer”.

To ja miałam być tym menadżerem!

Złodziej!

Na zaproszeniu widniał też numer telefonu.

I tak, pewnego dnia, gdy siedziałam sama w biurze (jego biurze), próbując wybić sobie mojego anioła z głowy, nie wiedzieć czemu, zadzwoniłam tam!

Poprosiłam go do telefonu.

Powiedziałam sekretarce, że dzwoni Lynn Blanchett z Muriel B. w bardzo pilnej sprawie. Kazała mi chwilkę poczekać. Spodziewałam się, że zostanie poinstruowana przez swojego szefa, żeby mnie nie łączyć, ale zamiast tego usłyszałam w słuchawce jego głos:

- Lynn?

- Och. Cześć!

- Co to za pilna sprawa? Ee...

- Bo, widzisz, znalazłam mieszkanie! - Hm?

- Rue des Martyrs.

- Lynn, mam urwanie głowy...

- Oczywiście, oczywiście. Jak tam praca dla Xu?

- Urwanie głowy - powtórzył z naciskiem. Zapadła cisza.

Zastanawiałam się gorączkowo, co by tu powiedzieć, zanim się rozłączy.

- Nicolas, nie wiem, co robić...

- Lynn, to już nie moje zmartwienie.

- Wiem, ale... ale naprawdę chciałabym się z tobą spotkać.

Bardzo! Bardzo, bardzo!

Odczekałam chwilę. W końcu spytał:

- Gdzie?

- Może wpadłbyś do mnie? Coś bym upitrasiała...

- To nie najlepszy pomysł.

- Może moglibyśmy chociaż omówić wszystko przez telefon?

- Staralam się przedłużyć naszą rozmowę za wszelką cenę.

Wiem, wiem. To było żałosne.

- Lynn, podpisując kontrakt z Xu, przyrzekłem, że nie będę utrzymywał kontaktów z nikim z dawnej firmy. Chyba rozumiesz.

- No tak. Ale nie chodzi mi o firmę.

- Dzwonisz do mnie teraz jako osoba prywatna? - No... tak.

- W takim razie, żegnam. - I odłożył słuchawkę. Rozejrzałam się wokół, żeby upewnić się, czy nikt mnie nie podsłuchiwał. Cała się trzęsłam. Dygotałam od stóp do głów.

Wchodzę do siedziby naszej firmy. Prócz zafoliowanych sukienek na wieszakach, gotowych do transportu, nic nie wskazuje na to, że dziś nasz wielki dzień.

Siadam za biurkiem i przyglądam się liście gości. Obok nazwisk osób, które jeszcze nie potwierdziły przybycia, dodałam znaki zapytania. Niestety widnieją one przy nazwiskach wszystkich największych gwiazd show-biznesu i redaktorów naprawdę liczących się gazet i czasopism.

Skoro jeszcze nie potwierdzili przybycia, to można mieć pewność, że się nie pojawią. A jeśli się nie pojawią, nasza widownię stanowić będą wyłącznie krewni i znajomi pracowników firmy, na prowizorycznej trybunie prasowej

zasiadają natomiast studenci dziennikarstwa i drugorzędni praktykanci.

Boże, pomocy!

Pokaz gwiazdy, takiej jak na przykład Jodie Blanchett, a pokaz młodej, początkującej projektantki to niebo i ziemia. Znam ludzi, którzy gotowi byliby dać wszystko za bilet na Jodie. Za szansę zamienienia z nią paru słów redaktorzy działu mody zjedliby własny artykuł.

Muriel to inna bajka. Dopiero zaczyna i jej projekty nikogo nie interesują, a już na pewno nie tych, których powinny.

To, co robimy, nikogo nie obchodzi.

Dziennikarzom szkoda czasu na kolejnego żółtodzioba. Dzwonię do nich codziennie i codziennie odmawiają. Przekonuję ich zatem od nowa następnego dnia, by znów mogli odwołać swe przybycie nazajutrz.

Jaka Muriel? Muriel B.? To jeszcze istnieje? Obawiam się, że nie znajdę wolnego terminu. O tej godzinie jestem już umówiony na brunch z Kazo i jeszcze innym słynnym projektantem, któremu też się nie chce przyjść na wasz pokaz, cha, cha.

Lista gości topnieje w oczach.

Zapomnijcie o talencie.

Zapomnijcie o pięknych ubraniach.

W świecie mody sama moda to za mało.

Widzicie, redaktorów moda nie interesuje.

Tak naprawdę liczą się wyłącznie nazwiska.

Jakie modelki wystąpią na pokazie.

Jakie znane osobistości zasiadają na widowni.

Sprowadź ich kilka, a dziennikarze sami przyjdą. Jak muchy do miodu.

To poniekąd swoista symbioza, ponieważ i gwiazdom zależy na tym, by były opisane i sfotografowane. Moim obowiązkiem jest z kolei ściągnięcie tych wszystkich ludzi w jedno miejsce.

Tyle że gwiazdy nie leżą na ulicy.

Podnoszę słuchawkę telefonu i wykręcam numer Martina Villiers, jednego z najbardziej szanowanych niezależnych specjalistów od public relations dla sław w Paryżu.

Wiem, jak trudno jest się do niego dodzwonić, dlatego właśnie przyszedłam do biura tak wcześnie. To jego numer domowy, więc nie stanie mi na przeszkodzie żadna sekretarka.

- Oui?

- Cześć, Martin. Mówi Lynn Blanchett, pamiętasz mnie? - Ee... Blanchett? Gdzie...

- Poznaliśmy się niedawno na premierze filmowej. Zabawna Amerykanka? Córka Jodie Blanchett? Kojarzysz?

- Ah, oui. Pamiętam. Byłaś z Kazo. Tak, to prawda. Przegapiliście to i owo.

Jakieś dwa tygodnie temu Muriel zaproponowała mi, żebym towarzyszyła jej podczas premiery pewnego czołowego francuskiego reżysera młodego pokolenia.

Mieszkałam wówczas jeszcze z modelkami i, mówię wam, każda z tych dziewczyn sprzedałaby własną babcie, byleby tylko znaleźć się na moim miejscu, zamiast balować do rana z jakimś bogatym, ale nikomu nieznanym biznesmenem.

W dzień premiery Muriel zadzwoniła do mnie z komórki i kazała mi wyrzeć przez okno.

Stała koło długąszej białej limuzyny i machała wesoło.

Biegając po schodach, zastanawiałam się, czy w swojej sukience od Kazo wyglądam jak należy, a tuż przed wejściem do auta spojrzałam w górę. Tak, stały w oknie, wszystkie cztery. Widziały na własne oczy, że ich niska, nijaka Lynn jest traktowana niczym gwiazda filmowa.

Ach, co za rozkosz!

Wyobraziłam sobie, jak przeklinają mnie w swoich rodzimych językach, nakładając na twarz dodatkową warstwę podkładu.

Okazało się, że Muriel nie jest w limuzynie sama. Obok niej siedział posunięty w latach Azjata w stroju księdza (najwyraźniej w Paryżu to dość popularny ubiór) i przyglądał mi

się uważnie. Usadowiłam się naprzeciwko, zachodząc w głowę, czy to może ktoś w rodzaju lokaja.

- Siemanko - powiedziałam.

Dżentelmen skinął dostojnie głową na powitanie.

- Lynn, poznaj Akiro Kazo. Nie sądzę, żebyście się kiedykolwiek spotkali.

- Bardzo mi przyjemnie - wymamrotałam. - Uwielbiam pańskie projekty. - Powinnam była pewnie błysnąć dowcipem, ale potrafiłam myśleć tylko o tym, czy mając na sobie sukienkę projektanta, który mi towarzyszył, nie łamię zasad jakiejś nieznannej mi etykiety elit.

- Pewnie pan zauważył, że to sukienka pańskiego projektu. Kazo nie odpowiedział od razu. Muriel wytrwale siłowała się z butelką szampana.

- Owszem - odezwał się w końcu. - Model prete-porter. Nagle wystrzelił korek.

- Lynn świadomie unika stylu glamour. Szampana?

- Nie, dziękuję. Nie piję alkoholu. De l'eau.

Muriel nalała mu wody mineralnej do wysokiej szklanki.

- Wybacz, Akiro, ale obie jesteśmy pijące - powiedziała, wręczając mi kieliszek. - Na zdrowie!

Kazo nie przyłączył się do toastu. Wydawało się, że żyje zamknięty w swojej skorupie, niemal nieświadomy otaczającego go świata.

- Cieszy się pan na dzisiejszą premierę?

- Nie przepadam za kinem. C'est tres vulgaire*. Zycie bez filmów i szampana? Hm.

- To co robisz w wolnym czasie? - spytała Muriel.

- Kupuję domy.

Tata zbierał kiedyś monety i medale. Osobiście uważam, że kolekcjonerstwo to choroba.

- I co, dobrze się przy tym bawisz? - Nalała sobie drugi kieliszek. Muriel ma swoje wady, ale na pewno nie boi się sław.

Nie odpowiedział. Może nie znał znaczenia słowa „bawić się”.

- Pewnie większość czasu spędza pan w pracy - pospieszyłam mu z pomocą. - Tworząc te zachwycające kreacje.

- Już nie pracuję. Inni pracują teraz dla mnie. Kupuję domy. Podróżuję. Oglądam wulgarne filmy z pijącymi kobietami.

Uśmiechnął się. Bawiło go jego własne specyficzne poczucie humoru. Zaczęłam się zastanawiać, czy ktoś taki może dzielić życie z drugą osobą.

- Czy dołączy do nas Jean-Andre? - spytałam.

- Jean-Andre jest kamerdynerem. Nie biorę służby na premiery.

Muriel nakazała mi wzrokiem zostawić Japończyka w spokoju.

Na Champs Elysees stała już kolejka limuzyn. Wszystkie były nieprzyzwoicie długie. Przed budynkiem kina falował tłum. Błyskały flesze. Fani witali swych idoli okrzykami.

Za chwilę miałam przejść po czerwonym dywanie! Zatrzymaliśmy się przed samym wejściem i jeden z ochroniarzy pomógł mi wysiąść. Za mną z auta wyłonił się Kazo i ruszył prosto przed siebie, nie zwracając najmniejszej uwagi na fotografów i dziennikarzy.

Znalazłam się w samym środku pola bitwy.

Oślepiąca fleszami, ogłuszona kakofonią dźwięków, nie wiedziałam, co z sobą począć. Instynkt podpowiadał mi, że powinnam się promiennie uśmiechać. Czułam się jak żołnierz pod ostrzałem. Trzydzieści metrów czerwonego dywanu ciągnęło się w nieskończoność.

Złapano mnie za sukienkę, żebym się zatrzymała. Odwróciłam głowę w stronę dziennikarzy.

- Kim pani jest? - krzyknął ktoś niewidoczny. - Kim pani jest?

Wycelowano we mnie kilka mikrofonów i dyktafonów.

- Lynn Blanchett. Pracuję dla Muriel B. Natychmiast mnie puszczono, a nawet popchnięto do przodu. Czym prędzej także

cofnięto mikrofony. Nie byłam nikim ważnym. Zupełnie się nie liczyłam. Zaczęłam szukać wzrokiem Muriel, ale bez rezultatu. Straciłam orientację. Gdzie to cholerne wejście?

Podeszła do mnie dziewczyna z plikiem papierów i słuchawką w uchu.

- Vous avez votre invitation?*

Nie miałam żadnego zaproszenia. Miałam tylko Muriel.

- Czy ma pani zaproszenie?

- Jestem z Kazo.

- Pani nazwisko proszę.

Sprawdziła najpierw różową listę. Nic. Uśmiech zniknął z jej twarzy. Moje nazwisko nie widniało także na zielonej liście. Najwyraźniej znajdowałam się na samym dole hierarchii kolorów.

W końcu znalazłam się na białej liście, ostatniej, jaką miała. Dostałam identyfikator wielkości karty kredytowej. Dziewczyna wskazała na drzwi.

- Proszę okazać go przy bramce. I nie tamować dłużej ruchu. Prawdziwe VIP-y nie mogą przez panią wejść do kina.

Była naprawdę zła. Zabierałam innym cenne miejsce na dywanie. Ktoś z białej listy! Jakaś początkująca. Po prostu nikt. Rusz się, kobieto! Dostrzegłam Muriel i Kazo wchodzących do środka. Nie wyglądali na zmartwionych tym, że gdzieś znikłam.

Musiałam pokazać mój biały identyfikator tuzinowi ochroniarzy.

Popychana i pomiatana, wylądowałam w końcu w pierwszym rzędzie, z samego brzegu. Bomba! Widziałam stamtąd tylko prawy górny róg ekranu.

- Salut! - Odwróciłam głowę. Siedział za mną ten młodzian, którego spotkałam z Roxanne. Jego imię wyleciało mi z pamięci. Wiedziałam tylko, że występował w jakimś francuskim reality show.

- Ach, cześć. Co słyhać?

- Tu es avec Roxanne, toi aussi?*

- Roxanne? Nie. Jestem z Muriel B.

Zaczęłam rozglądać się za Muriel, żeby pokazać mu, gdzie siedzi. Cholera! Była i Roxanne. Właśnie obok Muriel i Kazo, z innymi osobistościami. Świetne miejsca, w samym środku widowni. A młodzian z reality show i ja trafiliśmy do sektora dla służby i żigolaków.

- C'est Roxanne qui m'a invité - wyjaśnił.

Próbowałam zwrócić na siebie uwagę Roxanne, gdy zauważyłam coś niesamowitego. W jej stronę przeciskał się Brian, ten handlarz winem z Bostonu. Najwyraźniej zaprosiła na premierę obu mężczyzn - jednego posadziła ze mną w sektorze dla frajerów, drugiego wśród VIP-ów, u swojego boku.

- Tu travailles dans la mode, non?

- Przepraszam, nie mówię tak dobrze po francusku.

- Pracujesz moda? -Tak.

- Pomożesz mi pracować moda?

- Nie pamiętam nawet, jak masz na imię. Wyleciało mi z głowy.

- Guy. Byłem w „L'Appart”. Wiesz, francuski „Big Brother”.

- Obawiam się, że nie mogę ci pomóc.

- OK. - Rozsiadł się wygodnie w fotelu i przestał się mną interesować. Nie obraził się, próbował tylko ubić interes. Nie udało się? Cóż, takie jest życie. Swoją postawą przypominał narzucającą się przechodniom prostytutkę.

Na scenę przed ekranem wyszedł reżyser filmu, aby wygłosić krótką mowę. Tuż przed zgaszeniem świateł, po raz ostatni zerknęłam na Roxanne. Nic. Nadal mnie nie dostrzegła.

Byłoby cudownie, gdybym mogła wam powiedzieć, że zachowałam godny buddyjskiego mnicha stoicki spokój. Niestety, na myśl o tym, że siedzę obok żigolaka, kiedy jakiś

Brian bryluje w towarzystwie Kazo i spółki, skręcałam się z zazdrości. Co za upokorzenie!

- Życzę państwu udanego seansu! Tak, tak. Piękne dzięki.

Martina Villiers poznałam na przyjęciu po premierze. Na szczęście udało mi się pozbyć Guya i dołączyć do Muriel oraz Kazo. Co zaś się tyczy Roxanne, znikła z Brianem, zanim zdążyłam z nią porozmawiać.

Przedstawił mnie słynny Japończyk. Nie wiedział, co powiedzieć, wybąkał więc:

- A to moja znajoma... ee... córka Jodie Blanchett.

- Lynn - podpowiedziałam.

- Moja dobra znajoma, Lynn - poprawił się natychmiast Kazo.

- Miło cię poznać - wymamrotał Martin, zezując na boki w poszukiwaniu czegoś, co pozwoliłoby mu uzasadnić szybkie odejście. Po co miałby tracić czas na kogoś takiego jak ja? - Twoja matka... doprawdy... ja... sama rozumiesz....

- Oczywiście.

- Czas mnie goni - powiedział, jakbyśmy rozmawiali już z godzinę. - Wybacz, muszę pilnie zamienić parę słów z jednym z moich klientów. - Machnął ręką w bliżej niesprecyzowanym kierunku. Cóż, niejedna z obecnych na gali sław mogła naprawdę korzystać z jego usług. - Dobrze wiesz, jakie są te przyjęcia. Praca, praca i jeszcze raz praca.

- Jasne.

Uśmiechnął się i poszedł sobie.

- Sama widzisz - skwitował Kazo. - Wolę kupować domy i chodzić wcześniej spać. I te wulgarne filmy... To bardzo męczące.

Spędziliśmy razem resztę wieczoru. Znaleźliśmy wolną kanapę, skąd obserwowaliśmy ludzi w niemal zupełnym milczeniu. Dbałam tylko o to, by nigdy nie zabrakło mu wody mineralnej i sądzę, że doceniał moją troskę.

- Twoja matka. Wielki talent - powiedział w końcu.

- Dziękuję.

- Dostrzegam go w tobie. Też możesz go rozwinąć. To bije od ciebie. - Gestami naszkicował otaczającą mnie aurę. - Podobasz mi się.

Gdybym nie była święcie przekonana, że jest gejem, spodziewałabym się, że zaraz się oświadczy.

- Lubię małowmowne kobiety - zakończył swój wywód i zaproponował, że odwiezie mnie do domu limuzyną.

* * *

- Zgadza się, Martin. Byłam z Kazo - potwierdzam. - Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.

- Nie, nie, tylko... Czy prosiłem cię o telefon?

- Tak. Nie pamiętasz? - kłamię w żywe oczy. - Mieliśmy przyjrzeć się liście twoich klientów i ustalić, kto ostatecznie pojawi się na dzisiejszym pokazie Muriel.

- Ach.

- Teraz pamiętasz?

- Tak, tak. - Teraz to on kłamię. - Przypomnij mi tylko, kto to miał być dokładnie?

Rzucam pięcioma wielkimi nazwiskami. - Mm?

Nie brzmi to obiecująco.

- Jakiś problem?

- Muriel B. nie jest na tyle liczącą się projektantką, żebym mógł ściągnąć te osoby.

- Może po prostu będą się tu dobrze bawić.

- Oni się nigdzie dobrze nie bawią. Muszą coś z tego mieć i tyle. Sam podałem ci te nazwiska? Niemożliwe.

- Będzie naprawdę dużo dziennikarzy.

- Mogę przysłać Samanthę Cock. Prasa ją uwielbia, a Sam z pewnością chętnie przyjmie zaproszenie.

- A kto to taki?

- Robi właśnie zawrotną karierę w filmach dla dorosłych. Wierz mi, ci ludzie będą niedługo na ustach wszystkich.

- Gwiazda porno? Chyba żartujesz!

- Pasuje idealnie. Gwiazda porno na pokazie mody przy Rue Saint Denis! Cha, cha!

Powtarzam pięć wielkich nazwisk.

- Tych mi trzeba. Liczę na twoją pomoc.

A niech to! „Pomoc” to słowo tabu! W branży go nie cierpią.

- Nie ma mowy. Przyślę Fernanda Galtona.

- Jakiego znowu Fernanda?

- To pisarz. Lubi pokazy. Bardzo chętnie otacza się modelkami.

- Pisarz i gwiazda porno? Tylko ich masz mi do zaoferowania?

- Będzie z nich świetna para. - Jest już naprawdę poirytowany.

- Słuchaj, nie pamiętam, żebym ci cokolwiek obiecywał, a już na pewno tych ludzi, o których mówisz, więc...

- Będzie Kazo - kłamie.

- Kazo? Hm... Co Kazo robi na pokazie nieznaney projektantki?

- Ma do nas słabość. No i przecież Muriel ma szansę się wybić. A nie zapomni, kto jej pomagał w trudnych początkach.

Cholera! Znowu użyłam słowa „pomagać”! -Daj mi swój numer telefonu, to później do ciebie zadzwonię.

Dobrze wiem, że nigdy nie zadzwoni, ale nie mam wyboru. Podaję numer i kończymy rozmowę.

Zamykam oczy i staram się pozbierać myśli.

„Może” jest lepsze od „nie”. Tak powiedział Hubert. Wystukuję kolejny numer.

- Residence Kazo.

- Cześć, Jean-Andre. Mówi Lynn Blanchett od Muriel B.

- Czego znowu chcecie? Znowu?

- Chciałabym porozmawiać z panem Kazo.

- Jest zajęty.

- Wie, że mam zadzwonić.

- W jakiej sprawie?

- Chodzi o jego pojawienie się na pokazie Muriel B". -Tak?

- Ee... Pojawi się?

- To zostało już ustalone. Pan Kazo się pojawi. Ustalone?

- Pan Kazo i ja zaczynamy mieć dość tych ciągłych telefonów od ludzi z Muriel B.

Nie rozmawiałam z człowiekiem od premiery! Wysłałam mu zaproszenie, ot i wszystko. Jean-André rozłącza się, zanim mam szansę zapytać, o co właściwie chodzi.

Podsumowując, mamy Kazo, pisarza, gwiazdę porno i szereg znaków zapytania. Który dziennikarz oprze się takiej liście gości?

Spoglądam na zegarek: jest dziewiąta rano.

Wykręcam teraz numer niejakiej Marie Matisse. Jest chyba najważniejszym redaktorem działu mody we Francji. Dzwonię do niej codziennie. Raz przyrzeka, że zjawi się z całą ekipą, innym razem twierdzi, że nie znajdzie dla nas czasu.

- Lynn Blanchett? Co za zabawny zbieg okoliczności! Zgadnij, z kim właśnie jem śniadanie. No, strzelaj. Lynn! Naprawdę, o wilku mowa!

O wilku?

- Domyślasz się, kto to? -Czyja wiem...

- Hubert Barclay - mówi Marie zniecierpliwiona. - Jem śniadanie z Hubertem Barclayem. Niegrzeczna dziewczynka! Chcesz z nim porozmawiać?

Hm... Hubi, powiadasz?

Chyba znowu muszę wam to i owo wyjaśnić.

Hubi i ja nie umawiamy się już na koleżeńskie randki.

Zamiast tego, ciągle na siebie wpadamy.

Paryż to doprawdy bardzo małe miasto, jeśli ktoś obraca się w elitarnych kręgach.

Dajmy na to, dzwonię do takiej Marie Matisse, którą ledwie znam, żeby upewnić się, czy przyjdzie na nasz pokaz, a Hubert siedzi sobie akurat u niej w saloniku, gotowy przejąć słuchawkę i adorować mnie dalej.

Po każdym spotkaniu z nim mam mętlik w głowie.

Jest w końcu wspaniałym facetem.

Bardzo przystojnym.

Inteligentnym.

Odniósł sukces i zbił fortunę.

Twierdzi, że szaleje za mną, a nikt - ale to nikt - nigdy za mną nie szalał.

Ale, mimo to, wiem, że nie powinnam kontynuować tej znajomości. Od początku postępowałam i nadal postępowałabym nieuczciwie.

Lubię Huberta, nawet bardzo go lubię, ale nie kocham go, więc nie mogę go zwodzić. Jakiś tydzień temu zostawił dla mnie wiadomość w firmie: „Powinnaś była dać znać, że wyprowadziłaś się z hotelu. Nie mogłem cię nigdzie znaleźć. Czy chciałabyś pojechać ze mną na Riwierę? Hubi”.

Znalazłam ją przyklejoną do ekranu mojego komputera. Na wszystkie wcześniejsze nie odpowiedziałam.

Tym razem jednak postanowiłam się z nim spotkać.

Planowałam skończyć tę znajomość raz na zawsze.

Porzucić Huberta definitywnie nie jest tak łatwo. Z jednej strony nie chcę go już widzieć na oczy, ale z drugiej zdaję sobie sprawę, że taka okazja już się nie powtórzy.

Poinformowałam go, że moglibyśmy umówić się na herbatę. Żeby uniknąć pokus, wybrałam miejsce publiczne, Ogród Luksemburski. Zaproponował, że będzie czekać przy Fontannie Kochanków, ale wołałam bardziej neutralne w nazwie korty tenisowe.

Gdy przyjechałam, był już na miejscu. Przyglądał się parze wrzeszczących na siebie graczy, chłopakowi i dziewczynie.

- Myślę, że to on ma rację. To był aut. Ale ona nie daje sobie nic wytłumaczyć. Mówi mu teraz, że zawsze traktuje ją niesprawiedliwie. Pewnie się rozstaną. A tak w ogóle, dzień dobry.

- Pewnie byli już gotowi z sobą zerwać, gdy zaczęli grę. Czekali tylko na jakiś pretekst.

- I co, pojedziesz ze mną do Antibes?

Dobrze widział, że nie wycieczka na Lazurowe Wybrzeże mi teraz w głowie. Przypominał lekarza, który nakazuje pacjentowi

łykać tabletki i dużo wypoczywać, chociaż wie, że ten nie dociągnie do rana.

Usiadłam. Młody tenisista poddał się w końcu i przyznał, że to dziewczyna wygrała piłkę.

- Zawsze to samo. Mężczyźni prędzej ustępują.

- Kobiety są bardziej wytrzymałe i odporniejsze na ból. W końcu to my rodzimy dzieci.

- Mam inną teorię na ten temat. Chcecie wystawić partnera na próbę. Tyle że próba nigdy się nie kończy. Wyrok nigdy nie zapada. Za to mężczyźni wydają osąd jak najszybciej.

- Ja nie wystawiam cię na próbę, jeśli mnie masz na myśli.

- To był jeden z najgorszych tygodni w moim życiu. - Rzucił mi spojrzenie tak smutne, że niemal połknęłam haczyk. - Nie mogę się skupić, nie mogę spać i mam tego powyżej uszu. Widziałem innych, jak się tak płaszczyli, i wierzę, że zasługują na coś lepszego. Z drugiej strony, mam to wszystko gdzieś. Nie obchodzi mnie, czy wydaję się sentymentalny, niemądry czy żaloszny. Chcę z nią być, chcę być z tobą, Lynn. Nie potrafię myśleć o niczym innym. Ale ty nawet nie oddzwoniasz, gdy zostawiam wiadomość.

- Musiałam przemyśleć to i owo - powiedziałam, świadoma tego, jak idiotyczna to wymówka. Nie spodziewałam się równie łzawych wyznań. Liczyłam na to, że zerwanie pójdzie gładko. Wyobrażałam sobie, że z miejsca straci mną zainteresowanie. Trudno, powie, i tak już jestem umówiony z jedną modelką w twoim wieku. To Azjatka. Potrafi ponoć robić językiem niesamowite rzeczy!

- Myślałem, że nie prowadzimy żadnej gry.

- To nie była gra. Czuję jedynie, że to nie to. Właśnie do takiego wniosku doszłam. - Wiedziałam, że bredzę. - Ach, Hubercie, po co owijać prawdę w bawełnę. Nie Kocham cię. Lubię cię wprawdzie, ale cię nie Kocham. Nie można się zmusić do miłości.

- Gorące uczucie z czasem mija. Poza nim niczego temu związkowi nie będzie brakowało.

- To niemożliwe.

- Chociaż spróbujmy, Lynn.

Spojrzelismy oboje w stronę kortu. Młodzi ludzie nie grali już ani się nie kłócili. Ona płakała, a on tulił ją do siebie. Tak naprawdę nie przyszedli do parku na tenisa. Chcieli rozwiązać swoje problemy i najwyraźniej im się to udało.

Miłość zatriumfowała i takie tam.

Podniosłam się z ławki. Ta rozmowa prowadziła donikąd.

- Powinniśmy nie widywać się przez jakiś czas.

Jestem beznadziejna w zrywaniu z Barclayem. Zawsze formułuję pożegnania tak, żeby mieć szansę na powrót. Tak na wszelki wypadek. Może go i nie kocham, ale lepszy zakochany milioner niż życie w staropanieństwie.

- Nie uda ci się mnie unikać.

- Błagam, Hubercie. Wiesz dobrze, że nic z tego nie będzie.

- Nikt mi wcześniej nie dał kosza - powiedział po raz kolejny. Miał rację. Z jego strony nie była to gra. Przede mną stał człowiek pogrążony w głębokim smutku.

- Do widzenia - wyszeptalam tchórzliwie i poszłam sobie. Od tego czasu nie widzieliśmy się więcej.

- Nie, dziękuję. Nie mam teraz ochoty na pogaduszki z Hubertem - mówię więc Marie. - Wolałabym zamienić słówko z tobą, jeśli można.

- O ty przewrotna smarkulo! Zawróciłaś naszemu Hubie-mu w głowie, cha, cha! Jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie.

- No cóż, mniejsza o to. Dzwonię w sprawie dzisiejszego pokazu.

- Jakiego pokazu? Sami widzicie.

- Muriel B.

- Ach, a o której?

Mówiłam to jej jakieś piętnaście razy.

- O piątej. Ta sama godzina, co na twoim zaproszeniu.

- Dziś po południu? Odpada, już coś mam. A to pech. Idę na przyjęcie do Diora.

Czy przypominanie jej, że obiecała wczoraj przyjść, ma sens? Zamiast tego mówię więc, że przyjdzie Kazo i wymieniam nazwiska pięciu osób, na które nie zgodził się Martin.

- Nie bujasz?

Owszem, bujam, więc pozostawiam to pytanie bez odpowiedzi.

-W takim razie zobaczę, co da się zrobić. Nie można przecież zaniedbywać naszej drogiej Muriel, prawda? Chcesz teraz, żebym poprosiła Huberta do telefonu?

- Marie, spytaj Huberta, a zobaczysz, że nie ma ochoty ze mną rozmawiać.

- Mylisz się!

- Do zobaczenia o piątej! - Rozłączam się. Cholerne babsko!

Do pokoju wchodzi Catherine z bukietem kwiatów, niewielkim, ale uroczym.

- To dla ciebie - rzuca oschle. Nigdy mi nie wybaczy tego, że zajęłam miejsce Nicolasa. Gdyby nie ja, nigdy by nie odszedł. Kiedy poinformowano ją, że dostanę jego gabinet i ją samą na dokładkę, resztę tygodnia spędziła na zwolnieniu chorobowym. Szok spowodował także u sekretarki trwałe „uszkodzenie mózgu”, objawiające się tym, że w mojej obecności nie jest w stanie budować zdań dłuższych niż trzy słowa.

Do kwiatów dołączono karteczkę z życzeniami: „Powodzenia. Tym razem nie wyrobię się na czas. Przepraszam. Jodie”. „Tym razem”! Też coś!

Gdyby nie to, że zrobiło mi się smutno, jak nic wybuchłabym śmiechem.

Pewnie ma na myśli to, że była przy moim porodzie. Nie mogę narzekać, że nie towarzyszyła mi w innych przełomowych momentach mojego życia.

Nie żebym była zaskoczona.

Spotkałyśmy się ponownie parę dni temu - a raczej wpadłam na nią, przecinając jej trajektorię.

Ale po kolei.

Leciała właśnie do Moskwy na promocję swoich nowych perfum. Zadzwoniła do mnie z lotniska Charlesa de Gaulle'a, gdzie miała przesiadkę. Powiedziała, że byłoby miło, gdybym mogła spędzić z nią te kilka godzin w hali odlotów.

- To koszmar. Utknęłam tu na dobre. Nathalie dostanie za swoje. - (Nathalie to jej sekretarka. Dostaje za swoje od wielu, wielu lat. Każdy pretekst jest dobry.) - Pospiesz się, proszę.

Gdy ją znalazłam, siedziała samotnie w pokoiku ze szkła, wpatrując się obsesyjnie w ekran, na którym wyświetlano godziny najbliższych odlotów.

Zastukałam w szybę. Odwróciła się. Popukała swój zegarek. Widocznie nie zostało nam jednak zbyt wiele czasu! Wstała i podeszła do szklanej ściany. Wyglądała na zmęczoną i podenerwowaną. Nie radzi sobie dobrze z wykonywaniem wielu czynności naraz, a teraz musiała czekać na samolot i jednocześnie rozmawiać z córką.

Odezwała się, ale przez szybę nie przechodził żaden dźwięk. Pokręciłam głową i wskazałam na uszy. Rozejrzała się i przywołała machnięciem ręki jednego z ochroniarzy, tak jak zwykli ludzie przyzywają kelnera.

Gdy tylko zorientowali się, kim jest i w jakim jest nastroju, oddali nam do dyspozycji jeden z maleńkich pokojków używanych zazwyczaj do kontroli osobistej.

- Dostałam twoje zaproszenie na pokaz Muriel - powiedziała.

- To beznadziejne.

- Beznadziejne?

- Mam na myśli termin. Nie dam rady. W przyszłym tygodniu startuje JB2.

To jakiś satelita?

- Moje nowe perfumy. Wszystko już przygotowane. No nic, a jak tam radzisz sobie finansowo? - Wyjęła z torebki jedną z swoich magicznych kopert.

- Zaczekaj. Jak śmiesz twierdzić, że nie dasz rady? Zamarła, zbita z tropu. W wyciągniętej ręce wciąż trzymała kopertę, której za nic bym nie przyjęła.

- Bierzesz czy nie? -Nie.

Schowała pieniądze z powrotem do torebki.

- Nie bądź śmieszna, Lynn. To poważna sprawa, chodzi o miliony. Wypuszczam na rynek nowy produkt. Nie mam czasu. Koniec, kropka.

- To zabawne.

- Co takiego?

- Ja nie dostałam twojego zaproszenia.

- Na co znowu?

- Na jakąś galę z okazji promocji twoich perfum.

- Nigdy bym... O czym ty mówisz, Lynn? Nigdy nie chciałaś chodzić na takie rzeczy.

- Nie mam ośmiu lat. Nie musisz mnie już ciągać ze sobą, bo nie udało ci się znaleźć opiekunki na wieczór.

Ale jej docięłam.

- Nie rozumiem, skąd w ogóle ten temat. Jeśli chcesz, powiem Nathalie, żeby wysłała ci zaproszenie.

Zaczęła dzwonić jej komórka.

- To pewnie ona. Widzisz? Zaraz jej powiem.

- Nie odbieraj, proszę.

- Dlaczego?

- Jeszcze nie skończyłyśmy. Byłam ostra!

- Nie widzisz, że jestem teraz zbyt zmęczona, by o tym rozmawiać?

- Wierz mi, Jodie, ja też jestem bardzo zmęczona. Spojrzała na wyświetlacz telefonu.

- Nathalie - potwierdziła poirytowanym głosem. - Myślałam, że będzie miło, a ty stroisz fochy.

- Twoja obecność na tym pokazie jest dla mnie bardzo ważna
- uświadomiłam jej.

- Z reguły nie chodzę na pokazy innych projektantów.

- Tu nie chodzi o kolejny pokaz innego projektanta, kolejną ceremonię wręczania dyplomów czy przyjęcie urodzinowe. Tu chodzi o mnie.

Znów rozdzwoniła się jej komórka.

- Jeszcze się zastanowię - powiedziała i ucięła rozmowę, odbierając telefon.

- Nie zastanawiaj się, tylko przyjedź. Proszę.

- Ach, Nathalie - Jodie wstała i ruszyła w kierunku drzwi. - Tym razem naprawdę się doigrałaś. Nie masz pojęcia, na jaki stres mnie naraziłaś! - Chciała już wyjść i zostawić mnie samą w tym białym, sterylnym pomieszczeniu, w którym normalnie prosi się ludzi o to, żeby rozebrali się do naga i wypięli, ale zatrzymała się i oświadczyła mi na odchodnym: -Robisz się impertynencka. To takie francuskie! Ta Muriel ma na ciebie zły wpływ!

* * *

Zachowuję się jak Francuzka.

Jestem impertynencka.

Nie wierzycie, to spytajcie Jodie!

Dlatego właśnie stoję teraz przed siedzibą agencji Martina Villiers na Champs Elysées, gotowa przycisnąć guziczek domofonu, chociaż na tabliczce jest wyraźnie napisane: „CCA - Sur rendez-vous uniquement” - tylko osoby umówione.

Nie byłam umówiona.

Facet nie był nawet łaskaw oddzwonić.

Wyobraźcie tylko sobie!

Drzwi są oczywiście zamknięte na klucz, a w domofonie zainstalowano miniaturową kamerę, pozwalającą szybko wykluczyć nieproszonych gości.

Dzwonię.

- Out?

- Przesyłka dla pana Martina Villiers - mówię, patrząc w bok.
I nic.

Przesyłka?

Niby co dostarczasz?

Będą kłopoty!

Ale najwidoczniej tam, w środku, są ciekawi, co takiego przyniosłam, bo zamek brzęczy i drzwi się otwierają.

Jadę na górę windą i wchodzę do recepcji CCA. Oj, a już miałam nadzieję. Tymczasem od prawdziwego skarbu dzielą mnie jeszcze wielkie, drewniane, dwuskrzydłowe drzwi widoczne w głębi.

Recepcjonistka, jedna z tych kościstych żmij, które się tu często widuje, spogląda na mnie zdziwiona znad ekranu swojego komputera. Spodziewała się kuriera, a nie kogoś takiego jak ja.

- Jestem umówiona z panem Villiers - kłamię, zanim ma szansę nacisnąć przycisk alarmowy wzywający wykidajkę.

- Ee... Pani nazwisko?

- Proszę przekazać panu Villiers...

No, co takiego? Że w torebce mam broń, jego adres domowy i zdjęcia jego dzieci?

- Proszę mu powiedzieć, że to sprawa niecierpiąca zwłoki. Kobieta kręci głową, jakby zaanonsowanie mnie było

równie niemożliwe co wbiegnięcie na Mount Everest. Może powinnam jednak wspomnieć o broni, adresie i zdjęciach, i przejść do historii jako najbardziej agresywna asystentka, jaką kiedykolwiek aresztowała paryska policja?

- Pana Villiers nie ma obecnie w biurze - mówi recepcjonistka.

- Dobrze sobie!

- Proszę posłuchać, codziennie przychodzi tu wiele takich osób jak pani. Muszę poprosić panią o opuszczenie siedziby naszej agencji.

- To może powie mi pani, gdzie go mogę znaleźć?

- Nie jestem upoważniona do udzielania takich informacji.

- Zobacz pani - grozę. - Za zbywanie mnie wyrzucą panią z pracy!

- Wiem jedno. Z pewnością stracę posadę, jeśli zdradzę pani, gdzie przebywa mój szef.

Mądralińska!

Chcę już zmienić strategię i zacząć błagać ją ze łzami w oczach, gdy masywne drzwi rozwierają się nagle, a ja sama tracę dech w piersiach.

Nicolas!

Boski jak zawsze. A nawet bardziej. Ale nie sam.

Cały w uśmiechach, przekomarza się wesoło z wysoką blondynką, jakby dla dwojga tak pięknych i zamożnych ludzi jak oni wizyty u najlepszego agenta sław we Francji były czymś zupełnie naturalnym. Tymczasem ja, wraz z innymi ropuchami, muszę wkradać się w łaski nieczulej recepcjonistki!

Co za laska z tej blondynki!

Wygląda jak gwiazda filmowa.

Jest taka...

Nagle mam wielką ochotę po prostu ich zastrzelić. Bez poddawania próbie! Bez wydawania wyroku! A więc tym się zajmuje, odkąd odszedł, tak? Spotyka się ze złotowłosymi boginiami, gdy ja wypłakuję oczy, wspominając wspólnie spędzone chwile! Delia miała rację! Cholerni Francuzi!

- A ty co tu robisz?

Chyba widać, że umieram z upokorzenia, prawda! Wzruszam ramionami, bo z emocji zaniemówiłam.

- Pamiętasz Clarice? - mówi niepewnym głosem, wskazując na zjawisko u swojego boku.

Zaraz, zaraz! Poznają ją!

To nie gwiazda filmowa! To ta dziewczyna, która flirtowała ze mną w ogrodzie Kazo.

- Naprawdę powinnaś wtedy była iść ze mną na przyjęcie do Gucciego - odzywa się blondynka, wydymając wargi. - Było ekstra.

- Rzeczywiście, szkoda.

- Idziemy teraz na śniadanie do Diora. Dołączysz do nas? - pyta.

Oczywiście, z przyjemnością. Będę popijać kawę, patrząc, jak całujesz go z języczkiem.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł - wtrąca się Nicolas.

- Dlaczego?

- I tak bym nie mogła - staram się bagatelizować sprawę, powstrzymując ryk wściekłości.

- Dopiero co podpisaliśmy z Clarice umowę - wyjaśnia Nicolas. - Zostaje nową twarzą marki Xu.

Ach tak. A czy w kontrakcie odnotowano, że musi z tobą chodzić do łóżka?

- A więc to dziś jest wasz wielki dzień - mówi Nicolas.

- Zgadza się. Wysłałam ci zaproszenie.

- Wiem.

- Pojawisz się?

- Raczej nie.

- Jaka szkoda.

Otwierają się drzwi windy. Nicolas znika w jej wnętrzu, ciągnąc za sobą Clarice. Jest szczęśliwy, że ma dokąd przede mną uciec.

- Czekał no!

- Co znowu?

- Czy Villiers jest w swoim gabinecie? - pytam, wskazując na masywne, dwuskrzydłowe drzwi.

- Martin? - Clarice odzywa się, zanim Nicolas porywa ją na dobre. - Skąd, jest na śniadaniu u Diora, tak jak, kurczę, absolutnie wszyscy.

Clarice udaje się wprowadzić mnie do Le Troyen. Ta dziewczyna powinna dostać moją robotę. Wszyscy ją po prostu

ubóstwiają. Całuje każdego ochroniarza z osobna i już jedzą jej z ręki.

- To bardzo wyjątkowe miejsce - mówi Nicolas poirytowanym głosem.

Skoro Clarice mnie zaprosiła i uparła się, żebym poszła z nimi, nie pozostawało mu nic innego, jak tylko się zgodzić. Miasto skąpane jest w słońcu.

Le Troyen okazuje się połączeniem zameczku, szklarni i tortu weselnego, stojącym w samym sercu najzieleńszej części Champs Elysées. Wokół kwitną kwiaty i śpiewają ptaki.

- Restauracja działa tu nieprzerwanie od czasów Rewolucji Francuskiej - tłumaczy Nicholas. - To chyba jeden z nielicznych lokali na świecie, które posiadają trzy gwiazdki Michelin.

Matko Boska!

Mniejsza o piękną okolicę i historię francuskiej gastronomii, nie to mnie oszołomiło. We wnętrzu zameczko-torto-szklarni dostrzegam wyłącznie ludzi znanych z pierwszych stron gazet i okładek magazynów.

- Co to ma być? - pytam Nicolasa. - Doroczny zjazd sobowtórów?

Hej, udało mi się go rozbawić!

Clarice też usłyszała mój komentarz i wybucha śmiechem. Spójrzcie tylko na nią!

W otoczeniu gwiazd potrafi zachowywać się tak swobodnie, z takim wdziękiem, niczym słodki duszek magicznego świata sław.

- Jak długo jesteście razem? - pytam Nicolasa.

- Podpisaliśmy z nią kontrakt godzinę temu.

- Chodzi mi o to, jak długo jesteście parą.

- Ach! Przykro mi, ale muszę cię zawieść. Nic z tych rzeczy.

- Nie mam ci za złe, że umawiasz się na randki z modelkami - mówię, mając ochotę go udusić.

- Clarice nie jest modelką. Boże, naprawdę jej nie kojarzysz?

Najwyraźniej jestem jedyną osobą na świecie, która nie kojarzy Clarice.

- Nie bujaj! Przecież to córka Klerona, tego od hoteli. Wszystko po nim odziedziczy.

Ach tak. Myślałam, że to przypadek z jej nazwiskiem.

- A od dziś jest też mademoiselle Xu!

Clarice chichocze, puszcza nam perskie oko i rzuca się w objęcia Millera Yourta, tak, tego słynnego muzyka rockowego, który stoi sobie jak gdyby nigdy nic przy najbliższym bufecie.

- Cześć, mała!

- Czołem, żołnierzu!

I już zapomniała o naszym istnieniu.

Nicolas prowadzi mnie do sali balowej. Niewielki wybieg dla modelek otaczają stoły nakryte do klasycznego, francuskiego śniadania. Jest szampan, kawa w dzbankach z prawdziwego srebra i maciupęńkie kruche rogaliki!

- Czy pokaz Diora nie miał odbyć się po południu w Carrousel?

- To nie pokaz. To śniadanie przedpokazowe. Przedpokazowe?

- Taka miniprapremiera dla najważniejszych VIP-ów. Wszystko jasne. Żeby dostać się na prawdziwy pokaz

Diora, trzeba albo samemu być VIP-em, albo któregoś dobrze znać. Ale to im nie wystarcza. Pewnie tylu teraz VIP-ów, że musiano stworzyć osobną kategorię VIP-ów najważniejszych. I zorganizować dla nich osobną imprezę. To trochę przerażające.

- A oto i on - Nicolas zauważa agenta. Villiers je rogalika, siedząc samotnie przy samym wybiegu.

Odsuwam na bok T.C., który stanął mi na drodze (tak, drogie panie, dotknęłam jego ramienia i powiedziałam do niego „przepraszam”), i zaczynam sunąć w kierunku Martina niczym torpeda. Bum!

- O! Vous! - mówi na mój widok.

- Mogę się przysiąść na chwilkę?

- Nie. Czekam na mojego prawdziwego gościa. I tak siadam,
- Czy znów chodzi o Muriel B.?

Nie, teraz zajmuję się ratowaniem australijskich wielorybów!

- Obiecałeś, że oddzwonisz.

- Chyba żartujesz? - Przenosi wzrok na Nicolasa, który staje za mną. - Wyjaśniłeś jej, jakie są zasady tej gry?

- Nie mam z nią nic wspólnego - Nicolas podnosi obie ręce w obronnym geście. - Nawet nie pracujemy już w tej samej firmie.

Villiers wzdycha.

- Nie tak się to załatwia.

Wpatruję się w koszyczek z pieczywem stojący pośrodku stołu. Szukam inspiracji.

- Chciałabym porozmawiać - zaczynam.

- Elle est incroyable, celle-là! *To nie mój problem. Rozejrzyj się! Kogo tu obchodzi, czego chcesz? Kiedy Muriel B. stanie się tak sławna jak Galliano, proszę bardzo, będę cię cmokał na powitanie i poświęcał ci mój czas. Ale teraz odczep się, kobieto. Zegnam.

Nadal wpatruję się w pieczywo, ale bez rezultatu. Nie wiem, co powiedzieć. Pyszne te rogalce, ale poza tym jaki z nich pożytek?

Agent splata ręce na piersiach i kręci głową.

- No, czego tu jeszcze szukasz? Powiedziałem, „żegnam”.
- Nie chcę dać za wygraną.

Może Villiers, podobnie jak mistrzowie Jedi, testuje właśnie moją siłę woli i jeśli wytrwam dostatecznie długo, uśmiechnie się od ucha do ucha i nauczy mnie kontrolować Moc.

- Zaufaj mi. Już ja nauczę cię przegrywać.

I nagle, zupełnie niespodziewanie, Nicolas kładzie dłoń na moim ramieniu.

Z jednej strony, wydaje mi się, że chce mnie wesprzeć i pocieszyć, ale z drugiej, że zachęca mnie tym gestem do odejścia.

Chodź, Lynn, tylko tu przeszkadzasz.

Odpuść sobie.

I mnie też zostaw w spokoju. Przecież wiesz, że cię nienawidzę. Odwracam głowę i w jego oczach nie widzę nienawiści. Jest mu smutno, że ktoś mnie tak traktuje. Sam przez to przeszedł. Pracując dla Muriel, musiał zabiegać o przychylność wpływowych osób.

A teraz zadaje się z gwiazdami i robi karierę w Xu.

- Ciąg dalszy nastąpi - obiecuję Martinowi.

- Au revoir et ? jamais, madame*

Nie potrzebuję tłumacza. Wiem, że nie chce mnie nigdy więcej widzieć.

Wstaję i spoglądam na wybieg. Pojawiły się już na nim modelki w najnowszych kreacjach Diora. Rzeczywiście, to nie prawdziwy pokaz. Dziewczęta pełnią raczej tę samą funkcję co rybki akwariowe, jakie widuje się w chińskich restauracjach.

- Cześć, Lynn! Miło cię znowu widzieć.

Odwracam się. To moja koleżanka z toalety, królowa popu.

- Czuję się taka samotna. Mogę się trzymać z tobą? - pyta. Zerkam na agenta. Wybałuszył oczy ze zdziwienia.

- Masz coś przeciwko, żeby Marion się do nas dosiadła?

- Nie, skąd. Proszę. Proszę bardzo.

Znów siadam obok niego i odsuwam od stołu krzesło dla piosenkarki.

- Martin, na pewno spotkałeś już Marion - mówię. Gwiazda przygląda się mężczyźnie.

- Przepraszam, ale wydaje mi się, że nie mieliśmy przyjemności.

Nawet dla kogoś takiego jak superagent Débouches królowa popu jest kimś z innego świata.

- Ależ owszem, Marion. Spotkaliśmy się wiele razy, cha, cha.

- Mogłabym przysiąc, że na jego czole pojawiły się pierwsze krople potu.

- Przykro mi, ale nie pamiętam. Cha, cha!

Kładę rękę na dłoni piosenkarki, jakbyśmy znały się od dziecka, i pytam rozluźnionym tonem:

- Będziesz dziś na pokazie Muriel? - Ee...

- To ten pokaz na ulicy. Coś wyjątkowego. - Ee...

Ściskam mocno jej dłoń.

- Obiecuję, że przyjdiesz. Muriel będzie wniebowzięta. - Ee...

Myślę, że... No dobra.

Wiem, że Martin ją usłyszał, chociaż udaje nadzwyczaj zainteresowanego prezentowanymi kreacjami. Jest jedyną osobą na sali, która przygląda się tym biednym modelkom.

- A poza tym, co słyhać? - pyta Marion, zerkając na Nicolasa.

- No wiesz, jakoś leci - wzruszam ramionami, skupiona na tym, co dzieje się teraz w mózgu agenta. Skoro na pokazie Muriel B. pojawi się taka gwiazda, myśli ten stary wyjadacz, to dlaczego nie mieliby iść w jej ślady moi klienci?

- Martin! Skarbie! - Miller Yourt wypuścił już Clarice z swych objęć, więc postanowiła dołączyć do nas.

- Hej, Marion! Jak leci? - wita się bez skrepowania.

- Świetnie. Teraz Dior, a po południu Muriel B.

- Martin? - pyta blondynka jęklwym tonem. - Powiedz, że też idziesz do Muriel, bo ja nabrałam ochoty! - Przekrzywia głowę i zaczyna rozkosznie ssać kciuk.

Oczy wszystkich są teraz na nim.

Villiers świdruje mnie wzrokiem, więc podaję mu koszyczek z pieczywem. Po dłuższym namyśle wybiera bułeczkę z rodzynkami i oświadcza rozpromieniony:

- No cóż, jak mógłbym przegapić coś takiego?

- Od lat nie widziałam ojca Muriel - odzywa się Marion. - Będę miała okazję się z nim zobaczyć. Nie mogę się doczekać!

Dobrze, że Muriel tego nie słyszy!

- To prawda, co o tobie mówią, Marion. Jesteś taka łaskawa.

Cofam swoją dłoń.

Będzie mi potrzebna do czegoś innego. Chowam ją pod stół i chwytam za rękę Nicolasa.

Niedawne zwycięstwo dodało mi odwagi!

Ale on odsuwa się tylko i patrzy na mnie z niechęcią.

Mój boski aniele!

Błagam!

Usiłuję nie przestawać się uśmiechać.

Staram się tak bardzo, że cała twarz mnie boli.

Nicolas szepcze mi na ucho z poważną miną, że musimy porozmawiać, zostawiamy więc całe towarzystwo przy stole i idziemy za kulisy, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Siada na jakimś pudle, kręcąc głową.

- I co to niby miało być?

- Nic takiego. Po prostu przyjacielski uścisk dłoni, za stare czasy.

Siadam obok i serwuję moją najsilniejszą kartę: - Może cię zainteresuje wiadomość, że Barclay zniknął z mojego życia,.

- To już nie ma znaczenia, Lynn. Nie widzisz tego? Nie chcę tak myśleć!

- Błagam cię, Nicolasiu. Barclay był dla mnie tylko... - No, kim? Kim?

W rzeczy samej, kim? Czym? Czemu do licha nie przygotowałam na taką okazję zgrabnej przemowy pełnej poruszających zagrań i wzruszających fragmentów?

- Barclay był jak odskocznia od prawdziwego życia. Był... Świetny w łóżku, czarujący, nieprawdopodobnie bogaty, pewny siebie, ale o tym przecież nie wspomnę, prawda?

- Był... jak ta praca.

- Jaka praca?

Wskazuję na widoczny stąd fragment wybiegu. Modelki nadal maszerują po nim bez przekonania.

- Nasza praca! To, czym się zajmujemy. Wiesz, marzyłam o czymś takim całe życie. Przyglądałam się z daleka Jodie, tęskniąc za flesztami i luksusem. Chciałam być częścią tego

bajkowego świata. Ale teraz, zdaję sobie sprawę, że ten świat nie istnieje. To tylko pozory. Czar przysł.

- I Barclay był dla ciebie takim księciem z bajki?

Nicolas chce, żebym nic przed nim nie ukrywała.

- Był cudowny - przyznaję. - Ale prawdziwe życie jest gdzie indziej.

Czy możemy się już pocałować?

- Wiesz co, Lynn? Masz rację. To tylko sen. Boże!

- A ja chciałbym się obudzić i zdać sobie sprawę, że nigdy nie istniałaś, że nigdy nie pojawiałaś się w moim życiu i nie wyróciłaś go, cholera, do góry nogami!

Kiedy czuję się tak jak teraz, jest tylko jedna osoba, która jest mi w stanie pomóc. Jest nią Muriel.

Jadę taksówką pod adres, który mi podała. To ekskluzywna dzielnica Paryża, nieopodal Lasku Bulońskiego.

Kierowca wysadza mnie przed bramą rodem z horroru. Wchodzę na teren posiadłości pod czujnym okiem kamery i ruszam w kierunku posępnego, pokrytego mchem budynku, stojącego w samym sercu nieco upiornego ogrodu w stylu angielskim.

Muriel macha mi na powitanie zza szklanych drzwi tarasowych.

- Co to ma być? Paryska rezydencja hrabiego Drakuli?

- Niemal zgadłaś. To dom mojego ojca.

Trudno o coś mniej podobnego do ich willi na Riwierze. Wnętrza są ciemne i zagracone masywnymi antykami. Ściany pokrywają stare obrazy. Z ram zerkają ku nam sami nieboszczycy.

Nie ma tu absolutnie nic nowoczesnego. Nie zdziwiłabym się, gdyby do pokoju wszedł ktoś w surducie, pudrowanej peruce i ze szpadą u boku, podniósł wzrok znad czytanych właśnie Niebezpiecznych związków i oświadczył, że za trzysta lat rola Yalmona będzie idealna dla niejakiego Johna Malkovicha!

- Trudno się tu zachowywać swobodnie. Jest jak w muzeum.

- To typowe dla grande bourgeoisie française. Są bardzo przywiązani do przeszłości - stwierdza Muriel. - Mów, co to za wspianiała nowina?

- Marion i kilka grubych ryb ze stajni Martina Villiers przyjdą dziś zobaczyć, czy naprawdę jesteś taka genialna.

- Fajnie - rzuca obojętnie i siada na jakimś tronie.

- Co się stało?

- Sama zobacz. - Podaje mi kartkę papieru. To wydrukowany e-mail.

„Muriel, nie mogę pojawić się na twoim pokazie. Zastąpi mnie Pierre. Jestem przekonany, że odniesiesz sukces. Powodzenia. W imieniu F.B. - Lilian Merdedith, osobista asystentka.”

- Przysłał kwiaty? - pytam, chcąc porównać starania naszych wyrodných rodziców.

- Kwiaty? - Uśmiecha się. - Nie, owoce i czekoladki. Najdroższe. Hediart. Ach, i jeszcze skrzynkę szampana, żeby oblać sukces.

A ja dostałam tylko marny bukietik!

- Rozpieszcza cię.

- Przyjechałam, żeby zmusić go do zjedzenia tego e-maila, ale... już go nie ma.

Francis wrócił na pokład swojego odrzutowca. Szukając nieśmiertelności, leci teraz samotnie nad którymś z oceanów. ..

- Wiesz co, Lynn, nabroiliśmy, ale w końcu wszystko się ułoży.

Czy aby na pewno?

Muriel zrywa się nagle z miejsca.

Ktoś majstruje przy zamku w drzwiach frontowych. Oddaję jej e-mail.

- Cóż... bon appétit.

Skradamy się na palcach do holu, żeby zgotować Francisowi godne przyjęcie, ale zamiast niego pod drzwiami zastajemy Jolantę.

- Ach, to wy. Cześć - szepcze, bardziej zawiedziona niż zdziwiona. Wygląda jak pobite zwierzątko. Misiąc miodowy dobiegł końca.

- Rzucił cię, prawda? - pyta Muriel łagodnie. Modelka wzrusza ramionami. Nie on pierwszy, zdaje się mówić.

- Kazał mi zostawić je gdziekolwiek. - Wręcza Muriel klucze.
- Mam tu jeszcze parę osobistych drobiazgów, rozumiecie. .. - Wskazuje głową na piętro.

- Nie krępuj się.

- Nie uprzedził mnie, że ktoś tu będzie. Powiedział, że mogę zostać cały weekend, bylebym wyprowadziła się do niedzieli wieczorem.

- Oddaję ci dom do dyspozycji. - Muriel zwraca jej klucze. - Właśnie zbierałyśmy się do wyjścia.

Odprowadzamy ją wzrokiem, gdy zaczyna się wspinać po monumentalnych schodach.

- Tak bardzo jej zazdroścę - odzywa się Muriel. Wiem, wiem. Ta Czeszka jest taka szczupła!

- Odda klucze, spakuje się i już jej nie ma. Nigdy więcej nie musi go oglądać.

Jestem taka prymitywna! Wstyd mi za siebie.

Krok dziewiętnasty:

Historia każdego sukcesu ma swój punkt kulminacyjny
Cholera jasna!

Nic nie działa. Nic nie jest gotowe. Wszyscy się spóźniają. Nie udało nam się także wstrzymać ruchu ulicznego - co jakiś czas kolejny samochód ignoruje nasze barykady. Nie zjawiała się jeszcze żadna z modelek. Żaden fotograf. Żaden dziennikarz. Gdzie się wszyscy podziali, u licha? Jak mogłam pozwolić im się wymknąć, uspokojona deklaracją, że „może przyjdą”? Przypominam jakąś żalostną solenizantkę, którą wykiwali wszyscy potencjalni goście. Gdzie jest Muriel? To będzie katastrofa! Gdzie podziałam torebkę z komórką? Muszę ich tu ściągnąć. Pomocy! Pomocy!

Znalazłam gwiazdę wieczoru. Wygląda na dziwnie spokojną. Tak właściwie wygląda nawet na spokojniejszą niż zwykle. To zły znak, wierzcie mi, wiem, co mówię. Lada chwila może wybuchnąć i potem się załamie.

- Gdzie się podziały modelki? - pyta trzeźwo. Do pokazu została tylko godzina, a robotnicy dopiero co skończyli ustawiać namiot-zaplecze. Jedna godzina! Co robić? W namiocie siedzą wśród wieszaków wszyscy nasi pracownicy. Czekają na cud, śledząc mnie wzrokiem. I co, Lynn? To tak ma wyglądać twój pokaz uliczny? Obiecałaś i co? Gdzie są modelki? Czy to nie ty miałaś załatwić modelki?

Milczę.

Szczerzę tylko zęby w uśmiechu.

- Spokojnie, modelki już jadą.

- Nie zdążymy ich przygotować, skarbie - narzeka jeden z fryzjerów.

- Wszystko będzie w porządku - powtarzam po raz setny i dzwonię do Louise z agencji Fjord Models. Znów włącza się poczta głosowa. Wychodzę z namiotu, żeby nagrać kolejną gniewną wiadomość.

- Louise, zadzwoń do mnie! To sprawa życia i śmierci! Gdzie u diabła są wszystkie modelki?!

Spoglądam na zegarek. Jeszcze pięćdziesiąt pięć minut. Boże, ratuj! Ześlij na Paryż powódź i niech popłynę z prądem!

Podchodzę do wybiegu. Nadal pracują nad nim robotnicy.

- Ile to potrwa? - pytam jednego ze stolarzy.

- Czy ja wiem, jakąś godzinę - odpowiada.

- Dlaczego tak długo!?! Ignoruje mnie.

Zaraz oszaleję!

Na małej trybunie dla kamerzystów i fotografów wciąż nie ma nikogo. Żywego ducha!

Dobry Boże, spraw, żebym stała się niewidzialna.

Podchodzi do mnie młoda kobieta. Marszczy czoło, usiłując sobie przypomnieć, skąd mnie zna, ale ja rozpoznaję ją natychmiast - to dziewczyna, która dała mi identyfikator na tamtej premierze filmowej. Dziś pracuje dla nas.

- Vous ?tes Lynn Blanchett? - pyta.

- Nie mówię po angielsku. To znaczy, po francusku. Tylko po angielsku. - Usiłuję udawać rozluźnioną, ale jestem świadoma tego, że w jej uszach to bełkot.

- Lynn Blanchett? - Chwyta mnie za nadgarstki, próbując uspokoić.

- Tak, tak, to ja - mamroczę, gotowa się rozplakać.

- Jestem z firmy ochroniarskiej Security Show. Będę kontrolować gości i zarządzać ochroniarzami. Ale mamy problem.

Doprawdy? Kto by pomyślał.

- Udało nam się w końcu wstrzymać ruch uliczny, ale nie możemy gwarantować pełnego bezpieczeństwa.

- Jakiego pełnego bezpieczeństwa?

- Tu jest mnóstwo drzwi i bram, za dużo przestrzeni. Nie wyłapiemy wszystkich przechodniów. Na teren pokazu mogą wtargnąć nieproszone osoby.

- Ach tak. - To chyba nie problem, skoro i tak nikt nie przyjdzie. - I o to w tym wszystkim chodzi. To ma być wydarzenie uliczne. Jak w teatrze alternatywnym. Rozumie pani?

- Nie, nie rozumiem. Ktokolwiek wpadł na ten pomysł, nie przemyślał go dokładnie.

- Hej! - wołam za nią. - Czy któryś z gości już się pojawił?

Dziewczyna zatrzymuje się i zaczyna przeglądać swoje różnokolorowe listy.

- Według mnie nie, ale niczego nie jestem pewna. W tych warunkach nie da się kontrolować, kto wchodzi lub wychodzi. - Naprawdę ma dość tego chaosu, który stworzyłam. Dręczą mnie wyrzuty sumienia. Czuję się taka beznadziejna.

Wracam do namiotu, gdzie nikt nie ruszył ani o milimetr. Nadal czekają, aż coś się wydarzy. Na przykład, że zjawią się modelki. Muriel włożyła okulary przeciwsłoneczne. Kolejny zły znak. Tylko krok dzieli ją od załamania nerwowego. Wie, że zmierzamy wprost ku katastrofie.

- I jak tam? Wszystko w porządku, Lynn?

- Jasne. Może będziemy mieli pięć minut opóźnienia, ale to wszystko.

Spoglądam na zegarek. Zostały jeszcze trzy kwadranse.

Dzwoni moja komórka. Rzucam okiem na wyświetlacz i widzę, że to Nicolas.

Czego on u licha chce?

Czuję, że nie może chodzić o nic dobrego.

Wychodzę z namiotu, żeby Muriel nie słyszała tej rozmowy.

- Nicolas, mam teraz urwanie głowy! - zaczynam, jakbym miała zamiar go zbyć, choć coś mi mówi, że nie tęskni za przyjacielską pogawędką.

- Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że nie mam z tym nic wspólnego. - Z tym? Kolana uginają się pode mną. - Chcę was ostrzec. Wystawili was do wiatru. To sabotaż.

Lynn, oddychaj głęboko.

- Co masz na myśli?

- Zaufaj mi. Dopiero kilka minut temu dowiedziałem się, co się święci.

- O czym ty mówisz, na miłość boską? - drę się na całe gardło.

- Majstrowali przy waszej rezerwacji. Modelki się nie zjawia.

- Kto majstrował?

- Xavier Urbain.

- A to dopiero niespodzianka - cedzę przez zęby, starając się nie zemdleć. - To gdzie są teraz te dziewczyny?

- Dostały na tę godzinę inne zlecenia.

- Od kogo?

- Od najróżniejszych projektantów. Bardziej cenionych. Dziewczyny są teraz rozsiane po całym mieście. Tak mi przykro. Gdybym mógł jakoś...

Rozłączam się.

Według mojego zegarka mamy jeszcze czterdzieści jeden minut.

Dzwonię ponownie do Louise i tym razem odbiera.

- Nie rozumiem, w czym problem, Lynn - mówi. - Piętnaście dziewczyn, na jutro na godzinę piątą. Potwierdzaliście nowy termin dwukrotnie.

- Kto potwierdzał?

- Niech spojrzę... - Słyszę szelest dokumentów. - Dostałam od was kilka faksów. Cholera!

- Louise, gdzie są teraz nasze modelki?

- Pracują. Część dla Diora, w Carrousel. Inne dla Paca Rabanne'a.

- O której będą wolne?

- Hmm...

- To sprawa życia i śmierci, Louise. O której skończą?

- Nie jestem pewna. Musiałabym wykonać kilka telefonów.

- Słuchaj, pędzę teraz do Carrousel. Złap którąś na komórkę i powiedz, żeby na mnie poczekały. Mają nie zmywać makijażu i nie niszczyć fryzur. Już po nie jadę.

- Lynn, tak się nie da. Nie odzyskasz tej piętnastki. Zerkam na zegarek. Trzydzieści dziewięć minut.

- Błagam, dzwoń. Będę tam za pięć minut. Tym, które ze mną pójdą, zapłacimy podwójnie.

- Niczego nie mogę ci obiecać.

Rozłączam się, a mój telefon natychmiast zaczyna dzwonić. To znów Nicolas.

- Musicie odwołać pokaz. Czy mam zadzwonić do Muriel i wyjaśnić jej, co zaszło?

- Niczego nie odwołujemy - wołam i kończę rozmowę. Wracam do namiotu.

Do naszej zdruzzonej grupki dołączyła Karolina.

- Karolina! Świetnie! Możecie się za nią zabrać - zwracam się do fryzjerów i makijażystów - a ja jadę po resztę dziewczyn. Miały problem z transportem. Wracam za dziesięć minut.

- Muriel nie chce, żeby brała udział w jej pokazach - protestuje Murzynka. - Mówi, że to nie byłoby w porządku. - Widzę jednak, że sama nie może się doczekać.

- Ale dziś zrobisz wyjątek, prawda? - pytam Muriel i odciągam ją na bok.

- Te dwie tancerki z Nowego Jorku, twoje sublokatorki, przyjdą?

- Są zaproszone - odpowiada Muriel odruchowo. Wie, że ukrywam przed nią coś strasznego.

- Jak tylko się pojawią, ściągnij je do namiotu i przygotuj na wybieg.

- Ale przecież to nie modelki! I kreacje nie były na nie krojone!

- Jakoś się wcisną. Zaraz wrócę z resztą dziewczyn. Odchodzę, myśląc o tym, skąd wytrzasnąć tak duży samochód.

- Muriel! - odwracam się na chwilę. - Tylko nie pozwól nikomu odwołać pokazu do mojego powrotu, bez względu na okoliczności, dobrze?

Mijam wybieg. Wokół kręci się już parę osób. Trudno powiedzieć, czy to zaproszeni goście, czy tylko przypadkowi przechodnie. Stanowisko dla prasy nadal jest zupełnie puste.

Próbuję ominąć dziewczynę z ochrony, ale mnie zauważa.

- Chaos! - krzyczy. - Nad niczym nie mamy kontroli! Wzruszam tylko ramionami i idę dalej. Widzę, że ulica za barierkami jest zupełnie zakorkowana - niezliczone samochody stoją w miejscu. Dojazd do Carrousel zajęłyby z godzinę, a zostały, chwileczkę, trzydzieści dwie minuty.

Wyjmuję telefon. Muszę przełamać wewnętrzny opór. Ech... Wystukuję numer. Dzięki Bogu, jego właściciel odbiera natychmiast.

- Słuchaj, nie dzwoniłabym, gdyby nie chodziło o coś naprawdę ważnego...

- Lynn, to ty?

Odwracam głowę. Odeszłam już na tyle daleko, że na pewno nikt mnie nie słyszy, nawet ta dziewczyna z listą gości.

- Hubercie, musisz mi pomóc - mówię i zaczynam płakać.

* * *

Miotam się po korytarzach Carrousel.

- Gdzie one są? Nikogo nie widzę - wołam w słuchawkę. Nagle słyszę, że Louise rozmawia z kimś po francusku na drugiej linii.

- Louise?

- Czekają pod sklepem Virgin.

Dobiegam do odwróconej szklanej piramidy przed wejściem do Virgin. Stoi tam grupka niezwykle wysokich dziewcząt. Ubrane są wprawdzie całkiem zwyczajnie, ale mają szokujące fryzury i szalone makijaże.

- Louise? Niech cię Bóg błogosławi.

Macham do nich, ale tylko przyglądają mi się podejrzliwie. Nie mają pewności, czy ta rozczochna karlica jest osobą, której wypatrują. Jedna z modelek rozmawia przez telefon, zapewne właśnie z Louise.

- Louise, powiedz im, że mają iść za tą karlicą, która do nich macha.

Podbiegam bliżej i wołam:

- Za mną, szybko!

Dzwonię teraz do Muriel. Odbiera, ale milczy.

- To ja, Lynn. Odpowiada mi cisza.

- Już jedziemy. - Według mojego zegarka, pokaz rozpoczął się oficjalnie dziesięć minut temu. - Daj nam góra dwadzieścia minut. Uszy do góry.

Cisza.

Przepuszczam modelki w drzwiach. Jest ich dziewięć.

- Żeby tylko był - modłę się na głos i zaraz dziękuję Bogu, bo Dave podejźdza już po nas limuzyną. Wyskakuje na chodnik i otwiera tylne drzwiczki.

- Dave, niech cię Bóg błogosławi!

- Nie ma szans. Bóg już dawno machnął na mnie ręką. Osiem chudzin udaje nam się wcisnąć na podwójną kanapkę z tyłu, ale jedna musi mi usiąść na kolanach.

- Gazem, Dave.

- Ma się rozumieć - mówi i podaje mi słuchawkę samochodowego telefonu.

- Długo jeszcze? - pyta Hubert. - Już jedziemy.

- A ja jestem na miejscu. Widzę pierwszych gości. Z pierwszej ligi.

- Jacyś dziennikarze?

- Zaraz się zjawią. Zadzwoiłem w parę miejsc. Nie ma co - księżę z bajki!

- Daj mi Dave'a do telefonu.

Podaję słuchawkę kierowcy. Kiwa tylko głową i zaraz się rozłącza uśmiechnięty.

- Co powiedział?

- Uwinę się w pięć minut, to będę bogaty. Dojeżdżamy w pięć minut i bez ofiar w ludziach. Jesteśmy tuż przed barierkami i Dave pyta, czy ma zaparkować w pobliżu, ale...

Mam lepszy pomysł! Dzwonię do Muriel. Odbiera. Milczy.

- Muriel, każ technikom włączyć muzykę!

- Co takiego?

- Włączajcie muzykę, szybko!

Proszę Dave'a, żeby podjechał pod sam wybieg, a ochroniarzy, żeby nas przepuścili. Wszystko w porządku.

To tylko mój kolejny szalony pomysł.

Wiecie, coś tak odjazdowego jak papierowa kolekcja Jodie.

Rozbłyskują reflektory.

Zebranych ogłusza muzyka.

Nasza limuzyna przedziera się powoli przez tłum. Na jej widok ludzie zaczynają bić brawo. Dave parkuje przy samym końcu wybiegu. Wyskakuje z auta, otwiera tylne drzwiczki, a ubrane w zwykle ciuchy modelki wysiadają i jak gdyby nigdy nic ruszają w stronę kulis. Tłum przyjmuje ich przemarsz z aplauzem

To takie niepretensjonalne.

Modelki i tak wyglądają szalowo.

Gościom się to podoba.

Oto prawdziwy pokaz.

Na limuzynę nikt nie zwraca już uwagi, mogę więc spokojnie wysiąść. Dziewczyny znikają w namiocie, Dave odjeżdża, a Karolina pojawia się na wybiegu w pierwszej kreacji.

Muzyka dudni.

Tłum się iskrzy.

To trzymane przez wszystkich kieliszki szampana!

Karolina prezentuje się znakomicie.

Całe zajście wydaje się starannie zaplanowane.

Znów zerkam na zegarek. Mamy czterdzieści minut spóźnienia, ale pokaz nareszcie się zaczął. I jest niezły!

Wokół wybiegu tłoczy się tłum zainteresowanych.

Większość z nich to przypadkowi przechodnie, zwabieni przez światła i wypatrzący gwiazd.

Nie zawiedli się. Witają Karolinę oklaskami. Nie widzieli jeszcze nigdy na żywo kogoś tak pięknego. Słyszeli, że to możliwe, oglądali telewizję, czytali opisy, ale nigdy jeszcze nie stali oko w oko z boginią. A teraz pojawiła się tu specjalnie dla nich!

Spoglądam na stanowisko dla prasy. Przeżywa inwazję. I tam pełno przypadkowych osób z ulicy, ludzi chcących mieć lepszy widok. Dostrzegam jednak kilku fotografów i parę kamer.

Jest i Hubert. Stoi skupiony obok jednego z operatorów. Zachowuje się bardzo profesjonalnie. Nie widzi mnie, mogę więc prześliznąć się do namiotu. Naprawdę nie wiem, jak mu dziękować. Jest mi wstyd. Oto mężczyzna, którego porzuciłam, przychodzi mi z pomocą, a ja wymykam się po kryjomu.

Znikam za kulisami i dołączam do modelek.

Przebierają się właśnie po raz pierwszy i jedna po drugiej znikają na wybiegu.

Z zewnątrz słycać okrzyki. Widownia szaleje.

Muriel uśmiecha się na mój widok. Udało się. Jesteśmy rodziną. Kiwam głową. Jestem wykończona psychicznie. Muszę usiąść.

To właśnie cała Muriel B. Młodość, szaleństwo, zabawa, szokowanie i spryt.

Chowam się w jakimś kącie, jak najdalej od tego całego bałaganu.

Zaczynam szlochać.

To zdrowy płacz, płacz, który oczyszcza.

Odwracam się. Modelki kończą stopniowo pierwszą rundę i znów się przebierają.

Przeczesuję namiot wzrokiem.

Tak bardzo bym chciała, żeby tu teraz był.

Niewdzięczna krowo! Powinnaś paść przed Hubertem na kolana i błagać o wybaczenie, a potrafisz myśleć tylko o tym, jak by to było wspaniale, gdyby Nicolas mógł być świadkiem twojego triumfu.

Dzwonię do niego.

- Udało nam się, Nicolasie.

- To znaczy?

- Pokaz wszystkim się podoba. Sam posłuchaj. - Podchodzę do wybiegu. - Słyszysz? Udało się nam. Publiczność szaleje.

- Lynn, Lynn, c'est mon tour - woła Marc. - Regarde! - Skończył właśnie ubierać Karolinę w suknię ślubną z pająkiem. Czarnoskóra modelka wygląda olśniewająco.

- Rozmawiam z Nicolasem.

- Dlaczego go tu nie ma?

- Sam go o to zapytaj.

- Bien alors, o? t'es, mon chéri? Oui, oui, c'est la folie ici. Ils adorent. Ils adorent, je te dis! - Oddaje mi słuchawkę.

- Przyjeźdź, proszę.

-Wiesz, że nie mogę, Lynn, ale bardzo się cieszę. Naprawdę cholernie się cieszę.

- Nie poradzilibyśmy sobie bez ciebie!

Robi się taki hałas, że nie słyszę już, co mówi. Rzucam więc tylko, że ma się zjawić jak najszybciej, i rozłączam się, nie czekając na kolejną odmowę.

Próbuję dostać się do Muriel, ale jest tak zajęta rolą gwiazdy wieczoru, że nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi.

Przypycham się wśród modelek, fryzjerów i makijażystów, ale ubiega mnie Karolina. Łapie Muriel za rękę i wyciąga na wybieg.

Ich prywatne marzenie nareszcie się spełniło. Oto panna młoda z panem młodym. Za nimi podążają pozostałe dziewczęta. Podchodzę do wybiegu, żeby mieć lepszy widok.

Karolina podnosi welon i całuje swoją partnerkę. Tak bez udawania. Po francusku. Jak przystało na prawdziwe kochanki.

Widownia euforycznie im dopinguje, ludzie chcą powtórki, ale to już koniec. Rozpromieniona Muriel kłania się na pożegnanie.

Przyglądam się zebranym. Nawet dziewczyna z listą gości bije brawo. Obsługiwała wiele imprez, ale nigdy nie bawiła się tak dobrze. Z wrażenia zapomniała kontrolować wchodzących i wychodzących. U jej boku dostrzegam Kazo.

Nie uśmiecha się, nie wiwatuje, klaszcze tylko niczym robot, oznacza to jednak, że mistrz jest usatysfakcjonowany.

Wiem! Postanowił nas kupić!

Jesteśmy bogaci!

- J'ai jamais vu ça, chérie, jamais . - Marc jest taki podekscytowany, że chwyta mnie w ramiona. Dobrze jest się do niego przytulić. Rozpiera nas wszystkich duma. Muriel B. rządzi. Ta dziewczyna jest genialna.

Otwieram lodówkę, żeby wyjąć kolejną butelkę Veuve Cliquot.

- Trzeba było poprosić - rzuca przystojny kelner, mijając mnie z tacą tartinek z gęsią wątróbką. Próbowaliście? Ja jeden jedyny raz. Cudem powstrzymałam się przed wypluciem wszystkiego na dywan. Ohyda! Ale pośladki kelnera apetyczne.

- Hej! - Zatrzymuję go, zanim wychodzi z kuchni. - Chcesz szampana?

Uśmiecha się. Beau gosse , mawiają Francuzi. Pewnie to gej.

- Wylaliby mnie.

- Może później - mówię i przeciskam się obok niego, żeby wrócić do salonu.

Opamiętaj się, dziewczyno! Więcej samokontroli!

Firma cateringowa dokonała cudu. Mieszkanie Muriel przypomina teraz surrealistyczny klub po brzegi wypełniony modnie ubranymi, podchmielonymi balownikami.

- Lynn! - wrzeszczy Muriel. - Nie zostawiaj mnie tak, ty suko!

Oczy wszystkich są na niej, tak jak lubi.

- Nie słuchajcie jej. Tak naprawdę mnie uwielbia.

- Uwielbiam tę dziewczynę! - drze się projektantka. - Kocham ją!

Pada mi w ramiona. Jest taka zachłanna! Więcej szampana! Więcej miłości! Więcej mnie! Śmieje się, podekscytowana. Traci nad sobą kontrolę. To zasługa mieszanki sławy i szampana.

- Lynn, wiesz, kim dla mnie jesteś? - Potyka się, ale łapie równowagę. - Jesteś najlepszą rzeczą, jaka przydarzyła mi się w życiu!

- A ty wiesz, jaka jesteś?

- Genialna! - krzyczy na całe gardło, żeby wszyscy ją usłyszeli.

- Pijana jak bela.

Podchodzi do nas ten przystojny kelner.

- Może gęziej wątróbki?

Muriel bierze tartinkę z tacy i przygląda się chłopakowi.

- Śliczny jesteś!

- Ale nie pije szampana - dodaje. Kelner rzeczywiście jest śliczny.

Młodzieniec obdarza nas zabójczym uśmiechem i znika w tłumie. Najwyraźniej nie w głowie mu flirty.

- Hej! On nie może tak po prostu odejść. Jestem genialna! Coś mi się należy!

Muriel zapomina, że jestem najlepszą rzeczą w jej życiu, i idzie do kuchni przekonać kelnera o swojej wyjątkowości.

A tak w ogóle, gdzie podziała się Karolina? Rozglądam się, ale widzę tylko Marca, a obok niego... Cholera! To Nicolas!

Marc właśnie go przytula. Lubi przytulać ludzi. Nicolas zachowuje dystans i wydaje się trochę zagubiony.

Biedaczek!

Zauważył mnie!

Patrzę mu prosto w oczy i wyrzuty sumienia znikają. Zapominam o Hubercie. Myślę sobie, oto mężczyzna, z którym pragnę dzielić życie. Potrzebuję go. Nic innego się nie liczy.

Uśmiecham się. Chcę, żeby podszedł bliżej. Chcę ukoić jego nerwy. Wiem, że to potrafię.

- Tak mi przykro - odzywa się pierwszy.

- Nie przejmuj się. Wszystko w końcu wypaliło.

- Nie powinienem tu być teraz z wami.

- Nicolas, rozluźnij się. Nalej sobie szampana. Ty też się przyczyniłeś do naszego sukcesu.

- Jeśli Urbain się dowie, że tu jestem, to koniec.

- Nie słyszałeś, co powiedziałam? - Łapię go za rękę, zaciągam do kuchni i wciskam w dłoń pełny kieliszek.

- Pij, to rozkaz, i posłuchaj uważnie! Nie odstawia kieliszka, ale i nie pije.

- Pijemy dziś za zwycięstwo.

- Tak. Wygrałaś, Lynn. Kurczę, dosyć tego!

Pochylam się i całuję go. Nie w policzek, na pociechę. Na poważnie. Tak, jak Karolina pocałowała Muriel.

Wiem, że czuje się zagubiony, bo to terytorium Muriel B. Wiem, że na jej terytorium jest bezbronny. Wiem, że niecnie ten fakt wykorzystuję. I co z tego?

Nicolas odsuwa się ode mnie zmieszany. -W porządku - mówię i znów biorę Nicolasa za rękę. Musinn znaleźć miejsce, gdzie moglibyśmy pobyć sami.

- Czas na mnie - mówi.

- Świetny pomysł, dopiero co przyjechałeś, ale coś ci powiem. Wychodzimy razem. Pojedziemy do mnie. A potem... - Próbuję złapać go za rękę, ale się wyrывa.

- Zrozum, nie mogę... - Brzmi to znajomo.

Tak właśnie tłumaczyłam się Hubertowi, gdy chciałam mu dać do zrozumienia, że... że go nie kocham. To mnie nieco otrzeźwia.

- Czego nie możesz?

- To nie w porządku.

- Nie w porządku? A co to właściwie znaczy „w porządku”? Może podasz mi definicję, co? - Słyszę w moim głosie gniew i

on też go słyszy. Zostawia mnie samą w kuchni. Rzucam się za nim do drzwi. Z trudem toruję sobie drogę w tłumie. Nie chcę, żeby Nicolas odszedł beze mnie. Mam gdzieś, co myślą o mnie inni. Nie obchodzi mnie to, czy jestem śmieszna. Po prostu chcę z nim być.

- Zatrzymaj się! - rozkazuję, ale czy mnie słyszy? Chwytam go za rękaw i wołam bezwstydnie: - Chcę być z tobą! -No, teraz staje. Ale wygląda dziwnie, jakby go coś poraziło.

Czyżbym byk czarownicą? Zatrzymałam czas?

Nie, to tylko ja mam okropnego pecha. Odwracam się, żeby sprawdzić, w co Nicolas tak się wpatruje, i również nieruchomieję.

Oprócz nas w holu znajduje się Hubert Barclay. Puszczam rękaw Nicolasa.

Nie, nie jest tak jak myślisz, Hubercie. Nie łamiemy ci w tej chwili serca, a ty nie wychodzisz na głupka. Omawialiśmy po prostu pewne kwestie zawodowe.

Barclayowi nie trzeba żadnych wyjaśnień. Wystarczy mu to, co widział.

- Spóźniłem się - mówi. - Nie byłem pewien, czy jestem tu mile widziany.

- Nie...

- Nic się nie stało. Żegnam. I już go nie ma.

Nie zdążyłam nawet go przeprosić. Boże! Trudno mi uwierzyć, że potrafię tak podle traktować tego człowieka. Wybacz mi, Hubercie, a tak przy okazji, dzięki za uratowanie pokazu!

Nicolas spogląda na mnie.

Tylko nie to!

Rozpoznaję ten wyraz twarzy. Jest zły.

Przeze mnie musiał zmienić pracę. Całe to zamieszanie to moja wina. A na domiar złego zżera go zazdrość.

- To się nigdy nie skończy - stwierdza smutno i wychodzi. Dylemat z głowy.

Nicolas czy Hubert? Przystojniak czy bogacz?

Ani jeden, ani drugi, kochana! Obaj wzięli nogi za pas!

Wchodzę do sypialni Muriel. Bardzo tu cicho. Geniuszka śpi. Gdy kładę się koło niej, coś mamrocze. Dręczą ją chyba koszmary. Głaszczę dziewczynę po głowie i uspokajam. Potem zamykam oczy.

O ileż prostsze byłoby życie, gdyby mężczyźni nie istnieli. Po prostu raj na ziemi.

RS

Krok dwudziesty:

Pierwszy sukces przyciąga dalsze

Chlup, chlup. Wpatruję się we własne stopy młócące wodę w basenie.

- Czy ktoś ma jakieś życzenie? Jadę do miasta.

Podnoszę wzrok. Zdejmuję ciemne okulary. Karolina przebrała się w lekką letnią sukienkę i ma na głowie słomkowy kapelusz.

- Kup mi „Paris-Match” - prosi Muriel. - Chyba jest coś o nas. I jeszcze „VSD”.

- Spaliłaś się - mówi Karolina i ma rację. Wyglądam jak średnio wysmażony stek.

Muriel zerka w moją stronę znad swojej „Marie Claire”. Kręci głową i cmoka z dezaprobatą. Sama nigdy nie przebywa na słońcu, tylko w cieniu drzew. Owinięta jedwabnym kimonem, leży w nonszalanckiej pozie na rattanowym szezlongu. Krzyczy „rak” za każdym razem, gdy jakiś promień przenika jej parasol.

- Światło słoneczne stymuluje produkcję witaminy D, a także...

- Sprzyja rozwojowi czerniaka i zmarszczek - kończy Muriel, jakby cytowała magazyn, który właśnie przegląda. - Posłuchaj tylko: „Muriel B. udało się tam, gdzie większość projektantów poniosła porażkę, a jej kreacje nie straciły przy tym na oryginalności i głębi przekazu”. No proszę! - Odkłada czasopismo na bok. - Mamy szansę zostać rewelacją tygodnia.

Wciąż nie ma dość. Teraz z kolei sięga po francuską edycję „Vogue'a”. Zamierza ponownie przeczytać ich reportaż z naszego pokazu.

Na chwilę zanurzam głowę pod wodą i myślę o tym, co powiedziała Muriel. Będąc częścią naszego zespołu, sama też jestem rewelacją tygodnia. To trzeba uczcić. Wynurzam się i zwracam do Karoliny:

- A mi kup, proszę, trochę tego wybornego sorbetu z porzeczek.

- Wiecie, że na pokazie była Charlotte Gasbarg?

Nie odpowiadam. Słyszałam to pytanie już setki razy. To prawda, zaszczyliły nas swoją obecnością gwiazdy dużego kalibru.

- „Plus jolies les mes que les autres, les stars sont descen-dues dans la rue pour assister au défilé Haute Couture de Muriel B.*
- czyta ponownie na głos.

Podpieram się dłońmi o krawędź basenu, wydostaję na brzeg i siadam na samym skraju. Okolica willi Boutonniere'ów jest naprawdę piękna. Ten zapach sosnowych igieł i cykające świerszcze!

Czysta poezja!

- Mówiłam ci już, że Paco Rabanne uważa moją kolekcję za najważniejszą w tym roku? Tylko co miał na myśli, dodając „w tym roku”? Chciał umniejszyć jej znaczenie?

- Nie znoszę sorbetu z porzeczek - stwierdza Karolina. Podobnie jak ja ignoruje przechwałki Muriel już od ładnych kilku dni. Wywody naszej gwiazdy są równie monotonne co cykanie owadów.

- Błagam, zejdź ze słońca, patrzeć na ciebie nie mogę. -Muriel poklepuje zachęcająco wolne miejsce koło siebie. -Spiesz się, żeby wyglądać jak moja babcia?

- Pojadę skuterem - decyduje Karolina.

Uwielbia jeździć na nim do Saint-Tropez. Żałujcie, że nie możecie jej wtedy zobaczyć. Wysoka, czarnoskóra piękność na staromodnym skuterze śmiga po ulicach miasteczka, przytrzymując swój słomkowy kapelusz. To naprawdę robi wrażenie.

- Daj mi trochę gotówki - prosi i Muriel sięga po torebkę. Podaje jej jeden banknot. - Powinnam dostać honorarium za udział w pokazie.

- To była dla ciebie niezła reklama, a ta jest najważniejsza. Spytaj naszą specjalistkę od public relations.

Karolina spogląda na mnie i wykrzywia twarz.

Trudno pogodzić jej się z tym, że tu przyjechałam. To pomysł Muriel - początkowo miały wymknąć się na Riwierę tylko we dwie.

- Pójdziemy gdzieś wieczorem?

- Wolę upić się w domu - proponuję.

To najlepsze wakacje mojego życia. I Muriel też.

Objadamy się sałatką z tuńczykiem, upijamy schłodzonym winem i spędzamy długie, leniwe godziny, leżąc nad basenem. Mężczyznom na teren willi wstęp surowo wzbroniony! Bez nich jest cicho i spokojnie, po prostu bosko. A myślą, że nie możemy się bez nich obyć! Cha, cha! Zarozumiali głupcy!

- Ciągłe tylko wino i oglądanie telewizji. Powinniśmy zaszaleć na mieście, nacieszyć się sławą. Pojedźmy do Cannes. Jesteśmy zaproszone na przyjęcie Gucciego.

Tak naprawdę tylko Muriel jest zaproszona. My byłybyśmy na doczepkę.

- Czy ja wiem...

- Wszyscy tam będą. Każdy, kto się liczy. Możesz zawrzeć korzystne dla firmy znajomości.

Biorę do ręki „Marie Claire” i otwieram na chybił trafił, ale dzięki Muriel trafiam od razu na relację z jej pokazu. Na jednym ze zdjęć Kazo pozuje z topmodelką Magdaleną Kurkową.

- Nie interesują mnie wymuszone pogawędki z grubymi rybami.

Muriel zsuwa okulary przeciwsłoneczne na koniec nosa, żeby przyjrzeć mi się uważnie.

- To wyjazd służbowy. Na tym właśnie polega twoja praca. A niech to!

Noc jest upalna, otworzyłyśmy więc na oścież wszystkie okna i drzwi.

- Szkoda, że nie lecimy helikopterem, jak ostatnio - wzdycha Karolina, oderwawszy wzrok od gigantycznego ekranu telewizora.

Muriel wzrusza ramionami.

- Nie przepadam za lataniem. Zbyt wielu ludzi ginie w wypadkach lotniczych. - Siedzi na ciemnobrązowej kanapie ze skóry i skacze po kanałach w takim tempie, jakby zamiast pilota trzymała karabin maszynowy.

Czekamy na szofera.

- To syndrom Ikara - rzucam pod nosem i podchodzę do zajmującej całą ścianę biblioteki.

- Spaliłaś się - mówi do mnie Karolina oskarżycielskim tonem. Prawdę mówiąc, nawet Muriel złapała nieco słońca. Ma zaczerwieniony nos, choć siedziała w cieniu. To tutejsze powietrze. Albo światło. Albo to, że są wakacje.

Sięgam po jakąś francuską książkę. Tak się składa, że nosi tytuł Villa Triste . Nazwiska autora nie potrafię wymówić. Smutny dom... To się akurat zgadza. Smutno mi, że nie mogę tu zostać dziś wieczorem. Żałuję, że nie mogę przeczytać tej książki i poznać zakończenia. Otwieram ją i udaję, że coś jednak rozumiem. Mój Boże, jak musimy wyglądać w oczach postronnego obserwatora! Oto trzy dziewczyny w cudnej willi na południu Francji, pogrążone w lekturze wyrafinowanych powieści, czekają na limuzynę, która ma je zawieźć na przyjęcie Gucciego.

Nie ma co, młoda elita. Ulubienice „Vanity Fair”.

- To gdzie jest ta impreza? - pytam, ni to znudzona, ni to poirytowana, a to dlatego, że znów mam osiem lat i nie chcę, za nic nie chcę iść do cioci Marty! Zostanę w domu! Będę oglądać telewizję i pić chłodne wino! A właśnie że tak!

- W Palm Beach - odpowiada Muriel z opóźnieniem. Karolina kręci głową z dezaprobatą. Spadłam z księżycy?

- Wszystkie imprezy odbywają się w Palm Beach. Odkładam książkę na stosik „do przeczytania” i wychodzę na taras.

- Wyglądasz tak... romantycznie.

Przez krótką chwilę Muriel woli patrzeć na mnie niż na reklamy.

Słusznie: mam na sobie jedną z jej sukienek, uszytą na miarę.

Mówię wam, nie poznalibyście mnie na ulicy!

- To ta sukienka - prycha Karolina. - Każdy by w niej wyglądał romantycznie. - Przybiera zgrabną pozę i czeka z nadzieją na komplement pod swoim adresem.

- Jest w tobie coś... coś littéraire. Przypominasz mi lesbijską bohaterkę jednej ze starych powieści.

- W starych powieściach nie występują lesbijki - protestuje Karolina.

- Wiesz, o co mi chodzi. Lepiej przynieś nam szampana. Ale gdy dziewczyna wraca z butelką, z zewnątrz słychać już nawoływanie:

- Bonjour! Il y quelqu'un?* - To kierowca. Zabierze nas prosto do piekła.

* * *

- Kochamy was - mówi, mając na myśli tylko Muriel. Nie jest już tylko dziedziczką fortuny Boutonniere'ow, jest geniuszem mody, z którym wypada się pokazać.

- Wasz pokaz był po prostu... Aż brak słów.

- Byłeś tam?

- Nie, niestety. Ale sporo się nasłuchałem. Wystrzałowy, tak mi mówiono. Wystrzałowy!

- Nie jestem pewna, czy „wystrzałowy” to trafne określenie - wtrącam.

- A ty jesteś pewnie...?

- Lynn pracuje dla mnie - wyjaśnia Muriel. - Jest moją prawą ręką.

- Ach tak.

- Jest córką Jodie Blanchett. Czyli, nie oszukujmy się, nikim.

- Doprawdy?

Albo jest się gwiazdą, albo nikim. Jesteś córką, współpracownicą? Równie dobrze mogłabyś u niej sprzątać.

- Muriel, ici!* - woła kobiecy głos. To ta sama fotoreporterka, która robiła nam zdjęcia w paryskim Mean Ray.

Muriel bierze mnie i Karolinę za rękę. Przysuwamy głowy tak blisko do siebie, że dotykamy się policzkami, a wargi układamy w dzióbki, jakbyśmy chciały pocałować obiektyw. Zdjęcie, jeśli kiedykolwiek się ukáže, podpisane będzie: „Muriel B. w klubie Palm Beach z dwiema przyjaciółkami”.

- A teraz tylko ty. - Odsuwamy się posłusznie. Stoimy z boku, nieco tą sytuacją zażenowane.

Nie chcę być niezyczliwa. Czuję tylko instynktownie, że i mnie należy się trochę zainteresowania, ale wiem dobrze, że nic z tego. Poddaję się i odchodzę.

Karolina zostaje. Próbuje trzymać się blisko swojej dziewczyny, gotowa znosić poniżenie, byle tylko nie stracić jej z oczu.

Smutno mi.

Nie chcę się oszukiwać. Jestem nieszczęśliwa, rozgoryczona, nic niewarta i zgorzkniała. Ech!

- Lynn! Lynn! Tak mam na imię.

Odwracam się i dostrzegam najpiękniejszą kobietę na sali. Wszystkie gwiazdy po prostu przy niej bledną. To Roxanne Green.

- A więc udało ci się, skarbie - mówi. - Czytam o tobie wszystko. Moje ty cudowne dziecko.

Ścisła mnie czule.

- Nigdy bym nie podejrzewała, że mój poradnik jest naprawdę skuteczny, cha, cha!

- Sama nie wiem...

- Co ja słyszę? Spójrz tylko na siebie!

- Roxanne, nie jestem szczęśliwa. To wszystko nie trzyma się kupy. Osiągnęłam wszystko, o czym marzyłam, gdy

spotkałyśmy się po raz pierwszy, ale nie potrafię się z tego cieszyć.

- Proszę, kochanie. - Brian podaje Roxanne kieliszek czerwonego wina. - Hej, ja cię skądś znam! - woła na mój widok.

- Pewnie wszystkim to mówisz.

- Porzuciłam koktajle. - dodaje Roxanne. - Brian wprowadza mnie w świat wina. Przyniesiesz coś i dla Lynn, skarbie? Krwawą Mary? No, już cię nie ma.

Z radością spełnia jej prośbę.

- Czyż nie jest uroczy?

Jak dobrze wytrenowany pies.

- Lynn - szepcze Roxanne. - Muszę ci wyznać, że chyba zakochałam się w tym pociesznym grubasku. To takie żaloszne!

- Czuję się marnie.

Kobieta przygląda mi się badawczo.

- Przeczytałaś ostatni rozdział?

- Tak, tuż przed wyjściem z domu. „Krok dwudziesty: Pierwszy sukces przyciąga dalsze”.

- Tylko sukcesy i sukcesy. Precz z nimi! Masz rację, mój poradnik nie może się tak kończyć. Brak ostatniego kroku.

- Jakiego kroku?

- Tego najważniejszego.

Wraca Brian z Krwawą Mary dla mnie.

- Posłuchaj uważnie...

Roxanne obejmuje swojego towarzysza. Jest od niego wyższa, ale żadne się tym nie przejmują.

- Krok dwudziesty pierwszy! W prezencie! Oto on: „Pamiętaj, że tylko miłość daje szczęście”. - Robi do mnie perskie oko.

Brian patrzy na panią swego serca z uwielbieniem. Prawda, że szczęściarz z niego?

* * *

- Krwawą Mary proszę - zamawiam przy barze. Znów jestem sama i czuję się zagubiona, ale mam pewien plan. Resztę życia

spędzę zamroczona. Przyglądam się swojemu odbiciu w lustrze za barem. O dziwo, wyglądam zaskakująco dobrze. Nikt by nie zgadł, jakie rzeczy chodzą mi po głowie.

Barman podaje mi koktajl. Nie będę zaprzeczać, stałam się prawdziwą fanką Krwawej Mary. Jestem z nią teraz związana emocjonalnie.

- Dla mnie to samo.

Tak bardzo pogрузyłam się w rozmyślaniach, że nie zauważyłam w lustrze jego przybycia. Serce zaczyna walić mi jak młotem. Tak, właśnie tego się obawiałam od chwili, gdy Murieł wspomniała, że będą tu wszystkie ważne figury.

- Już raz ten koktajl działał cuda - rzuca Hubert, sadowiąc się u mego boku.

Macham na barmana.

- Zmieniłam zdanie. Wolę jednak coś bezalkoholowego. -
Mężczyzna tylko wzrusza ramionami.

- No cóż...

- Co „no cóż”, Lynn?

- Nigdy ci nie podziękowałam za to, że wyratowałeś mnie z opresji.

- Już ci to tłumaczyłem. Chcę być na każde twoje skinienie.

- Dobrze się bawisz?

- Nie rozumiem.

- Dziś wieczór. Tu, na przyjęciu.

- Ach, to tylko kolejna głupia impreza.

- Urwijmy się.

Spacerujemy promenadą wzdłuż plaży. Zauważa, że zmarzłam i otula mnie swoją marynarką. Nad nami świeci księżyc w pełni. Jak romantycznie. Barclay ma talent do pojawiania się we właściwym momencie. Gdyby wiedział, że też będę na tym przyjęciu, przyniósłby pewnie pierścionek z brylantem i poprosił mnie o rękę.

- Może chcesz paść do Martineza na ostatniego drinka?

- Nie chcę ostatniego drinka, nie chcę jechać do ciebie i nie chcę uprawiać seksu do rana.

- No to... możemy... przejść się, prawda?

- Nie chcę ostatniego drinka, tylko ostatniej rozmowy - oświadczam śmiało.

- Nie, tylko nie to. Znowu dajesz mi kosza. Porzucasz mnie za każdym razem, kiedy się widzimy, i za każdym razem lądujemy w końcu...

- W łóżku!

- Wiesz czemu?

- Sam mi powiedz.

- Bo mnie lubisz. Nawet bardzo.

Uśmiecham się. Wybucham śmiechem. Mężczyźni są tacy zadufani w sobie! Nawet jeśli zachowujesz się nielogicznie i masz nagłe zmiany nastroju, to też wyłącznie ich zasługa.

- Wiesz, dlaczego lądujemy w łóżku?

- Nie, ale zaraz mi to wyjaśnisz.

- Ponieważ nie zaznajomiłam się z ostatnim rozdziałem uroczego poradnika Roxanne Green.

- Jakiego znowu poradnika?

Zatrzymuję się, odwracam do niego plecami i spoglądam na morze.

- Lubię cię, Hubercie. Uważam, że miły z ciebie człowiek. Jesteś bogaty. Przystojny. Uroczy aż do przesady. Potrafiłbyś spełnić marzenia każdej kobiety.

- Zaraz, zaraz...

- Posłuchaj. Nie mam zamiaru iść dziś z tobą do łóżka. Nie mam też zamiaru kiedykolwiek iść z tobą do łóżka.

- Już to słyszałem. Nie kochasz mnie, tak? Nie przeszkadza mi to.

No jasne!

- No jasne! - Co?

- O to chodzi. - O co?

- O miłość!

- Przestań.
- Dlaczego?
- Istnieją świetne związki bez miłości, Lynn.

Dość tego spoglądania na morze i pozowania na lesbijską bohaterkę ze starej powieści. Odwracam się do niego i kładę mu dłonie na ramionach. Chcę, żeby skupił się na tym, co powiem. Patrzę mu prosto w oczy.

- Nie chcę idiotycznego, wyrachowanego związku. Chcę czegoś prawdziwego. Żeby kręciło mi się w głowie! Żeby aż prąd przeskakiwał! Zrozum, ostatni rozdział poradnika jest najważniejszy.

- Jakiego poradnika, do jasnej cholery?

Zaraz będzie po wszystkim. Oto stoi przede mną mój ideał mężczyzny z czasów sprzedparyskich. Jest ucieleśnieniem tego, czego dawniej tak bardzo pragnęłam, a co teraz nie ma już dla mnie znaczenia. Sukces nie zapewnia szczęścia. Tylko miłość je daje.

- Powiedz mi, Barclay, naprawdę potrafiłbyś spędzić resztę życia z kobietą, która cię nie kocha?

- To teraz jestem Barclayem?

- Odpowiedz na pytanie.

- Chcę być z tobą.

- Odpowiedz na pytanie!

- Bardzo mi z tobą dobrze.

- Dobra, idę.

- Czekaj! Jak możesz oczekiwać, że odpowiem ci na takie pytanie?

- Spróbuj.

Zamyśla się. Otwiera usta. Wiem, że jest gotów skłamać. On też to wie. Chciałby odpowiedzieć twierdząco, ale nie przechodzi mu to przez gardło. Nawet Hubert Barclay, magnat prasowy, król słów, nie umie kłamać, gdy chodzi o miłość.

Oddaję mu marynarkę.

- Czyli to koniec? - Tak.

Ruszam w stronę Palm Beach.

- Hej! - wola za mną. Odwracam głowę i patrzę na niego po raz ostatni. Wygląda samotnie, stojąc tak na środku chodnika. - Poproś Roxanne, żeby przysłała mi egzemplarz tej przeklętej książki!

Kiwam głową i odchodzę.

Już na zawsze.

RS

Krok dwudziesty pierwszy (W prezencji!):

Pamiętaj, że tylko miłość daje szczęście

- Jesteś pewna, że wiesz, co robisz? - pyta Muriel. Idziemy szybkim krokiem w stronę mojego wyjścia. Oczywiście, że jestem pewna, inaczej nie szłabym tak

szybko. Chcę zdążyć na najbliższy samolot do Paryża. Znow na pokładzie Air France!

Ale tym razem żadnego przesiadywania w Premierę Lounge.

Mam misję do spełnienia!

- Ten facet jak nic dostaje już wysypki na twój widok. Mylisz się, Muriel. Nic nie rozumiesz. Nie poznałaś najważniejszego kroku.

Czas na mnie.

Ty zostajesz w Nicei, a ja muszę lecieć do ukochanego.

Wrzucam moje paskudztwo marki Adidas na przenośnik taśmowy przed komorą prześwietlającą i całuję szefową w policzek.

- Trzymaj za mnie kciuki.

- Wierz mi, moje kciuki nic ci tu nie pomogą. Zaopatrz się lepiej w sieć rybacką, łańcuchy i kilka kłódek, cha, cha!

Boki zrywać.

Potrzebuję czegoś na uspokojenie, więc kupuję w barze miniaturową buteleczkę szampana. Albo lepiej dwie.

Są przecież takie malutki. Korek wyskakuje z hukiem. Uda mi się! Na pewno mi się uda!

Odkąd poznałam krok dwudziesty pierwszy, wszystko stało się jasne.

Szampan powoli zaczyna działać. Wyjmuję komórkę i wystukuję jego numer. Tempo, tempo!

- Bonjour, vous ?tes sur le répondeur automatique de Nicolas Bouchez... Pii!

No, nagraj to wszystko, co ci leży na sercu, Lynn! - Cześć, tu Lynn. Jestem na lotnisku w Nicei i... piję szampana. - Podnoszę kieliszek w toaście. - Cha, cha. Co ty pleciesz?

- Ale mniejsza o to. Dzwonię, żeby ci powiedzieć... Powiedzieć ci...

Ze cię kocham.

Pragnę.

Potrzebuję.

- Wracam do Paryża, bo... chcę się z tobą zobaczyć. Widzisz, wszystko sobie przemyślałam i... Kurczę, już wpuszczają. No, nic. Chciałam tylko powiedzieć, że... że cię kocham. Nie potrafię wyobrazić sobie życia bez ciebie. Może nie dotarło do ciebie to, co przed chwilą powiedziałam, więc powtarzam. Kocham cię. No to... tyle. Pa.

Rozłączam się.

Boże, cała się trzęsę.

Głupia krowa!

Pewnie leży teraz w łóżku z Clarice Kleron po nocy dzikiego seksu. Ona prosi go słodkim głosem: jeszcze, jeszcze, więc Nicolas ponownie odtwarza moje nagranie. Ubaw po pachy!

* * *

Co ja wyprawiam?

Skoro już się dowiedziałam o kroku dwudziestym pierwszym, nie spocznę, póki nie zrealizuję swoich planów.

Pojechałam do jego mieszkania, ale nikogo tam nie zastałam.

I dlatego stoję teraz przed najnowszym butikiem Xu w Saint Germain.

Moje życie nie potoczyło się tak, jak się tego spodziewałam. Sami pomyślcie. Jako dziecko chowałam się w pokoju Jodie, marząc, że pewnego dnia uwolni mnie stamtąd księżę z bajki. A tymczasem szykuję się do ataku na zamek diabelskiego Xu, żeby uwolnić z jego rąk mojego księcia.

Nie ma co. Feminizm wpłynął na zakończenia bajek.

Znów sięgam po komórkę.

Wpatruję się w okna nad sklepem, chcąc zobaczyć, czy wstanie, żeby odebrać telefon ode mnie.

Powtarzam sobie w myślach słowa, które powinnam powiedzieć.

Nie chcę wyjść na wariatkę.

Prosto z mostu. Jesteśmy dla siebie stworzeni, głuptasie! Schodź w tej chwili i pocałuj mnie!

Ach, ta nagrana wiadomość? Nie, to nie byłam ja. To moja zła siostra, Ludmiła. Tak, mamy bardzo podobne głosy, cha, cha.

Pierwszy sygnał, drugi sygnał.

I nic.

Znów włącza się poczta głosowa.

Zobaczył na wyświetlaczu, że to ja, i rozłączył się?

Dlaczego?

Bo spędziliśmy razem noc na betonie? Nicolas, do cholery!

- Cześć, Nicolas - nagrywam się. - To znowu ja, cha, cha! Na ulicy jest tak głośno, że muszę schować się w jakimś zaułku.

- Jestem już w Paryżu. Chcę się z tobą zobaczyć. Nie, ja muszę się z tobą zobaczyć. Chodzi o to... Chodzi o to, co wcześniej. Chodzi o nas. Zrozum...

A niech to! Rozłączyło mnie!

Nie zdążyłam wyjaśnić, co w naszej historii jest najważniejsze.

Dzwonię jeszcze raz, ale kobiecy głos automatu informuje mnie, że jego poczta głosowa jest pełna.

Przekłeta nowoczesność! Dlaczego nie możemy wysłać sobie nadal długich, romantycznych listów, przesiąkniętych łzami i zapachem perfum?

No więc?

Przechodzę szybko przez jezdnię, wpadam do butiku i podchodzę do sprzedawczyni. To chudzina umalowana z przesadą zbyt jaskrawoczerwoną szminką.

- Szukam pana Nicolasa Bouchez. - Kogo?

- Pracuje tutaj.

- W naszym sklepie pracują wyłącznie kobiety.
- Nie w sklepie, na górze. W biurze.
- Zaraz sprawdzę. - Podnosi słuchawkę telefonu i zamienia z kimś kilka słów po francusku. - Mouchet, mówiła pani?
- Bouchez.

Znów mówi coś po francusku.

- Pana Bouchez nie ma w tej chwili w biurze. Już ci wierzę. Znam te numery.
- W takim razie chciałabym zobaczyć się z Fran Wellish. Boże, czego się nie robi, żeby porozmawiać z ukochanym!
- Pani nazwisko?
- Lynn Blanchett. Z Muriel B. Ha! I co wy na to?

* * *

- Kogóż tu mamy! Co za zbieg okoliczności! Można rzec, powrót córki marnotrawnej.

Xavier Urbain czeka na mnie na półpiętrze.

- Czulem to. Powiedziałem Chloe, zobaczysz, ta dziewczyna potrafi zdziałać cuda. A potem ten pokaz Muriel! Bomba! Jesteś doprawdy genialna.

Nie mam zamiaru mu dziękować, nie po przekręcie z modelkami.

- Tak, jasne, ale nie po to...

- Oczywiście, oczywiście! Chodź, chodź. Ona już nie może się doczekać.

Kto? Fran Wellish?

- Zaraz zadzwonię do Muriel. Powinienem to już dawno zrobić, ale czekałem aż wy, dzieciaki, zrobicie pierwszy krok. Teraz kolej na mnie.

- Nagle polubiłeś Muriel?

- Jak to nagle? Zawsze ją ubóstwiałem. Ta mała to geniusz! Czyli już nie rozpieszczona dziedziczka bez krztyny talentu? Cóż, czego się nie udało zniszczyć, trzeba widać polubić.

- Tam jest - Urbain wskazuje mi drzwi. - Mówi tylko o tobie: Lynn to, Lynn tamto. Mamy już tego powyżej uszu. Jest z ciebie taka dumna.

Dumna ze mnie? Fran Wellish? Na oczy jej nie widziałam!

- Tak naprawdę przyszedłam do Nicolasa Bouchez. Urbain podnosi jedną brew do góry.

- Do Nicolasa? A co z nim? Nie chcecie go nam chyba podebrać, co?

- To sprawa osobista.

- Ach, młodzi. Tylko jedno wam w głowie!

Czy to teraz powinnam odciąć mu głowę mieczem i pobiec do najwyższej wieży? Facet zaczyna działać mi na nerwy.

- Chcę się widzieć z Nicolasem. Natychmiast!

- Wziął dziś wolne. I o ile dobrze pamiętam, też wspominał coś o sprawach natury osobistej.

Chcę spytać, kiedy wróci, ale Urbain wpycha mnie do pokoju.

- Witaj, skarbie.

Odkłada na bok katalog Xu i wstaje z kanapy. Jodie.

Jodie Blanchett w siedzibie wroga!

- Co ty tu robisz? - słyszę swój głos jakby z oddali.

- Dzwoniłam do Muriel. Wspominała, że możesz wpaść tutaj.

- Zostawiam was, miłe panie, i idę zadzwonić do Muriel. Ta mała jest genialna! - Urbain zamyka za sobą drzwi.

To pułapka!

Teraz Jodie poprosi mnie o przejście na ciemną stronę Mocy i odetnie mi rękę.

- Przyjechałaś tu z mojego powodu?

- Jasne.

Znowu to samo!

Wszystko, co ostatnio robi, przeczy temu, co zawsze o niej sądziłam.

To spotkanie na Riwierze.

Potem telefon pełen troski do Taty.

A teraz siedzi tu, w zamku diabelskiego Xu, i twierdzi, że to z mojego powodu.

- Dla mnie to nie takie jasne - pyskuję. - Przyjechałaś zobaczyć się z Fran, prawda?

- Fran pracowała kiedyś dla mnie, skarbie.

- Wiem, wiem. - Rozglądałam się. - A to najwyraźniej jej biuro. To z nią chciałaś się spotkać, a nie ze mną!

Jodie zdejmuje swoje przeciwsłoneczne okulary. Ma takie piękne oczy, szkoda, że najczęściej je ukrywa.

- Przyjechałam ci pogratulować.

- Czego?

- Pokazu oczywiście! Czegóż by innego? Jodie i gratulacje?

Pod moim adresem? Nie nabierajcie mnie!

Ona nie ma dostatecznie wykształconej inteligencji emocjonalnej!

To po prostu...

- Masz jakieś plany na dziś wieczór? - pyta. - Musimy porozmawiać.

Dobra, poddaję się. Postradałam zmysły. To tylko urojenia, a tak naprawdę leżę związana w pokoju bez klamek.

- Porozmawiać o czym?

- Przemyślałam to i owo. To wpływ pobytu w Moskwie. Ta ich pogoda...

Chcę właśnie powiedzieć, że nie mam czasu na pogawędki o pogodzie, dziś wieczór muszę poukładać sobie życie, ale do pokoju wchodzi elegancka kobieta.

- Ach, Fran! Poznaj moją córkę Lynn.

* * *

- Powinniśmy zjeść razem lunch - proponuje Fran. - Może poczekać na mnie w moim mieszkaniu? To po drugiej stronie ulicy, tak jest najwygodniej. Jestem pewna, że wam się spodoba. Jest takie... świeże. Skończę tylko to, co mam do zrobienia - takie tam zawodowe nudy - zarezerwuję gdzieś stolik i wpadnę po was. Co wy na to?

No i czekamy.

Jodie otwiera kolejną szafkę, ale i w niej nie znajduje herbaty. Siedzę przy bufecie i przyglądam się jej chaotycznym poszukiwaniom. Nie, nie, siedź, Lynn, ja się wszystkim zajmę. A to, co to takiego? Och, popatrz, jaka śliczna tkanina w kwiaty!

Natrafia na czajnik i wsadza go pod kran. Odskakuje, gdy zaczyna lecieć z niego woda. Biedna, zagubiona, krucha kobietka z tej mojej matki.

Podchodzę i wyjmuję jej czajnik z rąk.

- Daj, ja to zrobię.

- Dziękuję. - W jej głosie słychać ulgę. Idzie do salonu.

- Boże, co za nowobogacki styl - mówi, stając na samym środku, jakby nie mogła tu niczego dotknąć. - Mam nadzieję, że u ciebie jest inaczej.

U mnie? W Muriel B. nie stać nas na takie apartamenty. Moje lokum przypomina raczej szafę wnękową, mieszczącą łóżko, bidet i niewiele więcej.

- U mnie jest bardziej normalnie.

- Normalnie? - powtarza rozbawiona. - Czyli mało miejsca i brud?

Wygląda przez okno. Widać stąd doskonale butik Xu. - Ten Urbain to straszna pijawka - stwierdza Jodie. - A Fran ma tyleż polotu, co i dobrego smaku. Stawiam na bufecie dwie filiżanki herbaty.

- Muriel i ty to co innego.

- Muriel i ja?

- Jej wcześniejsze prace były interesujące, ale chaotyczne, nieporządne, jakieś takie niewykończone. Jakby ich autorka nie potrafiła skupić się na jednej wizji. A potem pojawiłaś się ty i wszystko nabrało... formy.

Jodie spogląda na świat inaczej niż zwykli śmiertelnicy. Dla niej styl to rozsądek, a stroje to życie. - Ciężko pracowałyśmy. To... zaowocowało. - Próbuję sprowadzić ją na ziemię.

- Tak, tak. Dokładnie.

Jodie wzdycha ciężko. Mam wrażenie, że drażni ją to nowobogackie wnętrze, ale mówi:

- W Moskwie było okropnie. Okropnie!

- Znów kłopoty na lotnisku?

- Nie, to przez ciebie.

- Przeze mnie?

- Gdy widziałyśmy się ostatnio, byłaś taka podenerwowana.

- To stres. Nic takiego.

- Nie, nie... Spędziłam sporo czasu samotnie w pokoju hotelowym. Myślałam... Myślałam o tym, co powiedziałaś. Ze masz mnie dość i że...

- Nie musisz się tłumaczyć. Jedne rzeczy wychodzą ci świetnie, ale w innych jesteś beznadziejna. I tyle. Pogodziłam się z tym. To normalne.

- Skoro tak mówisz.

Zamyka oczy. Gdy je otwiera, patrzy prosto na mnie. Zakłopotana, wbijam wzrok w podłogę. Dłoń Jodie zbliża się nieśmiało do mojej. Swoim zachowaniem moja matka przypomina dziewczycę w noc poślubną. Wstydzi się, ot tak, wziąć córkę za rękę w cudzym mieszkaniu. Ale musiała w Moskwie podjąć jakąś ważną decyzję. Wpatrując się w nocną panoramę miasta, doszła widać do wniosku, że tak dłużej być nie może. Boże, jak mogłam zrobić sobie coś takiego, myślała. Gardziłam miłością najbliższych, zmarnowałam tyle lat, a wszystko to dla jakichś pieprzonych fatałaszaków i perfum! Ale nie czuję się z tym dobrze.

Nie ogarnia mnie euforia i nie zaczynam płakać ze szczęścia.

Wzbiera we mnie gniew! I obrzydzenie!

Wstyd mi, że jestem takim potworem, potworem, który boi się trzymać za rękę własną matkę.

Zerkam na nasze zaciśnięte dłonie.

Moja lewa ręka jest jak sparaliżowana.

Tak strasznie bym chciała, żeby Jodie przerwała ciszę. Może wstrzymałoby to kalejdoskop wspomnień, może przestałabym

zachodzić w głowę, czy kiedykolwiek zaszczyciła mnie podobnym gestem. Albo zaśpiewała kołysankę. Albo odprowadziła do szkoły. Czy choć raz, do cholery, upiekła ciasto? Ba, podgrzała obiad! Pamiętam tylko jej ciągle narzekania: „Nie dotykaj materiału! Tego też nie dotykaj! Mówiłam, żebyś nic nie dotykała! Boże, wieczne utrapienie z tym dzieciakiem! Nie mogę się już doczekać, aż William cię odbierze i będę mogła nareszcie popracować w spokoju”. A teraz trzyma mnie za rękę, bo w Moskwie nie dopisała pogoda, czuła się taka samotna i doznała olśnienia, oglądając Uwolnic orkę na kablówce.

O nie!

Jeszcze czego!

Przecież to Jodie Blanchett!

Kobieta, która prędkiej zacznie owijać ludzi papierem i nazywać to modą, niż zaopiekuje się własną córką! Nawróciła się w Moskwie? Dobrze sobie!

Ta kobieta nie może mieć wyrzutów sumienia, jest pozbawionym ludzkich uczuć robotem, i gdybym nie miała sparaliżowanej ręki, gdybym tylko mogła nią ruszać, albo ją odciąć, uciekłabym zaraz jak najdalej, jak najdalej od niej, od tego mieszkania i od tego miasta! Choćby do Katmandu!

- W Rosji o czymś sobie przypominałam.

- Jodie, nic mi nie jest. Zostawmy ten temat.

- Byłaś najpiękniejszą dziewczynką, jaką w życiu widziałam.

- Zaczyna kręcić mi się w głowie. - Byłaś taka piękna, że aż się bałam. Budziłam się w nocy. Zakradałam się do twojego pokoju, żeby sprawdzić, czy jeszcze oddychasz. Tamte lata... - Kręci tylko głową, żeby pokazać, jak bardzo było jej ciężko. - Ale gdy wsłuchiwałam się w twój oddech... Byłam najszcześniejszą osobą pod słońcem.

Przydałyby się jakieś skrzypce w tle i wzruszające anielskie chóry, ale nie, słychać tylko najnowszy hit Marion, który jest dzwonkiem w mojej komórce.

- Muszę, no wiesz. - W końcu udaje mi się wyrwać rękę z jej uścisku. Na wyświetlaczu telefonu widać magiczne słowo: Nicolas.

- To pilne - wyjaśniam i przykładam słuchawkę do ucha.

- Lynn... - Słyszę i kończy mi się bateria.

Potrząsam telefonem, ale znajduję w sobie tylko dość energii na to, by ponownie zadzwonić i natychmiast się wyłączyć.

Lynn?

A co dalej?

1. Lynn, odczep się wreszcie ode mnie, dziewczyno.

2. Lynn, Clarice Kleron i ja uważamy twoje nagranie za numer roku!

3. Lynn, a może byś tak wyprowadziła się na Marsa?

- To Nicolas - mówię nieco zawstydzona.

Jodie wygląda na wypompowaną. Przekazywanie najprostszych uczuć jest ponad jej siły. I co ja mam z nią zrobić? Co za żałosne stworzenie!

- Więc mówisz, że w Moskwie czułaś się okropnie?

- Prawie cały czas czuję się okropnie, Lynn.

Ale kiedyś, o czym nie miałam do tej pory pojęcia, dawno temu, w moim pokoju, przy moim łóżeczku, wsłuchując się w mój oddech, czuła się dobrze.

Nie za wiele. Ale na początek dobre i to.

Teraz to ja chwytam ją za rękę.

- Wiesz co, Jodie, nabroiliśmy, ale w końcu wszystko się ułoży.

Przyszłam pieszo na Rue des Martyrs. Chcę przemyśleć w spokoju swój kolejny ruch.

Znajdę Nicolasa, choćby nie wiem co.

Przetrzęsnę całe to cholerne miasto, jeśli będzie trzeba.

Ale najpierw muszę naładować baterię komórki. Zobaczymy wtedy, co ma do powiedzenia poza „Lynn”.

Wzorem Chloe Sauvignon, nie korzystam z windy. Skoro na jej pośladki to działa, to na moje także.

- Cześć.

A więc to tu się ukrywa, przed drzwiami mojego mieszkania. Tego się nie spodziewałam.

- Och, cześć. Długo czekasz?

Dzieli mnie od niego tylko jeden krok. Krok dwudziesty pierwszy.

- Nie wiem dokładnie. Odkąd rzuciłaś słuchawką. - Wcale nie... To tylko ten cholerny telefon. - Pokazuję mu moją komórkę, jakby mogła coś wyjaśnić.

- Czas zleciał szybko. Zastanawiałem się, co powiedzieć, jak już przyjdiesz.

- I...

- Powtarzałem tę przemowę i powtarzałem... - I...

- Nic z tego nie wyszło. Kiedy cię zobaczyłem na schodach, wszystko wyleciało mi z głowy.

Teraz to on demonstruje mi swoją komórkę. Widocznie to taki etap naszej znajomości.

- Przesłuchałem twoje nagranie, wiesz, to z lotniska.

- O Boże, ten idiotyzm? Powinieneś opróżnić pocztę głosową od czasu do czasu. Miałam o wiele więcej do powiedzenia.

- Powiedziałaś, że... Mniejsza z tym. Pojechałem po ciebie na lotnisko, ale musieliśmy się minąć. A później, no, sama wiesz, skończyła ci się bateria, tak?

Mam dość rozmów o telefonach komórkowych!

- Lynn...

To już słyszałam! Wyduś to z siebie, człowieku!

- Ja... ja też nie umiem wyobrazić sobie życia bez ciebie. Jeszcze tylko jeden krok. Jeden maleńki krok.

- Niemożliwa z nas para. Czy on powiedział „para”?

- Nadal mnie nienawidzisz? -Jakośjuż... nie.

- Moja osoba jest ci nadal zupełnie obojętna?

- Obydwoje mamy za uszami. Nicolas, Nicolas, Nicolas!

- Wejdiesz?

- A mogę?

Na to pytanie jest tylko jedna odpowiedź. Robię ostatni krok i całuję go. Tak.

Całujemy się. Całujemy... Całujemy... Hm.

I co dalej?

Nic, dalej się całujemy.

Nie ma co martwić się o przyszłość, jeśli całuje cię mężczyzna, którego naprawdę kochasz. Nie pora teraz myśleć o jutrze. Bo jutro, kto wie?

Paryż? Nowy Jork? Mediolan?

Ale teraz liczy się tylko ta wyjątkowa chwila.

Znikamy w drzwiach mojego mieszkania.



SŁOWNIK TŁUMACZEŃ

- * Je voudrais une baguette de pain, s'il vous plaît (fr.) - Proszę bagietkę. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.)
- * L'arr?t de bus se trouve ? côté de la Mairie, (fr.) - Przystanek autobusowy znajduje się obok merostwa.
- * Je suis Massoud et je suis votre chauffeur (fr.) - Mam na imię Massoud i jestem pani szoferem.
- * Par-l?, mademoiselle (fr.) - Tędy, panienko.
- * Vous voulez aller ? votre hôtel? (fr.) - Czy życzy sobie pani udać się do swojego hotelu?
- * trop de bouchons (fr.) - duży korek
- * Bonjour, mademoiselle. Bienvenue au Georges K(fr.) - Dzień dobry, panienko. Witamy w hotelu Jerzy V.
- * Merci et bonne journée, mademoiselle (fr.) - Dziękuję i

życzę panience miłego dnia.

* Vous avez réservé? (fr.) - Czy mają państwo rezerwację?

* Une table pour deux, au nom de Bouchez ou Muriel B. (fr.) - Stolik dla dwóch osób na nazwisko Bouchez lub Muriel B.

* C'est parfait (fr.) - Jest doskonale.

* Une belle robe, quoiqu'un peu riche en tannin (fr.) - Piękna barwa, choć zawiera nieco zbyt wiele taniny.

* Que me nourrit me détruit (fr.) - Co mnie żywi, niszczy mnie.

* Votre filet mignon (fr.) - Pańska polędwica mignon

* Au contraire (fr.) - wręcz przeciwnie

* Une seule personne? (fr.) - Dla jednej osoby?

* Suivez-moi (fr.) - Proszę za mną.

* J'étais la première, dégage! (fr.) - Byłam tu pierwsza. Spadaj!

* Je peux vous aider? (fr.) - W czym mogę pomóc?

* Qui dois-je annoncer? (fr.) - Kogo mam zaanonsować?

* C'est l'Atelier (fr.) - Oto atelier.

* C'est un honneur d'avoir une Blanchett parmi nous (fr.) - To dla nas zaszczyt gościć Blanchettównę.

* Tu parles français, j'espère? (fr.) - Mam nadzieję, że mówisz po francusku?

* C'est tout de même incroyable! (fr.) - Nie do wiary!

* Allez! Comment tu dis, Lynn? (fr.) - Do roboty! Jak to ujęłaś, Lynn?

* Une minute tout le monde! Je vous présente Lynn Blanchett, la fille de Jodie Blanchett! (fr.) - Proszę wszystkich o chwilę uwagi. Chciałabym przedstawić Lynn Blanchett, córkę Jodie Blanchett.

* Lynn vient de New York et travaille dans... (fr.) - Lynn

przyjechała z Nowego Jorku i będzie pracować w dziale...

- * Tu m'entends? (fr.) - Słyszysz mnie?
- * Mais de quoi elle parle, celle-là?? (fr.) - Co ona najlepszego wygaduje?
- * Nicolas, tais-toi! (fr.) - Nicolas, zamknij się!
- * Merde, tout va mai! (fr.) - Cholera, wszystko się sypie!
- * C'est ta nouvelle copine? (fr.) - Czy to twoja nowa kumpelka?
- * Quoi? J' parle pas anglais, moi (fr.) - Co? Nie mówię po angielsku.
- * Donne-lui un café (fr.) - daj jej kawę.
- * Ça fait combien de temps que tu es ? Paris? (fr.) - Ile razy już byłeś w Paryżu?
- * Pourquoi tu me parles en anglais? (fr.) - Dlaczego mówisz do mnie po angielsku?
- * J'ai faim! (fr.) - Jestem głodna!
- * Quelle salope! (fr.) - Dziwka!
- * Bien joue. (fr.) - Dobrze rozegrane
- * Vous ?tes irrésistible, ma ch?re! (fr.) - Moja droga, jesteś niezrównana!
- * sa folie (fr.) - jego szaleństwo
- * Lynn est une perle (fr.) - Lynn to prawdziwy skarb.
- * C'est du foie gras de canard cru dans une cr?me de châtaigne (fr.) - To jest surowa kaczka wątroba z kremem z kasztanów.
- * Nada! (hiszp.) - Nic!
- * l'escargot (fr.) - ślimak
- * Vous ?tes américains? (fr.) - Jesteście Amerykanami?
- * Vous ?tes des amoureux? Elle comprend pas, hein? (fr.) - Jesteście parą? Ona nie rozumie, prawda?
- * Non, non, juste des coll?gues de travail, (fr.) - Ależ nie, tylko kolegami z pracy.

- * Nichtsl (niem.) - Nic!
- * Niente! (wł.) - Nic!
- * une sale gosse (fr.) - nieznośna smarkula
- * la tour d'argent (fr.) - srebrna wieża
- * Qu'est ce que tu fais dans la vie, mon chéri? (fr.) - Jak zarabiasz na życie, skarbie?
- * J'ai été dans L'Apport. Mais j'ai perdu (fr.) - Byłem w „L'Ap-part”. Ale przegrałem.
- * Je me sens pas bien! (fr.) - Nie czuję się dobrze.
- * Oh, j'ai dormi! (fr.) - Oj, zasnąłem!
- * Vous, vous avez fait la f?te? (fr.) - Pofolgowała pani sobie, co?
- * Quelle surprise! C'est gentil de venir nous dire bonjour comme ça (fr.) - Co za niespodzianka! Mito, że wpadłaś powiedzieć nam „dzień dobry”.
- * Elle a faim, ça se voit! (fr.) - Ona jest głodna, to widać!
- * Croissants pour tout le monde? (fr.) - Rogaliki dla wszystkich?
- * A tout de suite, les amoureux (fr.) - Już pędzę, zakochani
- * Tribeca - część Manhattanu, skrót od TRIangle BElow CANal Street
- * Catherine, peux-tu nous amener du café dans la salle de réunion? (fr.) - Catherine, czy możesz nam przynieść kawy do sali konferencyjnej?
- * cassoulet - fasola duszona ze skórą wieprzową, kiełbaskami i kaczym lub gęsim mięsem, przechowywanym uprzednio w smalcu
- * Allez les filles! Numero 15. Jolanta. Allez, ma puce! On a pas la journée, merde! (fr.) - Szybciej dziewczęta! Numer 15 - Jolanta. Rusz się, skarbie. Nie mamy całego dnia, do cholery!

- * J'ai ouvert une bouteille de vin (fr.) - Otworzyłem butelkę wina.
- * On vient juste passer Lyon (fr.) - Właśnie minęliśmy Lyon.
- * Qu'est ce que vous buvez? (fr.) - Co pijecie?
- * prouesse (fr.) - wyczyn
- * Une carte de credit! Un dimanche! (fr.) - Karta kredytowa!
- * On est tres bien ici. Allez-vous en! Allez! (fr.) - Jest nam tu bardzo dobrze. Proszę odejść!
- * Ça suffit! Il est parti, votre Nicolas, (fr.) - Daj spokój. Twój Nicolas odjechał.
- * Mais t'es folle, toi! (fr.) - Ależ z ciebie wariatka!
- * besoin (fr.) - potrzeba
- * Elle va te tuer (fr.) - Zabije cię.
- * ma chérie (fr.) - moja kochana
- * falafel - rodzaj arabskiej potrawy ze smażonej fasoli
- * collaboratrice (fr.) - współpracownica
- * brunch - połączenie śniadania z lunchem, np. w hotelach dla gości z zewnątrz
- * C'est tres vulgaire (fr.) - To takie pospolite.
- * Vous avez votre invitation? (fr.) - Czy ma pani zaproszenie?
- * Tu es avec Roxanne, toi aussi? (fr.) - Jesteś z Roxanne, prawda?
- * Elle est incroyable, celle-l?! (fr.) - Ona jest doprawdy niemożliwa.
- * Au revoir et ? jamais, madame! (fr.) - Żegnam panią na zawsze
- * Plus jolies les unes que les autres, les stars sont descendues dans la rue pour assister au défilé Haute Couture de Muriel B, (fr.) - Gwiazdy, jedne piękniejsze

od drugich, wyszły na ulicę, by obejrzeć pokaz Muriel B.

* Il y a quelqu'un? (fr.) - Jest tu kto?

* ici (fr.) - tutaj

RS